BIBLIOTHEC. UNIV. JAGELL. CRACOVIENSIS
56653
I P

Bibl: Univers: Cracoviensi
Powieści No 251.

56653
I

XXI. A. 11.

DWA OBRAZKI Z PRZESZŁOŚCI.

POWIEŚCI HISTORYCZNE.

DWA OBRAZKI

Z PRZESZŁOŚCI.

POWIEŚCI HISTORYCZNE.

PRZEZ

Ad. Am. Kosińskiego.

WILNO.

Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego.

1852.

Wolno drukować z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisauéj liczby exemplarzy. W Warszawie d. 19 Kwietnia / 1 Maja 1851 r.

Cenzor P. Dubrowski.

56653
I

I.

TEMU LAT SIEDMDZIESIĄT.

I.

Ojciec i córka, stara prawość szlachecka.

A NAPRZÓD trzeba wam wiedzieć, że nie tylko, tę jedną majętność, którą obecnie posiadam, zostawił mi świętéj pamięci ojciec w puściźnie; była jeszcze i druga na Dobrzyńskiéj, nie daleko Włocławka, zowie się Nasiegniew.

Piękny zaś to majątek, prawdziwie gospodarski! masz wszystkie warunki dobrego bytu, ryby i grzyby, łąkę i mąkę; dla mnie z innego jeszcze powodu był miłym, a jako familijne dziedzictwo po matce, za nią go bowiem w posagu otrzymał ojciec.

Zanim jednak przystąpię do mej opowieści, winienem choć w krótkości dać obraz jego charakteru i sposobu życia.

Dobry był człowiek, spokojny sąsiad, doświadczonej prawości obywatel, wierny radca Monarchy. Nikt mu do zarzutu nic nie miał, każdy szacował i lubił. Nieszczęściem do tych pięknych przymiotów, domięszały się wady wrodzone niejako naszym charakterom, owszem naturalny wypadek trybu życia, wiedzionego niegdyś. Mój ojciec rządno-niemieckim człowiekiem nie był, kredką się brzydził, w rachunki nie wdawał, rozchodów do dochodów zastosować nie umiał; nadto, wychowaniec Leszczyńskiego w słynnej Lunewilskiej Akademji, towarzysz zabaw, a niekiedy i finansowych kłopotów Poniatowskiego, wezwany od niego na dwór, ozdobiony szambelańskim kluczem i orderową gwiazdą świętego Stanisława, chciał względy istotną zasługą odpłacić. Opuścił tedy ojczystą zagrodę, osiadł w Warszawie i poświęcił się cały sprawie ukochanego Monarchy. Że zaś nad możność żył, że w czasie potrzeby, a trafiało się

to często, hojne pieniężne dla dobra ogółu przynosił ofiary, a zbyt był poczciwym, żeby szczerby zadane fortunie, łatać intratnym urzędem, starostwem lub cudzoziemską pensją, niedziw, że gdy Bogu duszę oddał, a ja jedyny sukcessór puściznę objąłem, znalazłem ją w całkowitym nieładzie; spichrze i stodoły puste, grunta zajałowione, a na domiar złego, długów skryptowych i słównych, ilość ogromną!

Każdy zatém łatwo zrozumie w jakich kłopotach wypadło przeżyć pierwszy rok gospodarski. Dochody ledwie, że na własną wystarczały potrzebę, a codzień trafiał się to wierzyciel z rewersem, to woźny z kondemnatą. Trzeba się było wodzić po sądach, narażać na obelgi jednych, na skwierk drugich kredytorów, narażać dobrą sławę imienia, ohydą pieniactwa, i wstydzić się przed témi, których się szacowało, i których przyjaźń i względy szczérze chciało się zyskać.

Stawiałem jednak jak mogłem czoło zawistnéj fortunie. Kredytorów odpierałem prośbą, groźbą lub obietnicą, doglądałem pilnie gospodar-

stwa, w nadziei, że polepszone, da sposób ratunku. Próżne usiłowania! dobrze mówią stare przysłowia: muru nie przebijesz głową, z piasku nieukręcisz bicza.

Otóż przygnieciony podobnémi kłopotami, mimo całéj moralnéj odwagi straciłem wreście cierpliwość, i pewnego ranka, gdy aż trzy kondemnaty woźni przywieźli, gdy głowy do nowych wykrętów nie starczyło, a w ganku utyskiwała jakaś biédna wdowa, któréj długu, pomimo najszczérszéj chęci zaspokoić nie mogłem, rozpaczna myśl przyszła do głowy.

Wydobywszy z szafy papiery tak gospodarskie jak i prawne, pilnie rozważać je i odczytywać zacząłem, chcąc wiedzieć ile rzeczywiście jestem dłużny, i na jaką summę sprzedawszy majątek, rachować mogę.

W tém zatrudnieniu znalazł mnie daleki krewny, lecz bliski Nasiegniewski sąsiad, pan Bonawentura Z* skarbnik swéj ziemi.

Szanowny zaś był to człowiek, daleko szukając nieznalazłeś podobnego: sześćdziesiątletni

starzec, w młodości żołnierz, dalej publiczny urzędnik, teraz obywatel wiejski, wszystkim obowiązkóm jakie wkładały los lub chęć własna, nie tylko, że czynił zadość, lecz i odznaczał się w nich chlubnie, nieposzukiwanej prawości, zdrowego na doświadczeniu opartego zdania, wyrocznią był powiatu, do niego udawał się każdy. Kogo jakiekolwiek przycisnęły strapienie, pośredniczył między zwaśnionémi, godził najzawilsze processa, że nie odbyła się żadna sprawa w powiecie, żaden dobry uczynek, do któregoby pośrednio lub bezpośrednio, przeważnie nie wpływał.

Pan Bonawentura szczupły w mojém sąsiedztwie posiada majątek, chudobę prawdziwie mazurską, kamieniem przerzucisz, zagony zliczysz, na grosz jednak od nikogo niepotrzebował wsparcia; owszem fortuna jaką dał Bóg, wystarczała nie tylko do porządnego życia, lecz i do wsparcia czy to krewnego czy przyjaciela w potrzebie, zabiegłą bowiem pracą i pilnym przemysłem, umiał ją udziesięćkrotnić niejako, że dochodem przewyższyła nie jedną pańską.

Chmura mojego czoła i smutek oka nie uszły baczności poczciwego starca zagadnął o powód.

W miejscu odpowiedzi, podałem świeżo otrzymane kondemnaty, przeczytał je uważnie, i

—Co tedy myślisz uczynić?— zapytał.

—Niema rady,— odpowiem— woli boskiej uledz należy.

—Jak to rozumiesz?— zagadnął.

—Obliczyłem przed chwilą wartość dóbr, i ciężące długi. Nadziei nawet ratunku nie widzę.

—Broniłeś się jednak rok cały, wodziłeś po sądach i trybunałach, sądziłem że i dalej potrafisz to zrobić.

—Mylisz się panie Skarbniku, wszystkiemu jest koniec, a więc i mojej cierpliwości. Dla tego silne wziąłem postanowienie sprzedaży lub oddania na exdywizją majątku.

—Lecz tym sposobem zrujnujesz się ze wszystkiem.

—Wiem o tem, i niewaham się wcale.— Wskazałem na ganek, na biadającą w nim wierzycielkę wdowę.— Możesz być miłym podobny widok, poczciwemu sercu? mogęż spokojnie pa-

trzeć na łzy, których otrzeć nie mogę, a które w części płyną i z mojéj winy? mogęż narażać dobrą sławę, wystawiać się na przekleństwa jednych, a obelgi i skargi innych kredytorów?

—Cóż jednak oddawszy wioski przedsięweźmiesz? sądzę bowiem, że mała tylko skrajka fortuny zostanie.

—Tak, lecz mnie to wcale nie wstrzymuje, jestem zdrów i młody, pracować chcę i lubię, zarobię na kawałek chleba czy wojskowo służąc krajowi, czy w prywatnych obowiązkach, któremu z magnatów.

Nie podobał się projekt starcowi, wsparty doświadczeniem, przeważnie go walczył, że wykrzyknąłem zasmucony:

—Lecz co uczynię? jakiż inny proceder życia mam obrać?

—Staraj się poświęciwszy ojcowską, o ocalenie macierzyńskiéj fortuny.

—Tego właśnie pragnąłem,— odpowiedziałem,— i to było powodem mozolnych jakie dotąd prowadziłem processów, sądzę nawet, mógłbym dopiąć celu. Według prawnych zasad, oj-

ciec nie mógł obciążać długami posagowego mojéj matki majątku; przecież rozważ panie Skarbniku, czy mogę w ten sposób bronić się? mogęż z krwią zimną, rujnować kilkanaście rodzin, pozbawiać ostatniego kąska chleba kilku wdów i sierot?... co zaś nadewszystko, czy mogę kalać i na przekleństwo narażać drogą mi pamięć ojca? dla wszystkich skarbów świata, nie jestem zdolny do tego!

—Dobry z ciebie chłopiec panie Albercie,— odpowiedział wzruszony mojemi słowami starzec,— godny lepszego losu, dla czego też on, nićma być twoim udziałem? podaj papiery, niech je przejrzę. Przy trosze doświadczenia, jakie posiadam, może znajdę jaki środek.

Uczyniłem czego żądał; zajął się czytaniem z uwagą, jakby chodziło o własny interes, od czasu zaś do czasu, zadał to pytanie dla objaśnienia, to uczynił jaką prawną uwagę, którejby niepowstydził się najznakomitszy jurysta; gdy zaś przegląd aktów zrobił, co parę godzin czasu zajęło, rospogodziło się jego oko i czoło.

—Panie Albercie!— piękne są twoje sentymenta, lecz czy im odpowiada zamiłowanie pracy, oszczędność, porządek?

—Ufam że w razie potrzeby, mógłbym tych przymiotów dowieść czynem.

—Wierzę na słowo, dla tego uważaj co powiém. Według mojego zdania, nie tylko że nie masz potrzeby tracenia połowy majątku, lecz owszem cały zachować możesz.

—Nie mniemam aby kredytorowie zechcieli ufać lub czekać.

—Jedni nie chcą czekać, że bezpieczeństwa swoich summ nie mają, inni, że im potrzebne pieniądze, piérwszych i drugich zaspokoić należy.

—Chętnie to uczyniłbym, lecz jakiż sposób? zniszczone gospodarstwo, nie daje stosownych zasobów, o nowéj pożyczce ani myśléć, któż bowiem zrujnowanemu jakim jestem i za jakiego uchodzę, zechce choć szeląg powierzyć?

—Nie trać ufności w Bogu i w ludziach, którzy poznawszy twój sposób myślenia, w nim mieć będą rękojmią wywiązania się z zobowiązań, a więc przyjdą z pomocą. Ile z dopiéro

przeczytanych papierów uważam cztérdziestu tysięcy potrzebujesz na ten święty Jan. O połowę tylko summy kłopot, bo druga jest już dzisiaj na twe usługi.

—Lecz kto zechce wygodzić?

—Ja, mój kochanku! właśnie odebrałem od pana Kasztelana Małogoskiego, chowam na posag dla Hanny, w jéj imieniu pożyczę.

Podziękowałem z całego serca za ofiarę, przyjąć jéj jednak nie mogłem, zdawała mi się prostą darowizną. Gdym o tém wspomniał starzec żywo przemówił:

—Mylisz się panie Albercie! a zaraz ci tego dowiodę; naprzód, wspomniałem ci już jaką summą chcę ci dopomódz, gdyby wyłącznie należała do mnie, mógłbym ryzykować, lecz stanowi część posagu Hanny, jako taką obowiązek sumienia i serca, strzedz i nienaruszenie zachować nakazuje; powtóre, niedaremnie pytałem się, czy lubisz oszczędność i pracę? z papierów przekonałem się o istotnéj wartości majątku, zabiegiem i pracą podwoić, a nawet potroić ją można, tak iż po trzech lub czterech latach, nie tylko pro-

centa lecz i długi bez mozołu, będziesz mógł spłacać. Wreszcie, a i to punkt niebagatelny, dla czego nie masz prędzéj niż mniemasz oswobodzić się z kłopotów? jesteś młody, przystojny, dobrze wychowany i urodzony, w powiecie mnóstwo panien, znajdą się urodziwe i pobożne, czemuż która nie ma przypaść do serca, a wnioskiem oczyścić fortuny?

Mówił jeszcze długo, a w podobny sposób, przekonał mię też całkowicie. Oddałam mu się pod opiekę, i że święty Jan nadszedł, w parę już dni późniéj, pojechaliśmy do Płocka, dla ułożenia się z kredytorami.

Summa, którą wygodził Skarbnik, i druga, którą w mojem imieniu od kahału pożyczył, zaspokoiła drobniejszych, a najwięcéj trapiących wierzycieli. Ten przyjął połowę, inny trzecią część należytości, więcéj potrzebnemu, zapłaciło się i wszystko.

Ale na tém nie był koniec, zostali znaczniejsi skryptowi kredytorowie, z témi trudniejsza sprawa: mając w ręku sądowe wyroki i kondemnaty ani chcieli słuchać o zwłoce. Daremne

były wszystkie w tej mierze moje i pana Bonawentury prośby i przełożenia; lecz gdy mniemałem, że wszystkie nasze piękne projekta pójdą na wiatr, jeden z wierzycieli prym przed wszystkiemi trzymający, po długiej rozprawie z Skarbnikiem, przemówił:

—Szanuję twoje zdanie panie bracie, chętnie zgodziłbym się na zwłokę lat kilku, lecz rozważ sam czy szambelanic (mówił o mnie), daje dostateczną rękojmią kapitałów?

—Majątku nie przenoszą długi— przerwałem.

—Dzisiaj, prawda, lecz kto mi zaręczy za przyszłość, kto zapewni, że ogień, woda, nieurodzaj, lub inna jakowa karystja, stanowczego ciosu nie zada fortunie?

—Prawda, lecz na odwrót, dla czego nie mamy liczyć na lepsze czasy? dwa lub trzy dobre lata, wielką a pomyślną zmianę mogą przynieść w interessach.

—Nie można przeczyć, jednak nie wszystkie jeszcze powody obawy wypowiedziałem. WPan sam jesteś głównym punktem, że nie mogę przyjąć podanych kondycji.

—Ja?... niepojmuję.

—Tak, twoja młodość i niedoświadczenie.

—Chcę i będę pracował,— przerwałem.

—Piękne oświadczenia, lecz czy im odpowie siła woli, a wreszcie i możność. Któż zaręczy że karty, szklanka, złe towarzystwo lub przypadek, niesprowadzą z dobréj drogi? młodość łatwo piękne projekta tworzy, lecz je rzadko doprowadza do celu.

—Uchybiasz mi panie Chorąży.

—Przepraszam, lecz sądzę że w interessach podobnych naszemu, niepowinno być gniewu, gdy jedna drugiej stronie, wypowie wszystko co cięży na sercu, jakoś łatwiéj się porozumieją i skommunikują; otóż i teraz niech tak będzie. Wracając do interessu: chcesz abym ci zaufał, ale rozważ, że summka o którą się upominam, nie należy do mnie wyłącznie, lecz stanowi część majątku dzieci, ma zapewnić ich przyszłość. Dopomagając ci tedy, czy mam ogołacać własną krew; narażać na stratę? robię cię sędzią własnéj sprawy. Czyżbyś w położeniu mojém inaczéj postąpił? moja obawa i wzdryganie się, nie

są wypadkiem samolubstwa, i braku usłużności, lecz rozsądku i powinności dobrego ojca.

Nie mogłem przeczyć, aby Chorąży nie miał słuszności za sobą, milczałem tedy, lecz Skarbnik wystąpił, mówiąc:

—Wszystkie twoje uwagi panie bracie są słuszne, jednak chciéj łaskawie oświadczyć, jakie jest twoje ultimatum w téj sprawie?

—Proste one,— była odpowiedź— z całéj duszy radbym dopomógł szambelanicowi, lecz chcę to uczynić bez własnéj szkody. Zostawię na jego majątku należną mi sumkę, processu popierać nie będę, owszem gotów jestem wyrzec się zaległych procentów, jeśli mi da stosowną rękojmię przyszłości, to jest: gdy znajdzie kogo, co własném słowem i honorem za niego zaręczy.

—A i my punkt w punkt zgadzamy się na projekt P. Chorążego— wyrzekną inni wierzyciele;— i żądamy albo bezzwłócznéj wypłaty naszych kapitałów, lub też poręki.

Bogiem a prawdą, słuszne były to żądania, ale niweczyły wszystkie moje projekta. Czy bowiem zrujnowany jak byłem, mogłem znaleść

żądanego poręczyciela? krewnych a nawet zamożnych znalazło się dosyć, lecz gdy jak mowi przysłowie: «bliższa koszula ciała niż kożuch." Każdy wprzód niż o mnie, myślałby o sobie lub swych dziatkach. Smutek tedy ogarnął, więcéj niż kiedy przyszłość w czarnych i posępnych obrazach stawała przed okiem wyobraźni... strapienie podzielał zaś dobry Skarbnik, lecz gdy mniemałem, że nieodwołalnie zgubiony byłem, Bóg dał niespodziewaną pomoc, drzwi od przyległéj izby otworzyły się, i weszła moja krewna Hanna córka pana Bonawentury.

Piękne było to dziewczę, niezadługo obszerniéj pomówię o niéj, zasługuje na to pod każdym względem, na ten raz, ograniczę się opisem zdarzenia. Przyjechawszy z nami do Płocka, z drugiéj izby kwatery mogła dokładnie słyszéć całą utarczkę z kredytorami; a więc i jéj rezultat. Ukazała się tedy w stanowczéj chwili, a niby anioł zbawienia dla mnie. Modre jéj piękne oko błyszczało silném jakiémś postanowieniem; nadobną twarzyczkę oblewał lekki rumieniec, skutek wzruszenia serca i niewieściego wsty-

du, że się ośmieliła ukazać w zgromadzeniu z samych mężczyzn złożoném.

Przyjęto ją jednak jak nie można lepiéj, powstano z uszanowaniem; wszystkie głowy, a nawet siwizną okryte, schyliły się grzecznie. Hanna oddawszy obecnym ukłon, na mnie pełne niewysłowionéj dobroci i nadziei zwróciła spójrzenie, a przystąpiła do ojca.

Zbliżywszy się, cóś mu z cicha szepnęła do ucha, co? nie mogłem usłyszéć, lecz zapewne wielkiéj jakiéj wagi słowa, bo starzec poprosiwszy o chwilę cierpliwości przytomnych, przeszedł wraz z córką do bocznéj izby.

Gdy wrócił, co dopiéro w kwadrans późniéj nastąpiło, z czoła i z oka znać było, że jakaś walka toczy się w sercu; parę chwil milczał, jakby namyślał się coby uczynić, zdecydował się wreście i do Chorążego przystąpił.

—A więc ostateczném postanowieniem WMości jest to, któreś niedawno objawił, zostawisz na majątku szambelanica twą summę, jeśli się znajdzie stosowny poręczyciel.

—Tak, i nie cofam się wcale,— odparł Chorąży.

—Idzie już tedy tylko o rękojmią, mniemam że się ją znajdzie, WMość znasz mnie oddawna.

—Bóg by dał więcéj podobnych sąsiadów i obywateli!

—Co się tyczy mojéj chudoby, wprawdzie szczupła, lecz nieźle zagospodarowana, podwójne tedy bezpieczeństwo zapewniano majątku i charakteru, zechcesz że je przyjąć?

—Dla Boga! panie Skarbniku, co czynisz?— wykrzyknąłem, uprzedzając odpowiedź Chorążego,— czy sposób abyś dla mego, własne dobro narażał!...

—Przyrzekłem że to uczynię,— odpowiedział krótko, ale stanowczym głosem.

—Ależ ja nie mogę zezwolić, ufam sobie, wiém że odpowiém twemu zaufaniu, że wszystko co będzie w ludzkiéj mocy uczynię, aby się wywiązać z zobowiązania; jednak, przypomnij sobie, co mówił pan Chorąży: kto może ręczyć za przyszłość? jeden niezależny ode mnie nie-

szczęśliwy przypadek może zrujnować nasze projekta, poprzeć najświętsze zamiary.

—Wtedy stracę chudobę jedyne moje dziedzictwo, jedyną rękojmią przyszłości mojej i dziecka, które kocham nad życie— przerwał z smutnem westchnieniem starzec,— lecz nie mogę wahać się, dałem słowo.

—Któż go jednak śmiał wymagać?

—Hanna.

Mimo tego objaśnienia, chciałem sprzeciwić się projektowi, lecz starzec był nieugięty w postanowieniu. Gdy zaś ułatwiwszy zwykłe w podobnych razach formalności ujrzeliśmy się sami, gdy dziękując za szlachetną pomoc rzuciłem się mu w objęcia, przemówił:

—Panie Albercie! zasługa dobrego czynu, nie do mnie, lecz wyłącznie do Hanny należy. Ona to skłoniła usilną prośbą do przyniesienia ci pomocy. Wiedząc zatem co zaszło, spodziewam się rozumiesz co ci czynić wypada. Od ciebie licząc od dzisiaj, nasz los zależy, nieprzywódź że do zguby, nie zmuszaj, abyśmy kiedy żałowa

postępku. Mniejsza o mnie; wychowany w skromnéj mierności, przyuczony od dziecka do pracy, spokojnie zniósłbym stratę majątku; lecz inna rzecz z Hanną, ta nie zna co niedostatek, podwójnie więc udręczałby. Widzieć zaś ją w niedoli, pozbawioną tych drobiazgowych przyjemności dobrego bytu, do których od dziecka przywykła, widząc przyszłość zwichniętą, dla kochającego ojca byłaby to męczarnia do niezniesienia, cierpienie, któremu równego wyobrazić sobie nie możesz.

Bez tych słów i napomnień Skarbnika, czując całą ważność jego ofiary, a zarazem obowiązki włożone na mnie honorem i sumieniem, starałbym się uczynić im zadość, z zapałem tedy wziąłem się do pracy, a postępując w trop rad doświadczonego w gospodarstwie starca, już przy końcu pierwszego roku, nie tylko że przypadające procenta opłaciłem na termin, lecz owszem, nadliczyłem cóś na kapitał. Ustalający się pokój, wzrastający z nim handel i pomyślność ogólna, dawały niepłonną nadzieję na przyszłość; mimo tego nie byłem szczęśliwy, błogosławiąc

pod względem materjalnym, moralnie los dręczył, ciężkie dokuczały strapienia, powodem zaś ich była właśnie istota, jak się zdawało, tylko dla niesienia szczęścia stworzona od Boga, ziemski jego anioł, moja w dopiéro co opisaném zdarzeniu, zbawczyni, Hanna.

2.

Miłość i projekta małżeństwa.

Wspomniawszy poprzednio, że pięknem dziewczęciem była Hanna, niedość powiedziałem. Żyłem w świecie, znałem Warszawę w najświetniejszych jéj czasach, kiedy na tronie zasiadał Monarcha młody, przystojny i ukształcony, a gromadzący koło siebie wszystkie boginie epoki, którym nie tylko Polska ale cała Europa należne hołdy składała; a wierszopisowie nasi jak Kniaźnin, Naruszewicz, Trembecki, a nawet skromny i poczciwy Karpiński, tyle Od, Sielanek i Drammatów poświęcali. Tak naprzykład,

niejednokrotnie schodziłem się z trzema gracjami owego czasu, z księżną S*, Podskarbiną K*, Wojewodziną Gr., słynną nie tylko urodą, ale i niezwykle wykształconym roznmem, który słusznie, dawszy jéj tytuł Minerwy polskiéj, zdołał podbić, i co więcéj utrzymać zmienność lubiące serce Monarchy. Prócz wyżéj wspomnionych, pamiętam i inne piękności jak Jenerałowę W* późniéj hrabinę P*, dla któréj szalał z Trębeckim dwór cały, za którą gdzie się pokazała, tłumem biegł naród jak *np.* w Hamburgu, kędy flegmatyczni z natury Niemcy o istotne przychodzili szaleństwo, że dnie całe przepędzali pod oknami hotelu, w którym mieszkała, aby choć na minutę *Wunderschöne Polinn*, ujrzeć. Pamiętam i zbyt wcześnie zgasłą dla świata, Sekretarzowę Koronną Ogrodzkę, i wreście, tyle słynną z cnót i wdzięków ofiarę nieszczęsnéj pamięci rewolucji francuzkiéj, Księżnę L... z domu hrabiankę C...

Otóż znałem te wszystkie boginie, nie jedna chwilowo zawróciła głowę, o żywsze bicie przywiodła serce, żadna jednak w porównanie pójść

z Hanną nie mogła. Trudno wprawdzie powiedzieć, aby moja bogdanka przewyższała urokiem wdzięków wszystkie owe piękności, owszem wyznać muszę, każdéj w jakiém szczególe musiała ustąpić, téj w blasku urody, tamtéj w żywości dowcipu, innéj w nauce, lecz ogół zalet, ten ją stawiał nad wszystkie, cóż dopiero niewypowiedziane bogactwo duszy i serca, niewysłowiona charakteru piękność!

Nie będę przecież nad témi jéj przymiotami zatrzymywał się długo, ciąg je niniejszego opowiadania najlepiéj okaże; nie będę też skreślał wielkości mych uczuć, ich miarę, z tego wziąść możecie, że choć pół wieku upłynęło od czasu, którego moja powieść zasięga, choć serce z trudem że bije, a wszystko co niegdyś wielbiłem zbladłą, zwiędłą, spowszedniałą, sam tylko wizerunek Hanny niedotkniętym został, żywo błyszczy w pamięci, a zawsze w dawnym blasku, dawnym wdziękiem przyodzian, jak niegdyś i teraz, jest on mi świętością przed którą giąć kolana, ku któréj kierować myśli i marzenia muszę.

Kochając, nie byłem jednak szczęśliwy, nieumiałem wzajemności pozyskać, tak przynajmniéj sądziłem.

Łatwo zatém możecie pojąć ile cierpiałem.

Nie od razu jednak przyszedłem do téj smutnéj pewności, i mnie błyszczały dni szczęścia i ja śmiało z jednym z starożytnych poetów powiedzieć mogłem:

«*Et ego in Arcadia fui.*"

Ależ kategorycznie winienem opowiedzieć wypadki.

Przypomina sobie czytelnik w jakich okolicznościach zostawałem. Olbrzymniéj siły ducha, potężnéj woli i hartu umysłu było trzeba, żeby się oprzéć zawistnemu losowi. Cóżkolwiek utrzymywał Skarbnik, moje położenie majątkowe długo przykre i wątpliwe były; mimo usilnéj pracy, lada zawód mógł je zachwiać, a nawet zgubić na zawsze! Dodajmy do tego nieodzowne przykrości podobnego życia, konieczność wyrzeczenia się tych przyjemnostek, za któremi młodość tak łakomo goni, możnéj trzeba było pod-

pory, aby nie uledz pokusie rozpaczy albo cierpieniu, tę podporę znalazłem w Hannie. Czy litość, czy też skłonność serca sprawiły, że opuszczonego od świata, znękanego pracą, wzięła pod swoją opiekę. Lube dni to były! miłe, roskoszne, są one temi w pomroce mojéj przeszłości, na których z radością zatrzymują się wspomnienia, za któremi skwapliwie goni pamięć. Blizki sąsiad Skarbnika, związany z nim pokrewieństwem, a co większa wdzięcznością, nieopuściłem ni jednego dnia, aby go chociaż na kilka minut nieodwiedzić, przyjmowany zaś byłem zawsze uprzejmie, od starca jak syn, od Hanny jak brat rodzony. Słuchano z współczuciem utysków, podzielano strapienia, lecz gdy Skarbnik materjalne podawał środki, Hanna stokroć skuteczniejszemi, bo moralnemi pokrzepiała. Jéj trafny rozsądek i bystry rozum w najwięcéj zawikłanych sprawach, umiały dobrą drogę wskazać. Dla tego też prawie zawsze przyjeżdżałem smutny, znękany, a wracałem pełny nadziei i dobréj otuchy. Nic dla człowieka przygnieconego strapieniem lub znękanego pracą korzystniej-

szego niema nad słowo, lecz to słowo winno wychodzić z ust niewiasty drogiéj sercu, a być natchnionêm prawdziwémi litością, rozsądkiem i wiarą.

Lecz nie tylko na przynoszeniu ulgi w kłopotach ograniczała się opieka Hanny, umiała inną, a daleko ważniejszą dopomódz.

Dziwna to zaiste była istota, wychowana w wiejskiém ustroniu, świat ledwo znała z słychu lub książek; umiała jednak odgadnąć jego wymagania, zrozumieć zalety i wady, a daleko lepiéj niż osoba w nim żyjąca i jemu całkowicie oddana. Nie zapomnę nigdy jéj trafnych spostrzeżeń i uwag, równie jak i rad, które niedoświadczonemu przynosiła; utkwiły one głęboko w pamięci, im też zawdzięczam, że gdy los rzucił w odmęt publicznego życia, gdy niejednokrotnie występek lub błąd, w mamiące szaty pozoru odziane, uśmiechające się własnéj miłości lub dumie, łudziły i nęciły, nieuległem im, odgarniając od siebie, potrafiłem utrzymać się na drodze, prawda, szorstkiéj i ciernistej, lecz téj, którą nakazywały sumienie i honor.

Byłem tedy pomimo materjalnych utrapień, moralnie szczęśliwy: świat nie łudził, bo umiałem go znaleść w obrębie szczupłego domku Skarbnika; nietrapiła przyszłość, bo w teraźniejszości znajdywałem jéj rękojmią; pozorna monotonność życia nie dręczyła, gdyż właśnie w niéj był powab dla serca. Lecz takie szczęście choć mogło trwać nie wiém jak długo, przebrzmiało wkrótce, pozazdroscił go zawistny los, skrzyżowało przeznaczenie!...

A oto w jaki sposób nastąpiło to wszystko.

Pewnego wieczora, odwiedziwszy Skarbnika, nie zastałem go w domu, wyjechał w sąsiedztwo z wizytą. Gdy wrócił, był w wyśmienitym humorze, ja naprzeciw, młody gospodarz, przeliczywszy się w jakimś interessie, że wspak poszedłem, bałem się, aby w okolicznościach w jakich zostawałem, zgubnego wpływu nie wywarł na przyszłość.

Starzec słuchał utysków z zajęciem jakie okazywał mi zawsze, gdym skończył przemówił:

—Ależ mój kochany Albercie, bagatela to i nic więcéj! jeślibyś miał zważać na wszystkie

podobne wypadki, spokojnéj chwili nie miałbyś, życie stałoby ci się tylko jednym pasmem cierpienia. Wyrzuć tedy z serca frasunek, czując błąd już go tém samém poprawiasz.

—Dziękuję za pociechę panie Skarbniku— odparłem,— przyznasz jednak, że kilka jeszcze podobnych omyłek, a zrujnowanym bez nadziei będę.

—Prawda, nieprzeczę, dla tego też mam wyborny projekt, może on cię od razu, ze wszystkich podobnych kłopotów wybawić, chceszże go przyjąć?

—I owszem, któżby odpychał szczęście od siebie?

—Kiedy tak, od razu możemy przystąpić do rzeczy. Wracam właśnie od Kasztelana Rypińskiego, człowiek jak wiész bogaty, zabiegły, miljonowy, a ma córkę.

—Wiém o tém, lecz niepojmuję jak może mieć związek z mym losem.

—Jaki? *per Deum immortalem*, chłopcze! albož mnie nierozumisz? czemuż się nie masz odezwać o rękę panny?

Uśmiéchnąłem się:— Zapominasz panie Skarbniku, że on senator i bogacz, gdy ja chudopachołek.

—Tak, lecz chudopachołek dobrego gniazda, pięknych kolligacij i antenatów, nadto stateczny i rozważny jak mało który w okolicy. Kasztelan ceni podobne zalety, i gdy szczęśliwą uderzony myślą w poufnéj gadance jakąśmy wiedli, podałem cię za kandydata do ręki jego córki, nie tylko że się nie rozgniewał, ale owszem w ręcz wyznał, że jeśli tylko względy panny pozyskasz, z jego strony przeszkody nie będzie.

—Piękna obietnica, lecz warunek...

—Nie miéj kłopotu, wszystko pójdzie snadniéj niż mniemasz. Stary lis, nieograniczyłem się na wybadaniu ojca, ale chciałem poznać i stosunki domowe, za jednym rzutem oka zrozumiałem je doskonale. Panna, dziéwczę dobre, potulne, wychowana w klasztorze, własnéj woli niema; życzenie ojca, prawem dla niéj. Choćbyś się i nie podobał, gdy pozna, że kasztelan chce tego, przyjmie cię za męża; ale czemuż u licha, nie miałbyś się podobać? jesteś młody, przystojny,

dowcipny, nadzieję mieć możesz. Jutro już pojedziemy.

—Pośpiesznie, przeciw zwyczajowi swojemu bierzesz się do rzeczy panie Skarbniku,— zrobiłem uwagę, rozweselony nieco projektem starca.

—Ejże, albo nie znasz przysłowia? drzéj łyka kiedy się dadzą;— odparł mi żywo.—Panie bracie, czasu do stracenia niéma, trzeba korzystać z dobrych chęci kasztelana i uprzedzić innych konkurentów; dla tego jak powiedziałem, jutro już pojedziem, a w tém jeszcze miesiącu, a najdaléj kwartale, poprowadzisz pannę młodą do ołtarza, i sute wyprawisz wesele; będziem się bawić jak rzadko, o druchny nawet niéma kłopotu, ot moja Hanna gotowa.

Śmiejąc się, owładnięty wyobrazyjną nadzieją starca, zwróciłem się ku pięknemu dziewczęciu, ani wątpiąc że i ono w podobném mojemu usposobieniu ducha zostaje, ile przecież zdziwiony, a nawet przestraszony byłem, widząc że jest wcale przeciwnie. Nadobne policzki śnieżna powlekła bladość, dreszcz wstrząsał ciałem, a modre oko

choć to pragnęła ukryć, błyszczało podwójnie łzami zroszone.

—Dla Boga! co wam kuzynko?— wykrzyknąłem powstając z zydla— tak nagle zmieniona jesteś.

Mój wykrzyk zwrócił uwagę Skarbnika; kochał córkę ile zasługiwała na to, jej stan obecny przestraszył, troskliwie badał o przyczynę, nic nieznaczące dawała odpowiedzi; niemoc składając na znużenie dzienne sprawione zakrzątaniem się przy gospodarstwie, zapewniała że godzina spoczynku wszystko zakończy.

Chociaż zdawało mi się żem zrozumiał istotny powód nagłej słabości dziewczęcia, jednak podług układu, już nazajutrz pojechałem z Skarbnikiem do Kasztelana; projekt małżeństwa był wprawdzie całkiem sercu przeciwny, gdyż już wtedy kochałem Hannę i czułem, że dla wszystkich skarbów świata, niewyrzekłbym się jej ręki, przecież młodzieńcza ciekawość i lekkomyślność, a nadewszystko chęć uczynienia zadość woli opiekuna, skłoniły.

W Rypinie przyjęto nas mile. Kasztelan był człowiek staréj daty, lecz uprzejmy i dworny. Chudopachołek z rodziców, zabiegiem i pracą dobiwszy się magnackiéj fortuny, niepuszył nią jak to radzi dorobkowce czynią, nie wypierał się pierwotnego swojego stanu, ani gardził témi, których los upośledził w majątku. Jeśli była jaka wada, to chyba ta jedna, że magnat fortuną, a przyszłością pospolity szlachcic, gdy nie mógł sobie, chciał przynajmniéj córce zapewnić korzyści, jakie dają wysokie urodzenie i koligacje; w wyborze zatem zięcia, więcéj dbał o te zalety, niż o inne daleko gruntowniejsze i godniejsze szacunku.

Że moje nazwisko było jako tako w kraju znajome, że między przodkami znalazła się nie jedna znakomita dostojność, a stosunki krwi łączyły z wieloma magnackiemi familjami, Kasztelan przyjął z odznaczeniem i łatwo mogłem uważać, że jak o tém Skarbnik wspomniał, niewieleby gniewał się, gdybym się o rękę jego córki oświadczył.

Co się tyczy panny, i tu Skarbnik dokładne

dał objaśnienia. Rzeczywiście było to dziéwczę aż nazbyt potulne i skromne, klasztorne wychowanie, znać w każdym postępku; tak naprzykład, za wejściem do izby opuściwszy ku ziemi oczy, tak siedziała na krańcu krzesełka, mało zważając na to co się w okrąg niéj dzieje; daremnie siliłem się, aby nieco oswoić ze sobą, do jakiéj rozmowy skłonić, *tak* lub *nie*, oto były jedyne wyrazy, jakie przez ciąg kilku godzin mogłem z jéj ust wydobyć.

Za cnotę uważali starożytni podobną wstrzemięźliwość języka, lecz w naszych czasach zdawała mi się ona trochę zbyteczną.

—Jakże ci się podoba panna?— pytał przecież Skarbnik, gdy po półdniowym pobycie opuściliśmy wreszcie gościnę— nieprawda? dziéwczę wcale piękne, rozumne, cnotliwe...

Odpowiedziałem żartując:— Co do rozumu wyrokować nie mogę bez przekonania się o nim, o cnocie nie wątpię, a piękności domyślam się, że niebrakuje.

—Jak to domyślasz się?

—Dla bardzo prostej przyczyny, a to téj, że pomimo wszystkich mych starań, całéj jéj twarzy dopatrzyć nie mogłem, nawet koloru oczu nie znam, uważałeś panie Skarbniku jak niełaskawą była w tym względzie.

—Otóż i zarzuty!— przerwał starzec w półżartem, w pół serjo.— Otóż młodzież dzisiejsza! niedogodzisz w niczém: znajdzie pannę uprzejmą i rezolutną, źle! okrzyknie za Virrago, za Heroda! znajdzie skromną, potulną i wstrzemięźliwą, znowu nie dobrze! gąska, mówi, jagniątko! Za moich czasów, nie było tego: kawaler nie śmiał sądzić panny, a tém mniéj obmawiać, brał jaka się zdarzyła, jaką raili przyjaciele i krewni lub dawali rodzice; niejednokrotnie znajomość robiła się dopiéro przy ślubie, a jednak było dobrze, uczciwie, pobożnie, na chwałę Boga i zasługę przed ludźmi; teraz na odwrót, każdy ma swój własny sąd, przebiera, ocenia, wybiera, i gdy wybierze niby jak rozum i serce dyktują, w rezultacie zyska domowe swary, niepokój i co gorszego....

—W części masz słuszność panie Skarbniku,

nie wszystko złoto co się świeci— odparłem— niejednokrotnie twarz piękna, a serce brzydkie, niejednokrotnie własnym nawet uczuciom nie można ufać. Co się tycze Kasztelanki, jeśli są jakie wady w wychowaniu, posag wszystkie pokrywa.

—O co do tego punktu,— przerwał zacierając ręce starzec,— nie ma kłopotu. Wyobraź sobie, co mi mówił Kasztelan: daje całe dwa kroć gotówką pod poduszkę. W tych złych czasach nie bagatelny to kapitał! za jednym razem oswobodzisz się z długów, owszem zostanie jakaś summa na urządzenie gospodarstwa. Robisz partją, której całe województwo zazdrościć ci będzie.

—Lecz czy zrobię?

—Ba i bardzo, czemuż ma być inaczej? nie zaspałem kołaczy w popiele, i gdyś ty zajmował się panną, a potem poszedłeś obejrzyć konie, wyciągałem przy kieliszku węgrzyna Kasztelana na słówko. Podobałeś mu się pod każdym względem, a nadewszystko dla tego, że na

odwrót innym kawalerom, nie tylko pannie, lecz i jemu robiłeś attencje.

Szczéra była to prawda, lecz też nie mogło być inaczéj. Znudzony jednosyllabną rozmową Kasztelanki, zwróciłem się do ojca, który jako człowiek doświadczony i dworski bawił gadanką. Nie śmiałem jednak wyznać prawdy Skarbnikowi, który cały zajęty swoim projektem, rozwijał go we wszystkich szczegółach, układał nawet, jeśli się nie mylę, tryb wesela, cytował osoby, które zaprosić wypada i kłopotał się zkądby muzykę sprowadzić.

Słuchałem nieprzerywając tych marzeń, czém innem bowiem byłem zajęty. Niepokoiła mię wczorajsza słabość Hanny. Instynktowo pojmując jéj powód, wyrzucałem sobie, że przez lekkomyślne przyjęcie propozycji Skarbnika, mogłem powiększyć strapienie lubego dziewczęcia; trapiła też całodniowa rozłąka, po raz piérwszy dopiero od pół roku mająca miejsce. Każdy zatém snadno zrozumié, ile ucieszony byłem, gdy koła podróżnéj naszéj kolaski, zatętniały wreszcie przed gankiem miłéj zagrody.

Mimo spóźnionéj pory, Hanna czekała na nas z wieczerzą. Uważnie przyglądałem się jéj. Wczorajszéj słabości duże zostały ślady, twarz była blada, oczy zarumienione niby skutkiem hojnego rozlewu łez, niewysławiona jednak potęga duszy w nich jaśniała, błyszczały niezłomną wolą silnego postanowienia; widocznie, umiejąc znieść piérwszy cios boleśnego wypadku przyrzekła sobie, że i nadal stawi mu czoło.

Na ciężką jednak próbę zamiary dziewczęcia narażone były.

I w ciągu wieczerzy, i długo po jéj skończeniu, Skarbnik zajęty swémi swatami o niczém inném tylko o nich mówił. Naderemnie chciałem zwrócić na inny przedmiot rozmowę, nic nie pomagało; uważałem przecie, że ta gadanka raniła serce Hanny. Stanowczo tedy postanowiłem raz koniec jéj cierpieniu położyć, i właśnie, gdy starzec w najlepsze rozpościerał się nad przyszłém szczęściem mojego związku, chłodno przerwałem:

—Piękne to wszystko są rzeczy, jednak dotąd tylko zamki na lodzie.

—Powiedziałem ci że Kasztelan zezwoli, panna chętnie przyjmie.

—Lecz i ja, jeśli się nie mylę, znaczę cóś w tym razie.

—Ton, którym wyrzekłem te słowa, zwrócił wreszcie uwagę starca.

—*Per Deum immortalem*, chłopcze! nie będziesz przecie się wzdragał...

—Wybacz panie Skarbniku,— odpowiedziałem stanowczo,— ale mylisz się w tym razie; bynajmniéj nie chcę się żenić, a przynajmniéj z osobą, którą raisz.

Dobrym był człowiekiem Skarbnik, sama poczciwość; lecz znalazła się i wada. Przeświadczony w prawności swoich postępków, łatwo unosił się gniewem, gdy kto jaki bądź stawiał mu opór; rozgniewał się zatém i teraz, nie mógł zrozumieć mojego sprzeciwienia się; niedokładne tłómaczenia jakie dawałem, więcéj jeszcze jątrzyły, nazywał szaleńcem, nierozważnym i t. p. Chcąc przykrą dla siebie scenę zakończyć, odjechałem do domu.

Nazajutrz jednak wcześniéj niż zwykle, nieułatwiwszy nawet gospodarskich zatrudnień, dosiadłszy konia, śpieszyłem do lubéj zagrody. Wiedziałem że Skarbnika nie zastanę w domu, wyjechał w sąsiedztwo, wezwany na kompromiss; ta właśnie okoliczność do wcześniejszych odwiedzin skłaniała, ważny był bowiem projekt na myśli.

3.

Zawod uczuć.

Chociaż młody, wychowany w ciężkiej szkole niedoli, miałem niejakie doświadczenie i instynktowy, że się tak wyrażę, dar poznawania osób, z któremi zostawałem w jakich bądź stosunkach. Zdawało mi się też, że odgadłem serce Hanny, prawie byłem pewny że mnie kocha, wczorajszy wypadek szczególniejszym był tego dowodem; biedna! niemogła znieść myśli abyśmy kiedy bądź rozłączeni zostali, abym inną jaką niewiastę, nie ją, nazwał mą żoną.

Lecz przeświadczenie na domyśle tylko oparte niewystarczało, przyszła chęć aby potwierdzenie szczęścia z własnych jéj ust posłyszyć. Ta myśl przyjęła się do wyobraźni, tkałem na niéj cudowne mary przyszłości, roskoszowałem się jak dziecko obietnicą miłego jakiego cacka. Był to jedén z tych szałów, które zaprzątając serce, mylą rozum, zaciemniają rozsądek.

Nad tém jednak niezastanawiałem się jaki rezultat podobne oświadczenie mieć może dla nas. Jeszcze wówczas na serio nie myślałem o małżeństwie; kochać i być kochanym, oto było moje hasło, oto piérwszy warunek szczęścia! taka to już natura młodości, dzisiaj wszystkiém dla niéj, jutro zostawia przypadkowi i Bogu.

Znalazłem Hannę w całkiem dziwnym humorze: niewypowiedzianie stęskniała, spoważniała, w przyjęciu nawet była różnica od zwyczajnego, piętnował się w niém jakiś chłód, rozmysł i powściągliwość.

A nadaremnie i długo siliłem się aby dobry humor przywrócić, do wywnętrzeń nakłonić, coby inną razą bawiło lub zajmowało, teraz roz-

weselić niemogło. Wyraźnie było na myśli jakieś postanowienie, z którém nieśmiała lub niechciała odezwać się.

Przeskaknąc z przedmiotu na przedmiot, zaszczepiłem wreście wczorajszą rozmowę z Skarbnikiem.

Na to tylko zdawało się oczekiwała, piękne oko żywo zabłysło, na twarz wywinął rumieniec:

—Panie Albercie!— wyrzekła— źleście sobie postąpili w tym razie.

—Jak to rozumiecie kuzynko?

—Czy się godziło, jak to uczyniłeś, sprzeciwiać się człowiekowi, który dobrze ci życzy, twego szczęścia pragnie.

—Lecz też czy się godzi,— przerwałem— wymagać niepodobieństwa, narzucać więzy, które odpycha serce?

—Kasztelanka przecież dobra i ile wiem nieszpetna osoba.

—I wy tedy jesteście za nią! i wy raicie ten nieszczęsny związek! Skarbnik mógł to uczynić, lecz nie wy...

—Dla czegoż ja nie?— przerwała.

—Dla czego?— wyrzeknę— czy możecie oto badać? czy mnie jeszcze niepojmujecie? nieumiecież zrozumieć że ni jéj, ni żadnéj innéj prócz jednéj niewiasty, żoną nie mogę nazwać; że gdybym inaczéj postąpił, kłamałbym przeciw sumieniu, owszem ciężkie krzywoprzysięztwo popełniłbym przysięgając miłość, któréj ni czuję, ni czuć nigdy nie mogę!...

Mówiłem z zapałem domyślnemi spójrzeniami oblewając dziewcze. Zarumieniła się też i zadrżała, niby wyznanie miłości wprost w ucho zabrzmiało, prędko jednak przeminęło to wstrząśnienie, i...

—Panie Albercie! tak być nie może— szepnęła.

—O czémże mówicie kuzynko?

—Powinniście zaślubić Kasztelankę.

Roześmiałem się.—Przebacz Hanno! w tym jedynie razie, twoja wola być mi prawem nie może.

—Powinna być niém, jednak... zastanów się bowiem panie Albercie; wszystko co mówiłeś dotąd, są to piękne sentymenta młodości, a więc

nie doświadczenia; dyktowało je serce nie badając głowy o zdanie. Lękasz się popełnić świętokradztwo mając nazwać Kasztelankę żoną, lecz czy nie wpadasz w daleko większy grzech, odrzucając szczęście jakiém Bóg w swojéj łasce pragnie obdarzyć? Z resztą, gdy idzie o całą przyszłość, alboż chwilowe nierozważne, a często mniemane tylko przeszkody, być nam na uwadze powinny? prawdziwe nawet gdy się znajdą, męzkie serce przełamać powinno, niéma szczęścia bez ofiar, i twoje bez nich obejść się niemoże.

Mówiła z przeświadczeniem duszy, a niezwykła powaga malowała się w całéj postawie.— Przerwałem jednak z ironją:

— Szczęście o którém wspominasz Hanno! zbyt małe, a ofiary zbyt wielkie będą, abym mógł je przyjąć.

— Mylicie się i w tym względzie Panie Albercie! — odparła mi żywo — a przebaczcie że nieco obszérniéj zastanowię się nad tém.

Jakoż mówiła długo, i jak to umiała, pięknie.

Słuchając jéj rad, zdawało się że niéma dla mnie innéj nadziei ratunku, niéma szczęścia jak tylko w związku z Kasztelanką, łudziła pięknémi obrazkami przyszłości, wabiła niezależnością majątkową, więcéj nawet świetne, więcéj przemawiające do wyobraźni i duszy, stawiała przeszkody; według niéj, i własne i dobro ogółu powinno skłonić do projektowanego przez skarbnika związku, jéj majątek nie tylko że ustalał mą przyszłość, lecz dawał środki do czynienia dobrze, do odpowiedzenia zadość obowiązkom obywatela; odrzucając tedy małżeństwo grzeszyłem przeciw sobie, zawodziłem społeczność i urągałem Bogu w mądrych jego zrządzeniach.

Z niecierpliwością jednak słuchałem tych pięknych wyrazów, zdawały mi się zbyt zimne, i nazbyt rozsądne, aby z ust kochającéj osoby iść mogły. Jedna rzecz nadewszystko obrażała: bystro trafnie i aż nazbyt ściśle, rozliczała materjalne korzyści związku z Kasztelanką, przyczém teraźniejsze moje ubóztwo i niedola główną rolę grały; niech zaś co bądź kto utrzymuje, niemiło jest, choćby najwięcéj zakochanemu słuchać, gdy

kto nazbyt skrupulatnie pogląda o jego fortunę, i jako obelgę zarzuca mu ubóztwo.

Stosownie do tego wrażenia, wyrzekłem nie bez goryczy:

—Prawda wszystko cóś dotąd, a tak pięknie dowodziła Hanno, jednak pozwól sobie przypomnieć dzisiejsze twe słowa w całkowitej sprzeczności z dawnemi: niegdyś, nie widziałeś tak jasno mej biedy, owszem kazałaś wierzyć w pracę, w nadzieję...

—Istotnie tak było. — odpowiedziała, — ależ rozważ sam, czy mogłam oddanego rozpaczy w większą jeszcze pogrążać? w pracy i ufności, w losie był środek twego zbawienia, radziłam je zatem. Dzisiaj, zmieniły się okoliczności, mogę więc prawdę, jak ją pojmuję, bez ogródki objawić, mogę radzić, jak mi nakazuje wasze dobro.

—Moje dobro! — powtórzyłem z goryczą— mylicie się Hanno, wcale inaczej go widzę, i dreszcz bierze na myśl samą, abym je mógł zapewnić w sposób jak chcecie.

—Co masz przecie do Kasztelanki?

Uczyniła zapytanie, bez rozwagi jaka być

może odpowiedź. Dałem ją stosownie do uczuć wrzących w mém sercu, wykrzyknąłem ujmując jéj rękę:

—Hanno jeśli chcesz znać powód mego oporu, jeżeli sama niedomyslasz się prawdy, winienem ci ją objawić: dla tego ni Kasztelanki ni żadnéj innéj niewiasty żoną nie mogę nazwać, że ciebie jedną kocham, że bez ciebie niepojmuję szczęścia, że wreście, rozerwawszy z tobą, życie byłoby nieznośnym ciężarem.

Niepotrafiłbym nigdy odkréślić wrażenia, jakie moje słowa wywarły na piękne dziewcze. Ręka, którą trzymałem w moich, zimnym oblała się potem i konwulsyjnie drżała, jéj nadobną twarzyczkę to purpura rumieńca, to znów śnieżna bladość powlekała, chciała cóś rzec, lecz tchu w piersi braknęło.

Korzystając z tego jéj wzruszenia, upadłem do jéj nóg, okrywałem pocałunkami dłonie, niosłem przysięgi wiecznéj i wiernéj miłości, niedługo jednak czynić to mogłem.

Nagle wyrwała pocałunkom rękę, usunęła się na parę kroków.

—Panie Albercie! skończmy raz tę komedje—przemówi.

W jéj zaś słowach tyle było chłodu, tyle narzekającéj pewności, że spadły niby odłam lodu, na pożar mych uczuć.

Cóż dopiéro gdy spójrzałem w jéj oko, na jéj lica, gdy się przyjrzałem całéj postawie! przedchwilowe wzruszenie przeminęło do szczętu, zajęła jego miejsce nieznośna dla zakochanego powaga, obojętność rozumu.

— Panie Albercie!— przemówi znowu— powtarzam, tak daléj być niemoże z nami, szał a nie rozum kierują twemi postępkami.

—Szałem tedy Hanno nazywasz moją miłość?

—Tak, jest nim ona - przerwie— a cóż dopiéro byłoby gdybym ośmielić, a cóż dopiéro gdybym przyjąć ją miała?...

Zastanowiła się na chwilę, niby zbierając noc myśli, i zacznie mówić.

Mówiła zaś na dawny sposób rozumnie, rozważnie, a długo. Niesposób jednak powtórzyć wam choćby odłamku owéj perory, ani jeden z niéj

wyraz nie został w pamięci, za to treść doskonale!

Rozdzierała serce, krwawiła je, uwięzła się nie jako, aby ni jednego uczucia nie zostawić niedotkniętém, walczyła przeświadczeniem, rozumem, szyderstwem nawet, bez miłosierdzia roztrącała jedne po drugich wszystkie moje ułudy, wszystkie czarownéj piękności nadzieje, dręczyła własną miłość, korzyła w dumie, owszem, jakby na ukoronowanie swoich dowodów, na całkowite poniżenie i roztłuczenie zarozumiałości, wyznała wręcz, zimno, z okrucieństwem groźnego sędziego, z barbarzyństwem Anioła zwiastującego duszy wieczyste potępienie, że:

Ni mnie kocha, ni kochała; ni kiedy bądź może kochać.

Co się w mém sercu działo po tych wyrazach, każdy łatwo pojmuje. W całém znaczeniu porównania byłem jak ów wędrownik w niezmierzonych pustyniach Afrykańskiej Sahary, co marząc o wytwornéj strawie i napoju, nagle obudzony widzi obok siebie, zgon straszny, okropny, z głodu, pragnienia i nędzy!!...

Nadaremnie zaś chciałem się opierać okropnemu jéj wyrokowi, daremne były łzy i prośby, nie raczyła nawet ich słuchać.

Z rozpaczą w piersi, z boleśnie zakrwawionêm sercem, powróciłem do domu i w nim się zamknąłem.

Dwa zaś tygodnie trwało to dobrowolne odosóbnienie, ile bolesne pojmujecie, gdy przyjechał Skarbnik.

Poczciwy starzec sobie przypisywał moją samotność, sądził żem był obrażony gniewem jaki okazał, gdym rękę Kasztelanki odrzucił, mówił zatém:

—Ależ mój kochanku! dalipan szalony jesteś, któż u licha widział brać tak żywo nasz spór do serca? nie podoba ci się panna Rypińska? mniejsza o to, znajdzie się inną równie posażną, a milszą sobie. Porzuć tedy fochy, pojedź ze mną, żyjmy jak niegdyś, przyjacielsko, serdecznie...

Zapytałem o Hannę. Zmarszczył czoło i odpowiedział z wyraźnym smutkiem:

—Biedaczka! nie mogę zrozumieć co się z nią dzieje; od wilji naszéj wizyty u Kasztelana cał-

kiem się zmieniła, szwankuje zarówno na humorze jak i na zdrowiu. Gdybym był zabobonny, mniemałbym że kto urok rzucił; osowiała mi, stęskniała, już to nie ta co dawniej świegotka, ni mi zaśpiewa, ni na klawikordzie zagra, ciągle zamyślona, uśmiech raritas, ogród nawet i gospodarstwo mało zajmują; dla niej jeśli nie dla mnie pogodzisz ze mną, może ci się uda rozweselić.

Miłemi były mi te objaśnienia starca. Młodość tak łatwo daje się łudzić nadzieją! uwiodłem się nią i ja. Smutek i cierpienie Hanny zdawały mi się wypadkiem surowego obejścia się ze mną. Może też go żałuje.... myślałem w sobie.... może zrozumiawszy ile gorącą i prawdziwą odrzuciła miłość, cofnie okrutne wyrazy.

Ta nadzieja równie jak i pociąg serca, skłoniły żem przyjął propozycję skarbnika, i tego jeszcze dnia pojechałem do miłej mi wioski; lecz jak przed dwóma tygodniami, tak i teraz omyliłem się w moich rachubach.

Hannę znalazłem istotnie mocno zmienioną, choć niemniej piękną jak zwykle, ależ ni w sło-

wach ni w geście żadnéj poszlaki, aby żałowała niedawnéj wzgardy mych uczuć, cóż dopiéro aby błąd chciała naprawić.

Przyjęła bowiem grzecznie jak zwykle, lecz chłodno i jak osobę całkiem obojętną sobie.

A podobnie przyjmowała przez całe pół roku, nigdy ni słowa pociechy, ni jednego spójrzenia czulszego! słodkie dnie siostrzańskiego zaufania, lubych wywnętrzeń uczuć minęły,... byłem dla niéj pogardzonym tylko kochankiem, traktowała jako takiego, a nie jak brata i przyjaciela jak dawniéj.

Ilem tedy cierpiał, pojmiecie łatwo; cierpiałem zaś tém więcéj, że dziwnym zrządem losu, moja miłość rosła w miarę niespodziewanych przeszkód i utrapień. Czułem to sam, że kochany mogłem się obłąkać, stać się niewiernym, lecz pogardzony nigdy! dziwacznym pod tym względem był mój charakter, lecz mniemam że taki jest ogółu ludzi.

Przez ten zaś czas Skarbnik z uporem podeszłemu wiekowi właściwym, ciągle, jak powiadał myślał o mém postanowieniu. Próżne były

wymówki, woził po okolicy, a wszędzie gdzie tylko jaka piękna i posażna panna na wydaniu się znajdowała, niéma potrzeby wspominać, że żadna nie mogła mi przypaść do serca.

Zaprzestał tedy z wielką moją radością a swoim smutkiem tych swatostw, zaprzestał, bo jak się późniéj przekonałem, odkrył wreszcie przyczynę mego do małżeństwa wstrętu.

Oto jak się stało.

Wspomniałem już wam, że Bóg szczęścił poczciwym zamysłom i usilnéj pracy, i że piérwszy rok gospodarski nie tylko że przewyższył dobrym skutkiem moje nadzieje, ale dał otuchę pomyślnéj przyszłości.

Skarbnik był w wyśmienitym humorze, dobre początki chciał uświetnić uroczystą biesiadą, uprzedziłem w zamiarze, zapraszając do siebie.

Przyjechał nie sam lecz z Hanną, oto mi szło najwięcéj. Zebrali się i inni sąsiedzi, bawiliśmy się wybornie, Skarbnik nadewszystko. Stare wino, dobre towarzystwo i wewnętrzna pociecha, że to on istotnym twórcą mego szczęścia, przyprowadziły do dobrego humoru, przez cały dzień

był w nim, a wieczorem pozostawszy na nocleg, mówił w poufnej gadance:

—Dalipan Mości Albercie, wyborny jesteś chłopiec, dobry gospodarz, nie żaden bałamut lub wietrznik, cały powiat jednomyślnie to głosi, najwięcéj szkalowny język nic do zarzutu nie znajdzie; jeden tylko błąd jest, a ten zaś dotąd niepomyślał o żonie; przecież według przysłowia: dobra niewiasta w dom, Bóg w dom; podwójny dozor nigdy nieszkodzi, podwójna praca, podwójne przynosi owoce.

—Czuję to jak nikt drugi, panie Skarbniku! radbym chętnie samotnemu życiu koniec położyć, lecz gdzie znaleść taką niewiastę o jakiéj wspominasz?

—Wybrydny jesteś, w tém cała przeszkoda. Woziłem przecie gdzie mogłem, najpiękniejsze dziewczęta Województwa dałem poznać, nie sposób aby która z nich nie miała się podobać.

—Tak się jednak stało panie Skarbniku.

—Fanaberje młodéj głowy, zbyteczne wymaganie, lub...— domyślne, a zarazem śledcze przy tych wyrazach zwrócił mi spójrzenie,— lub też,

czego się zaczynam domyślać, inna jakaś skłonność sprawiły to wszystko.

Zarumieniłem się i zakłopotałem mimowoli. Starzec się uśmiéchnął—panie Albercie! zdaje mi się, trafiłem.

—Być może—odpowiem jąkając się—owszem, czemu prawdę ukrywać? tak jest.

—Aha! schwyciłem ptaszka za jedno skrzydełko, trzeba teraz drugiego poszukać,—mówił ciągle wesoło—gdyś już odkrył połowę tajemnicy, odkryjże i drugą. *Tandem* tedy, i któż jest ta szczęśliwa, która wybrydnego potrafiła serce zniewolić.

Wahałem się nieco z odpowiedzią, lecz gdy nalegał, postanowiłem szczerą prawdę wyznać; gdym to uczynił, przycisnął do serca, ucałował i mówił:

—*Per Deum immortalem!* i czemuż by to miało być źle? czemuż twój związek z Hanną niema nastąpić? wprawdzie ona niebogata, a tobie majętnéj żony potrzeba; lecz przy bożéj pomocy i własnem staraniu, czemuż prędzéj lub późniéj nie macie się wydobyć z gospodarskich kłopotów?

początek tylko trudny, mówi dawne przysłowie, a ten już zrobiony, reszta przyjdzie samo z siebie; to rozważywszy, nieznam nic przeciw twojéj skłonności kochany Albercie, dziwię się tylko żeś mi dotąd ukrywał twe sentymenta.

—Bałem się odmowy, nadto...

—A tak,—przerwał wesoło starzec—łatwo mieć mogłeś kosza, nieznałem cię jeszcze dokładniéj, nie wyprobowałem rozumu i serca, o przyszłość była też obawa; ale teraz inna rzecz, wszystkie moje względy usunięte, wszystkie życzenia zaspokojone; dla tego, aby długo niekorowodzić, przyjmuję z całéj duszy twe oświadczenie i gdym stary, a więc projektów gdy dobre, niepowinienem odkładać, już w tym kwartale huczne wyprawiemy wesele.

—Lecz czy Hanna przyjmie?

—Ona!— skinął głową a domyślnie potarł wąsa—zapytam się Mospanie, i... chcesz że naprzód znać jéj odpowiedź?

—Z serca panie Skarbniku!..

—Dobre dziewcze, nie będzie się bynajmniéj wzdragać, przygotuj się tedy, na ciche akom-

paniowane żywym rumieńcem jéj pięknej twarzyczki, wiele mówne *tak.*

Rozgorzało radością oko. — Jednak z kądże ta pewność Skarbnika — spytałem.

—Z kąd? oho! panie bracie, czy mniemasz że starość tyle wzrok osłabiła, abym nie widział co się przy mnie dzieje? Bogiem a prawdą, i twoją miłość i jéj także, odkryłem już dawno.

—Jéj? czy być może?...

—Tak kochanku! milczałem jednak, bo co mi było mięszać się do spraw podobnych; widziałem że Hanna mając rozum nie popełni głupstwa, któregoby sama lub ja za nią musiałbym się wstydzić; znając też ciebie, ufałem, że nie nadużyjesz gościnności i opieki jakiéj ci udzielałem; mówiłem tedy sobie; niechajże się kochają gdy tak chcą, jeżeli czczy to zapał tylko, przejdzie po tygodniu lub dwóch, jeżeli prawdziwy affekt, zostanie na zawsze, i uświęcony mojém i kapłańskiém błogosławieństwem, na resztę życia ich wspólne szczęście zapewnić może.

Uścisnąłem rękę poczciwego starca dziękując

za dobre dla mnie chęci, lecz dodałem, ciekawy, pytanie:

—Z czego jednak affekta ku mnie Hanny, odkryłeś panie Skarbniku?

—Ach kochanku! tysiące było wskazówek i nie od dzisiaj lecz od pół roku i więcej; a od owego wieczora gdy ci proponowałem za żonę Kasztelankę Rypińską, przypominasz sobie zapewnę tę dziwną niemoc w którą wówczas z przestrachem nas obydwu popadła? gorzéj jeszcze było drugiego dnia; ciężka gorączka trapiła, całą noc oczu zamknąć nie mogła, a gdy nad rankiem zasnęła, sen był jak nigdy niespokojny, a bezustanku o tobie, twoje bowiem imię kilkakrotnie powtórzyła; owszem i teraz czyż co dzień jawnych dowodów niemam? Każda rzecz co cię obchodzi i ją dotyczy, każdy postępek zajmuje, opuścisz który dzień z wizytą, już się nie może uspokoić, żal i trwoga dokucza, będziesz miał dobrą i przywiązaną do zazdrości żonę.

Balsamem pocjechy, rękojmią pełnéj szczęścia przyszłości, były dla mnie te słowa starca; przez całą noc oczu zamknąć nie mogłem, a ileż było

rozkosznych marzeń, planów ile, których słodycz ten tylko zrozumie, kto się znajdował w podobném mojemu położeniu; lecz los uparł się nie jako, aby błogosławiąc w straconych, zawodził w półpewnych zamiarach.

Nazajutrz o wczesnym poranku, po kilku chwilach podobnéj wieczornéj rozmowie, Skarbnik poszedł do Hanny. Przez czas jego nieobecności, każda chwila wydawała się dla mnie wiekiem, wieków tedy mogłem przeżyć tysiące, gdyż nieobecność starca przeciągnęła się do dwóch godzin.

Już podobnie długi czas, mógł mi rokować nie bardzo pomyślny wypadek, miałem jednak jaką taką nadzieję— zniknęła gdym ujrzał przychodzącego.

Zwykle pogodne jego czoło, grube fałdy niezadowolnienia przerzynały, niechęć i niezadowolnienie wewnętrzne, były widoczne na twarzy i w oku.

Zbladłem, nogi utrzymać ciężaru ciała niemogły.— Wszystko tedy stracone!— wykrzyknąłem, upadając na obok stojące krzesło.

Starzec przechodził się widocznie rozgniewany po izbie, szepcząc z cicha do siebie, jak miał zwyczaj, gdy żywsze jakie uczucie, któremu niechciał puścić wodzy, wstrząsało. Widząc jednak moją rozpacz zatrzymał się i mówił:

—Ależ panie Albercie! przesadzasz w twoim smutku, rzecz przecie nie całkiem stracona.

—Jestże jaka pociecha dla mnie, gdy odrzucony zostałem!

—Nie całkowicie przecież, niepowiedziałem ci bowiem wszystkiego, a raczéj nic jeszcze nie rzekłem, nieodrzuca, a tém mniéj nie gardzi tobą, owszem odda ci rękę.

Poskoczyłem z krzesła w szalonéj radości: — Panie Skarbniku! godziłoż się równie dręczyć, jak to uczyniłeś!

—Ależ bo, jak rzekłem, rozpaczałeś nie wysłuchawszy, co innego gniewało, ot i gniewa jeszcze.

—Nie rozumiem coby takiego? z resztą mało mnie to obchodzi, gdy główna rzecz zyskana, gdy mam jéj słowo.

—Tak, lecz znowu radujesz się nie wysłuchawszy do końca. Wszakże przypominasz sobie że wczoraj wieczor, chciałem cały interes jak najprędzej zakończyć, a nawet w tym jeszcze kwartale. Stary i zgrzybiały jakim jestem, nie mogę i niepowinienem na czas rachować.

—Cóż tedy panie Skarbniku? dokończ!

—Stanowczo oświadczyła się przeciw pośpiechowi, daremnie prosiłem, nic nie pomogło.

—Jakież tedy jéj życzenie? jakiego pragnie terminu?

—Wyobraź sobie... oto co gniewało i gniewa... odkłada na Bóg wie kiedy, ledwiem rok wytargował.

Rok dla młodego i zakochanego wydawał się wiecznością bez końca, smutnie tedy głowę na pierś skłoniłem, niewypowiedziane ogarniało strapienie.

—Na tém jednak nie był koniec... starzec mówił dalej:

—Prócz tej zwłoki, kładzie jeszcze warunki, dwa przedewszystkiém, pierwszy, aby oznaczony

termin nie wiązał was wcale, to jest, aby tak jedna jak druga strona wolną była po jego upływie uczynić jak uzna za dobre, dla siebie; powtóre, aby na odwrót jak czyniłeś dotąd, niezaniedbywałeś znajomości i sąsiedztw; im więcéj żyć w towarzystwie będziesz tém lepiéj, jest to jéj *ultimatum* od którego nie chce odstąpić.

4.

Przyjaciel Stanisław Trembecki, wizyta w domu Wojewody P* *

Gdym rozważał podane warunki, zdawało mi się że doskonale zamiar Hanny pojmuję. Według mojego wyobrażenia, dała je dla tego tylko, aby nie gniewać ojca, czyniąc pozornie zadość jego życzeniom, lecz chcąc mnie od siebie odstrychnąć lub też znaleść powód oddalenia, gruntując się na intrydze lub plotce, jakie roczny termin i życie parafjalne mogły nastręczyć.

Nadaremnie zaś osobiście prosiłem o zmianę przykrych warunków, nie ugiętą była w swém postanowieniu. W nieosobliwym tedy znajdywałem się humorze, gdy nadjechał dobry znajomy i przyjaciel od Żelikorskiego konwiktu, Stanisław Trembecki.

De mortuis nil nisi bene, powiada wprawdzie przysłowie, chętnie uczyniłbym mu zadość, gdyby tok powieści i chęć odmalowania epoki o której mówię, nienakazywała czego inszego. Otóż o charakterze i sposobie życia Stanisława winienem choć w krótkości, a jak święta nakazuje prawda, cóś wspomnieć.

Bez zaprzeczenia, niepospolitych zdolności był to człowiek, mało kto nieznа i niauwielbia jego poetyckich utworów, współzawodnik Krasickiego, jeśli mu ustępuje w ilości traktowanych przedmiotów, i w ogólnych zarysach, w szczegółach nie jednokrotnie przewyższa, przewyższyłby może całkowicie, gdyby zamiłowanie pracy i chęć kształcenia się, odpowiedziały talentowi, jakim Pan Bóg obdarzył. Ale Trembecki nie lubił, jak się to mówi, przysiadać fałdów; wietrzny i pło-

chy z natury, oddany intrygom i rozkoszom, brał się do pióra mniéj gdy natchnienie, lecz gdy potrzeba skłaniała; chęć przypodobania się Królowi, któremu z magnatów, lub pięknych pań; a co nadewszystko mus pieniężny.

Niedostatek bowiem prawie zawsze cierpiał, piękny jednak po rodzicach odziedziczył majątek, trzy wsie zamożne i osiadłe w pszennych gruntach. Stracił je przecież już w piérwszéj młodości, a na sposób jak tracili fortuny wszyscy modni panicze owéj epoki, na zbytki, rozpustę, przejażdżki do Paryża, wycieczki do Spa i na karty u Podskarbiego Ponińskiego, tak, że obecnie ledwie skrajek chudoby pozostał: folwarczek o 10-ciu poddanych zadłużony nad wartość, i nadzieja dziedzictwa po jednéj z ciotek.

Żył jednak wystawnie i szumnie, a może szumniéj, niż wtenczas gdy trzykroć posiadał. Na wołowéj skórze nie spisałbyś jego wybryków, do każdego szaleństwa musiał należeć, do każdéj intrygi, obiadu, podwieczórku i hucznéj zabawy Zkąd brał na to pieniądze, trudno było odgadnąć; pensja którą opatrzył w szczodrobliwości swojéj

Król Stanisław August, nie była wielką; folwark ni grosza intraty nie przynosił; zawodziły zwykle karty, a ciotki marnotrawcy wypowiedziały oddawna szkatułę. Wytłómaczyć jednak, zastanowiwszy się nieco, można było zagadkę tém, że Stanisław, jak niestety prawie wszyscy ludzie, z talentem owéj epoki, nie był skrupulatnym pod względem honoru, zaprzedawał swe zdanie i pióro każdemu co chciał je kupić, o kupców zaś trudno nie było, zręcznie też umiał pochlebiać, jak naprzykład: Wojewodzie Kijowskiemu od którego za opis Zofijówki tysiąc dukatów złotem otrzymał; w naglącéj zaś potrzebie dopomagał przemysł w oszukiwaniu lichwiarzy i bankierów, a wreszcie kobiety.

Dziwne bowiem miał do nich szczęście, miesiąc prawie nie ubiegł, aby jaką nową jego intrygą miłośną nie brzmiała Warszawa. Młody, dowcipny, przystojny, wszędzie potrafił się wcisnąć, najtrudniejsze z pozoru serce pozyskać; lecz też te miłostki o ciężkie nieraz przyprawiały kłopoty: stawał w obronie zwiedzionej niewiasty mąż, brat, ojciec albo kochanek; trzeba się było bić

na pistolety lub szpady, Trembecki niewymawiał się nigdy, a i w tym razie niepojęte miał szczęście. Trudną do uwierzenia wyda się to wam rzeczą, potwierdzi ją przecie każdy co zna dzieje owéj epoki i życie autora Zofijówki, przeszło siedemdziesiąt, a wszystko z przyczyny kobiet odbywszy pojedynków, w kilku tylko lekkie rany otrzymał, a kilkunastu przeciwników zabił; musiał się bić przecież z najznakomitszémi duelistami nie tylko kraju lecz i zagranicy.

Dla człowieka podobnego charakteru, stolica była tylko stosowném do mieszkania miejscem, nieopuszczał też jéj prawie nigdy w tym tylko roku zawitał na wieś, nie było pieniędzy aby do Paryża pojechać, a dla jakiejś miłosnéj awantury, osobiście obchodzącéj Króla, miał sobie wypowiedziany dwór i Warszawę. Jednak, chociaż o parę mil tylko zamieszkiwał odemnie, chociaż szkolnego kolegę zapraszał do siebie, rad będąc wejść ze mną w poufniejsze stosunki, uchylałem się od nich, mniéj z własnego popędu, jak dla tego, że Skarbnik szanując niepospolity talent, nie lubił człowieka, niepodobały się mu obyczaje,

drażniła lekkomyślność w postępowaniu i w zdaniach, przerażały nowatorskie wyobrażenia dotyczące religji i społeczności jakie uważał w Trembeckim, odwodził tedy od zażyłości, lękając się, aby nie doświadczonego niepopsuł.

Szanując wolę opiekuna, jak już rzekłem, niezrywając stosunków z Szambelanem, mało z nim żyłem. Teraz dopiéro, że smutne serce łaknęło pociechy, przyjąłem uprzejmiéj niż zwykle, owszem, gdy mało po mału oczarował dowcipem, usidlił wesołością, wyznałem mu moje miłosne cierpienia.

Wysłuchawszy cierpliwie, obwinął się tumanem tytuniowego dymu z fajki, którą namiętnie lubił, i wyrzekł:

—Rozważywszy cóś powiedział, czy zgadniesz co mam sądzić o wszystkiem?

—Powiedz, rady doświadczonego jakim jesteś, jeśli nie pomogą, to pocieszać będą? w strapieniu.

—Zobaczemy to zaraz. Otoż sam winieneś, że Skarbniczanka nie chce ci oddać ręki.

—Ja? nie pojmuję....

—Tak jest jednak, a z wielu względów, naprzód jakież licho skłoniło cię żeś ją pokochał równie szalenie jak to uczyniłeś, a przynajmniéj czemu dałeś jéj to poznać?

—Czyż w tém moja wina? albożmożna sercu nakazać milczenie?

—Byłem pewny téj odpowiedzi, lecz przyjąwszy nawet twój sofizmat za axioma, i tak błąd będzie. Miłość jest chorobą serca, kochając czyż powinniśmy szczycić się przed kochanką swemi ułomnościami? to byłoby to samo gdyby kto szczycił się wytartym kontuszem lub łatą żupana. W kochaniu właśnie jak w wojnie, rachuba i przebieg więcéj znaczą niż siła; zwykle ten odnosi zwycięztwo, co korzystając z słabéj strony wroga, swoją starannie potrafi ukryć.

—Nierozumiém w czémby miłość do pozyskania wzajemności przeszkadzać mogła, owszem sądzę jest jéj ona piérwszym warunkiem.

—Tak ci się zdaje niedoświadczonemu, rozważ jednak naturę ludzką, rozważ nawet swoją, czyż w niéj nie napotkasz tysiąca sprzeczności

z prawidłami rozsądku? tak naprzykład, albo niewiększą wagę przywiązujesz do rzeczy, która z trudem, jak do tej, co z łatwością przyszła, choćby nawet o wiele przenosiła piérwszą. Tę kwestję wybornie następna anegdotka rozwiąże. Znałem w Paryżu Księcia de Lauzun, młody, bogaty, przystojny i członek jednéj z najznakomitszych francuzkich familji, ożenił się jednak z prostą szlachcianką ni piérwszéj młodości, ni błyszczącéj urody, ni nawet dowcipną. Gdy się temu powszechnie dziwiono i gdy się Król spytał coby tego za przyczyna była, że mając do wyboru tyle pięknych i bogatych partji, inakszą obrał, odpowiedział:— «prawda, Najjaśniejszy Panie! nie taką, wziąłem żonę jaką powinienem lub mogłem dostać, lecz co robić? kochano mnie wszędzie, tu tylko nie, ożeniłem się na złość.»—Niepojmujesz ile to *na złość* ważną gra rolę w charakterach niewiast, na złość rodzicom i opiekunom kochają się, na złość kochankom wychodzą zamąż, na złość mężom szukają pokątnych miłostek, a na złość tym, są znowu wiernemi żonami. Nadto, pewność miłości, jak pewność każdego rodzaju

szczęścia, czyni nas obojętnemi; goniąc za marzydłami, rzeczywistość chętnie poświęcamy dla nich.

Milczałem czując w części słuszność uwagi, Stanisław mówił dalej:

—To błąd jeden, teraz drugi rozważmy. Czy się godziło jak to czyniłeś trudzić bogdankę gorącemi affektami twojemi? jak mogłeś przypiąć się równie uporczywie do jéj osoby, jak chmiel do tyki, jemioła do dębu? alboż niewiesz o tém, że przesyt jest jedną z najpospolitszych chorób natury naszej? znałem ludzi, których nawet szczęście nudziło. Sentymentalność podobna twojéj, byłaby pożądaną dla czułéj niemki, pulchnéj Drezdenki lub Wiedenki, miłość tam ważą i liczą na funty westchnień i łokcie dni spędzonych z kochankami—inna rzecz Polki; czy klimat, czy usposobienie organów żywotnych, przeciwną dały im naturę: westchnienia im miłe, widok kochanków pożądany, do póki pewnéj nieprzechodzą miary; niezważasz na to, przybywasz nie wporę, przerywasz marzenia o kotku albo bonończyku, o czepeczku lub jutrzejszym obiedzie, nudzisz i gniewasz. Wybornie tę prawdę skréśliła jedna

z pierwszych dam wielkiego naszego świata: kochała się na śmierć w młodym Szambelanie Z*, rodzice niechcieli zezwolić na związek, panna wpada w rozpacz, za tą przychodzą mdłości, spazmy, choroba, że rodzice radzi nie radzi skłaniają się do jéj życzeń. Uszczęśliwiony Szambelan przybywa, cały miesiąc nieodłącznie spędza przy kochance, w drugim dostaje kosza! wszyscy się dziwią, panna odpowiada: — «co chcecie, przyjadł mi się swoją miłością» — kto wié czy i Skarbnikówna, nie mogła by wyrzec podobnie o tobie:

O dreszcz ta uwaga przywiodła, istotnie mogło być jak wnioskował, mówił daléj:

—Z błędu który popełniłeś, ważny jeden wypływa. Jak złoto probuje się ogniem, tak miłość doświadczeniem: twoja czy jest wyprobowaną, lub czy być nią mogła? nie mówię zaś o próbach uczuć, lecz innych, ważniejszych osobistéj wartości. Jesteś młody, przystojny, masz rozum, temu nikt nie przeczy, lecz to są podrzędne tylko dla niewiasty zalety, innych pragną. Płoche ich charaktery uganiają się tylko za pozorem, rzadko która ceni kochanka, według rzeczywi-

stych jego zalet, lecz podług tych, jakie mu daje świat, a najbardziéj inne niewiasty. Tak naprzykład: dziwiłeś się, czemu ta a ta panna, mając do wyboru między dwóma zalotnikami, z których jeden młody, przystojny i majętny, drugi na odwrót, brzydki, wietrznik i szałaput, bez grosza fortuny, wybrała przecie drugiego? rzecz prosta, wybrała go właśnie dla tego, że szałaput, albo raczéj że się podobał téj a téj przyjaciółce, któréj zazdrościła, lub którą wzięła za cel naśladowania. Téj prawdy sam na sobie nie jednokrotnie miałem dowody. Wiesz o moich miłosnych przygodach, zliczyć je trudno! jak Don Juan Hiszpańskiéj legendy, musiałbym użyć na rejestr kilko łokciowego papieru, nie mniemaj przecie, aby osobiste przymioty nastręczały podobną fortunę, bynajmniéj! ustalona sława wietrznictwa je dawała. Oto przykład: przyjechawszy do Paryża rok cały o miłośnym głodzie spędzić musiałem... daremne były wszystkie usiłowania aby zawiązać jaką intrygę, czas, zdrowie i pieniadz, traciłem na próżno; aż przecie zlitowała się jedna z słynnych piękności. Od tego czasu, wszystko

szło jak z płatka, moja bowiem awantura ogromnego narobiła hałasu, była powodem dwóch pojedynków, połowę noblessy Wersalskiej wplątała w labirynt intrygi. Miałem już znaczenie doświadczenia, dałem rękojmię osobistej wartości, ty zaś rozważ, czy ją masz? trzebaż wierzyć w miłość na słowo, w możność podobania się na gust własny? kochanoż cię? szalano za tobą lub czy popełniono grzech świętokradztwa?

—Zapominasz że inne obyczaje wielkiego miasta, a inne prowincji, co tam zaletą tu występkiem.

—Bardzo się mylisz, powłoka wprawdzie inna, lecz grunt ten sam, bo charaktery ludzkie jednakowe, gdybyś tylko umiał odróżniać prawdę myśli od fałszu słów, zdania duszy, od wyroków nakazanych przesądem lub musem względów towarzyskich, przekonałbyś się że mam słuszność.

Mówił jeszcze długo, a w podobny sposób, wszystko sofizmatami, jakie na hańbę dla siebie wiek zepsuty utworzył, przekonał jednak prostodusznego, że wykrzyknąłem:

—Lecz co mam czynić? jak naprawić omyłki? według ciebie, rady na nie już niema.

Puścił z ust gęste tumany tytuniowego dymu i odparł spokojnie:

—Otóż w czém się mylisz. Niema głupstwa, któregoby człowiek rozumny nie potrafił naprawić, i gdybyś tylko zechciał mi zaufać...

—Z chęcią to uczynię— przerwałem.

—Nie za rok tedy, lecz nierównie wcześniej, bo za pół roku lub kwartał, poprowadzisz przed ołtarz twoją bogdankę.

—Dobrodziejem staniesz się, zbawcą! przecież, dotąd nie mogę pojąć jakim sposobem tego dokażesz.

—Najprostszym, a jaki nakazuje doświadczenie i rozum, owszem jaki sama Hanna podała. Muszę cię wyciągnąć z wiejskiego ukrycia, dać ci znaczenie szczęśliwca w miłostkach, musisz dotknąć jéj miłość własną, obudzić zazdrość.

Wachałem się nieco, czy przystać na podawane warunki; lecz gdy zaczął dowodzić i przekonywać, przekonał zupełnie. Tonący, jak mówi przysłowie, brzytwy się chwyta, i ja też złama-

ny przeciwnościami niemogłem się wahać, najcięższą ofiarę byłbym przyjął dla najdrobniejszéj nadziei.

A Stanisław już od następnego dnia zaczął reformę mojego życia i powiózł z sobą do Chełmicy, rezydencionalnéj wsi słynnego w owych czasach magnata Wojewody P*.

—Wyborna okazja nasuwa się— mówił – Dom Wojewody, jak żaden inny, zgadza się z naszemi planami; znajdziesz w nim zgromadzony nie tylko cały powiat, lecz wszystko co najznakomitszego pod względem majątku, znaczenia, a nadewszystko elegancji posiada kraj i stolica; za jednym tedy razem i bez kosztu poznasz świat, przyjrzysz się wzorom dobrego tonu i gustu, porobisz stosowne znajomości, a może być i taką, co... gdy młodych i pięknych kobiet mnóstwo w Chełmicy, rozerwie cię w twoich miłośnych kłopotach i na jaki czas Skarbnikównę wybije z głowy.

Skinąłem głową z niedowierzaniem, moja miłość dla Hanny, zdawała się zbyt silną, aby niewiem nakich prób nie mogła wytrzymać, dałem się jednak skusić i pojechałem.

5.

Wojewoda. — Jego charakter. — Dom i sposób przyjęcia.

Wojewoda P* (przebaczy łaskawie czytelnik, że niewymieniam nazwiska) był jeden z owych magnatów upłynionego stólecia, których typ już prawie całkowicie zniknął u nas; za to miejscowe tradycje i legendy ludu, mówią aż nazbyt. Jeden wreszcie z tych panów epoki Stanisława Augusta, w których skojarzyło się, wszystko złe charakteru i instytucji naszych.

Duma znaczenia i rodu, nieumiarkowana ambicja, pogarda istniejących praw i lekkomyślna

nierozwaga, były głównemi cechami charakteru Wojewody; piękne i słynne w dziejach nazwisko, i ogromny majątek odziedziczył po przodkach, który zmarnotrawił i zniszczył, do tego stopnia, że gdy umarł nie było prawie za co pogrzebać, a dzieciom zostawił tylko długi, niedolę i sromotę.

Rozrzutność była bowiem typem jego charakteru, w niej leżało wszystko złe życia, przez nią stracił zdrowie i majątek, lekceważył sumienie i honor, poświęcił i zgubił dobro ogółu, własne i dzieci; w prosty zaś sposób stało się to wszystko; straciwszy rodzicielski majątek, aby zaspokoić namiętności, trzeba się było rzucić do podłości; wypierać najświętszych obowiązków człowieka i chrześcijanina, podeptać wszystkie zasady poczciwości i honoru.

A przecież nie był to człowiek bez zalet, głowy i serca. Obszerna nauka, bystry dowcip, przekonywająca wymowa, i pańska wspaniałomyślność skojarzone w nim były; niedostatecznemi jednak stały się te zalety, aby mogły pokryć górującą wadę, cóż dopiero, aby ją usunąć; ow-

szem na złe ich umiał Wojewoda użyć, były mu one nieraz tém, czém miecz w ręku szalonego, nie pomocą, ale jednym więcej środkiem, do zguby dla siebie i innych.

Dworzec Chełmicki, letnie Wojewody mieszkanie, głównym był punktem dla okolicy; unikali go wprawdzie Skarbnik i ludzie jemu podobni, lecz garnęli się inni mniéj skrupulatni. Magnat lubił towarzystwo, był hojny i grzeczny w przyjęciu, posiadał znaczenie i wpływy, jakże nie biedz do niego? ten tedy dla smacznego obiadu, inny dla interessu, ów dla rozrywki lub żeby cóś zyskać od hojnego, odwiedzał. Znaleźli się nawet i tacy, których jedynie pociągała próżność, chęć pochwalenia się przed znajomemi, «byłem u Wojewody na obiedzie, Wojewoda to i owo mówił mi"— i tym podobno. Kiedyż brak takich głupców?

Gdyśmy tedy zajechali przed pałac, docisnąć się nie można było do niego, taki zbiór na dziedzińcu bryczek, wasągów i powozów wszystkiego rodzaju, taka chmara koni, pachołków i służby! był to niejako obozowy tabor, przypo-

minek tych, jakie niegdyś na wojenne wyprawy wodzili z sobą nasi panowie, a które pod Cecorą, Pilawcami i w mnogich innych okazjach, ciężkich klęsk były powodem.

Dodać też winienem, że tłumnego zjazdu gości ważniejszy niż zwykle był powód, a imieniny najstarszéj z córek magnata.

Bo Wojewoda miał dzieci, dwie córki i syna; ze względu na nich, gdy nie dla siebie, powinien był ograniczać marnotrawstwo, dbać o dobrą sławę nazwiska. Nie uczynił tego przecież, jak się wyparł innych, tak i obowiązki dobrego ojca, bez skrupułu lekceważyć potrafił.

A sposób życia magnata, wybitny był w całym dworze, wszędzie blask lecz i nieład. Przepych podawał dłonie ubóztwu, a pozór źle zakrywał istotę. Tak naprzykład służba była liczną, liberyjna, lecz jéj barwa nie nowa, często w łachmanach; komnaty świetnie przystrojone, lecz kurz grubo pokrywał złoto, a brud zaciemniał pyszne obicia. Przy drogich nowomodnych francuzkich sprzętach, napotykałeś inne swojskiej fabryki dębowe lub olszowe, na marmurach lub dy-

wanach posadzki w całém znaczeniu tego wyrazu, miałeś błoto powstałe z rozlanych trunków, lub przyniesione na butach niewiele dbających o ich ochędóztwo, gości.

W głównej izbie dworca, spotkaliśmy Wojewodę.

Stanisław ulubieńcem był jego, przyjęty więc został braterskim słowem, przyjacielskim uściskiem. Nieskąpił ich nigdy magnat, wiedział ile się podobają szlachcie, czemuż nie miał im rzucić téj, nic niekosztującéj ofiary?

Był zaś to człowiek lat nie spełna pięćdziesięciu, wysoki, urodny, dobréj tuszy; oko bystre, czoło szérokie, niepospolite znamionowały zdolności.

A był, jak mówili pochlebcy, w dobrym humorze; to jest, wypróżniwszy jedną i drugą butelkę węgrzyna, popuścił pasa, rozpiął żupan, wyloty kontusza zarzucił na plecy, twarz rzeźwy rumieniec oblewał, kurzyła podgolona wysoko czupryna, a z ust płynął potok dowcipów, nie zawsze dobranych, często obrażających uszy

niewiast, lecz które w pół pijana zgraja przyjmowała, jak co najlepszego, pochwałą i oklaskami.

Co się mnie tyczy, skutkiem samotnego życia i kłopotów gospodarskich, byłem skromny, cichy, i że powiém prawdę, trwożliwy i niezgrabny; w ubiorze nie było zbytku, jeden kuntusz i żupan przerobione z ojcowskich, ot cała świąteczna garderoba. Na codzień chodziłem w bekieszce lub lisiurze stosownie do pory roku, tak ubrany, oddawałem Skarbnikowi wizyty; dobry przyjaciel, nie patrzył na strój, ale postępki.

Projektując wyprawę do Chełmicy, Stanisław niedomyślał się nawet abym, jak mówił, nie miał się w czém pokazać, spostrzegł to dopiéro w samym dniu wyjazdu, staroświeckiego kroju kontusz i żupan wcale go niezadowolniły.

—*Par l'amour de Dieu!*— wykrzyknął— tośmi się wystrychnął! chceszże aby cię wytykano palcami, aby wojewodzianka wyśmiała w oczy? zrzućże na biesa ten odwieczny krojem i materją kontusz, wydobądź się z spłowiałego żupana, wyglądasz w nich jak organista, który dla przypodobania się gospodyni proboszcza, odarł z ubio-

ru, którego z nieboszczyków powierzonych swéj straży, a spoczywających snem wiecznym od setki lat w grobach kościelnych.

—Lecz to jedyny mój paradny ubiór, nie mam innego.

—*Per Baccho* i na wszystkie bożyszcza dawne i nowe! czy być może! ty człowiek osiemnastego stólecia, dziedzic czterech folwarków, dwódziestokilkoletni chłopiec! syn ojca *pour un petit maitre*, uchodzącego kiedyś w świecie, sam wychowany w Warszawie!

—Prawdę jednak mówię.

Nie mógł się uspokoić w zadziwieniu, ubóztwo mojéj garderoby wydawało się mu człowiekowi dworskiemu, wezwyczajonemu do zbytku możnych panów, czémś niepojętém, nadzwyczajném. Kazał wnieść hajdukowi i rozpiąć swój tłomok podróżny, aby pokazać jaka ilość i jakich strojów potrzebną jest człowiekowi żyjącemu w świecie, chcącemu się zastosować do jego wymagań.

Rzeczywiście, wyobrażenia nawet padobnego zbytku nie miałem, w tłomoku znajdowało się

sześć par kontuszy i tyleż żupanów, pasów też ilość ogromna! był nawet strój francuzki jeden i drugi, a wszystko błyszczące srebrem, złotem, aksamitne, jedwabne.

—A to jeszcze nie wszystko,— mówił— dwa razy tyle chowam u siebie w Warszawie na zapas, tu tylko podróżną garderobę widzisz.

—Lecz jak ci wystarczy na podobny zbytek?

—Od czego Bóg dał głowę? ona brak fortuny musi zastąpić, mam też otwarty kredyt u Paschalisa, wyborny człowiek! trzeba abyś się z nim zapoznał, tylko czterokrotnie przecenia swoje towary.

—Na cóż przecie zda ci się podobna zamożność garderoby?

—Chceszże abym na twój sposób ubierał się w siermięgę, lisiurę, albo spłowiałe gałgany? ślicznie bym wyszedł! niktby i spejrzeć nie chciał, wierszy choćby najlepszych Dufour nie chciałby drukować, a Król Jmć wypędziłby z zamku i cofnął szczupłą pensję, którą jako swego Szambelana obdarzył. Przedewszystkiem jednak dwie przyczyny zmuszają:

—Jakież one?

—Naprzód, czy mniemasz, że która z warszawskich piękności raczyłaby przyjąć choćby najwięcéj strzeliste affekta, gdybym je prawił w wyszarzanym kontuszu, lub niemodnéj westce? kobiéty istne dzieci, musisz o tém wiedzieć, kochają się w tobie nierazli tylko dla twego ubioru, krawata, zgrabnie ułożonéj peruki, dobrze skrojonego fraka: powtóre, dziś ubrany na twój sposób, jutro musiałbym chodzić bez butów.

—Nierozumiem czemuby?

—Dla prostéj przyczyny: okrzyczanoby za bankruta, człowieka bez najmniejszéj rękojmi na przyszłość. Dobrze i zawsze modnie ubranemu, wierzą lichwiarze na słowo, bo strój jest dla nich hypoteką, wiedzą że przy jego pomocy prędzéj lub późniéj znajdę sposób wypłaty, w przeciwnym razie.... lecz co o tém mówić, gdy trzeba jechać. Niémaszże krawca pod ręką?

—Zapominasz że niejesteśmy w Warszawie, a dobrzyński żyd Herszek, ledwie że łatać stare kontusze i kleić nowe lisiurki potrafi.

—Prawda, aż nazbyt prawda! przeklęty kraj, nie tylko wygody, ale nawet najpotrzebniejszych przedmiotów do życia nie znajdziesz. Całkiem co innego Francja! za każdym krokiem krawca, fryzjera i wszystko czego ci trzeba, napotkasz.

—W tém przecież ubraniu które widzisz, oddawałem wizyty Kasztelanowi i Podkomorzemu, i byłem dobrze widziany.

—Twój Kasztelan Wandal, jak drugiego pod słońcem nie znajdziesz, hreczkosiéj liczący tylko kopy i snopy zbioru pszenicy i żyta, swych gości a nie ich samych, Podkomorzy kubek w kubek do niego podobny. Inna rzecz z Wojewodą, pan z panów, człowiek światowy, wyśmiałby cię, za widmo pradziada okrzyknął! cóż dopiéro jego córka!

—Rad nierad tedy muszę wyrzec się naszych projektów i zostać w domu.

Nie w smak to było Stanisławowi, łamał głowę jakby wywieść z kłopotu, i....

—Nie widzę innego środka—rzakł wreszcie,—jak tylko abyś wybrał który z moich ubiorów.

—Żartujesz, jestem otylszy i o głowę wyższy od ciebie.

—Nic nie szkodzi, temu rok ubieraliśmy się długo, musi być kontusz tej mody, w sam raz będzie dla ciebie. Poszukał i znalazł. Przymierzyłem, nie ze wszystkiém przypadł do tuszy i składu, tu było za szczupło, tam za obszernie, niemiło i niewygodnie.

Daremnie jednak wymawiałem się od pożyczki, Stanisław nic nie chciał słuchać.— Sto tysięcy razy lepiej ci w tym kontuszu będzie niż w własnym— mówił, i jak zaczął chwalić, tu poprawiać, tam ściągać i spinać, ubrał i powiózł z sobą.

Pożyczany jednak ubiór dziwny wpływ wywarł na humor, nie czułem się swobodnym, wstydziłem się sam siebie, sądziłem że wszyscy mieć będą oczy na mnie zwrócone, wyszydzą i wyśmieją, niby ptacy w bajce ową czajkę w pawie pióra przystrojoną.

Ten kłopot wzmógł się jeszcze w dworcu Wojewody. Gdziem zwrócił oczy, wszędzie zbytek ubioru, galowe stroje, starcy bogato, młodzież

modnie ubrana. Cóż dopiero, gdy stanąłem przed samym magnatem, gdy jego bystry i przenikliwy wzrok całego oblał? Zarumieniłem się po uszy, byłem niby winowajca schwytany na gorącym uczynku, słowa trudno było przebąknąć.

Wojewoda uważał mój kłopot, i naprzód brwi ściągnął, potém rzeźwym parsknął śmiechem, i...

—A któż to wasze taki? zagadnął.

Bełkotałem cóś niezrozumiale w miejscu odpowiedzi. Stanisław przyszedł z pomocą, lecz zaledwie kilka wyrazów następnych przemówił:

—Mam honor przedstawić panu Wojewodzie, mojego dobrego przyjaciela...

Przerwano:

—Ha, ha, rozumiem! nowy figiel Asendzia Szambelanie! stara sztuka dziś się nie uda, twój przyjaciel i dobry znajomy między czeladną lub na dziedzińcu powinien mieć miejsce.

Wszystka krew wystąpiła na twarz, duma szlachecka z całą potęgą odezwała się, ręka machinalnie posunęła się ku szabli, Stanisław wystąpił z obroną, lecz za pierwszém słowem przerwano:

—Powiadam przecież Szambelanie, odgadłem za jednym razem figiel WPana; wiem kto ten Jespan, przebrałeś żeby mnie podejść, niezawodnie będzie jaki wierzyciel, łyk, mieszczuch, ormian lub wychrzta, którego chcesz spłacić przywodząc na cudzy obiad. Trafiłem Mości Panie! trafiłem!

—Ależ pan Wojewoda się mylisz, ten pan wcale nie mój kredytor, nie mieszczan lub tym podobna figura, owszem Wojewoda jeśli nie z osoby, to nazwiska musisz go znać, sąsiad Jegomości dobrodzieja Albert Ł.

Wojewoda bystrém zmierzył mnie okiem, niedowierzał jednak rekomendacji, i...

—Co znowu gadasz WPan? to być nie może! to nie pan Albert Ł.

—Tak jest jednak panie Wojewodo,— odparłem z dumą— jestem tym samym, o którym Szambelan wspomina Ł*, na jegomości usługi.

—Syn tedy Szambelana, mojego dobrego przyjaciela, a szefa niegdyś gabinetu Króla Jmci?

—Jedyny syn, i jak dobrze pan Trębecki zawiadomił, blizki sąsiad pana Wojewody.

—A prawda to święta,— wyrzekł któryś z przytomnych— znamy doskonale i Jegomości i jego prozarpją, familja karmazynowa, senatorska, z wieków w tych stronach zamieszkała.

Wojewoda nie mógł już wątpić, podał mi rękę, uścisnął,— bywajże Waszmość dobrodziej— wyrzekł,— chętnie widzę cię w mym domu, polecam się łaskawéj znajomości, przyjaźni i dobremu sercu, a chciéj przebaczyć pierwsze nieosobliwe przyjęcie, lecz jakże inaczéj być mogło? Stanisław figlarz wierutny, na wołowéj skórze jego dowcipków nie spiszesz, dowierzać nie można, Bóg wié kogo mi sprowadza do domu. Wystawże sobie: ostatnią razą przywiózł woźnego, przebrał za Jespana wcale porządnego, wystrychnął mnie na dudka, bo robiłem urwańcowi honory niby jakiemu Senatorowi; a to wszystko uczynił, aby się uwolnić od nieporządnego gościa, który mu chciał folwark tradować. Przyjrzał się mnie znowu,— omyłki mojéj, miałem też Bogiem a prawdą podstawę, ubrałeś się jakoś z czerkieska, krój kontusza szczególny, chyba że taka teraz moda, od

kwartału nie byłem w Warszawie, zjawić się mogła.

Zastąpił zakłopotanego uwagą w odpowiedzi Stanisław; nachyliwszy się do ucha magnata, cóś w nie z cicha szepla, co niewiem, lecz treść zrozumiałem z dwóch podchwyconych wyrazów: «dziwak, skąpy.”

—Wiem o tém, słyszałem nieco, psuje go Skarbnik,— odpowiedział Wojewoda, pomusknął dereszowatego wąsa, i dodał zwracając się do mnie:

—Raz jeszcze przepraszam za mimowolną uchybę WMości miłego mi dobrodzieja, i proszę uważać szczupłą mą chatę za własny swój dom; tém zaś lepiéj uczynić to możesz, że przyjaźń niejako sukcessyjną będzie; znałem bowiem świętéj pamięci rodzica, wyborny człowiek! na dworze nieboszczyka Leszczyńskiego w Lunewillu żyliśmy długo pospołem, dobre czasy były to! niewypowiedziałbym wszystkich naszych sprawek! raz nawet i duel mieliśmy: poszło o *Madame la Comtesse de Dubreille*, przyjaciółkę od serca *de la duchesse de Choiseuil;* smaliliśmy

oba do niej cholewki, ojciec WMości miał za sobą polor i doświadczenie, ja wietrznictwo i młodość, przemogłem tedy! Szambelan wyzwał na szpady, pokłóliśmy się lekko, lecz wkrótce pogodzili przyjaciele, co za szkoda że umarł! a do tego w samém kwiecie wieku, i właśnie gdy Król Jmć myślał o ustalenie fortuny, i gdy jako zaufanego stronnika potrzebował najwięcéj.

Wspominek dobrego rodzica, łzami moje oczy zasunął. Uważał to Wojewoda— Ejże Mospanie!— wyrzekł zatém— jakiż ze mnie szaleniec, gadać o umarłych, a zapominać o żyjących. Zostawmy piérwszych w błogosławionym pokoju, a zajmijmy się drugiemi.— Skinął na hajduka, który w butnéj liberji stał obok— Hola! przynieś no tu kieliszek i butelkę *numero primo!* trzeba nam miłe zdrowie wychylić.

Pachołek uskutecznił co mu zalecono, podał na srebrnéj tacy kwaterkowy kryształowy puhar i butelkę grubą, sadzą sniedzi powleczoną. Magnat napełnił kielich winem, wzniósł w górę i powiódłszy okiem na okrąd jakby przytomnych do milczenia skłaniając, przemówił:

—Mnie wielce łaskawi dobrodzieje i bracia! Widzicie jakiego między sobą posiadamy gościa, wypijmyż jego zdrowie i szczęśliwe przybycie do tego domu. Nieprzyjacielem moim ten, kto nie przyjmie wyzwania.

—Wiwat niech żyje!— wykrzyknęli obok stojący, okrążyli nas gęstym wiankiem i zanucili:

Wiwat wiwat tysiąc lat,
Niechaj żyje nasz pan brat,
Niechaj żyje, niechaj pije,
A fortuna niech mu wije,
Szczęścia sto tysięcy lat!

Odpowiedziałem na toast podziękowaniem i wychyleniem kubka, Wojewoda powtórnie za rękę uścisnął.— No panie bracie!— mówił,— otóż i odbyły się chrzciny znajomości, rozgość się tedy, zabaw, czém chata bogata tem rada. Panie Stanisławie!— zwrócił się do Trembeckiego— obznajmij przyjaciela z naszemi zwyczajami i towarzystwem.

Przeszło godzinę straciłem, przechadzając się po obszérnych komnatach. Wszędzie huczno,

ludno, zabawa i hulatyka; nie tylko bowiem z powiatu i Województwa, ale i z dalszych, a nawet z Warszawy zebrało się mnóstwo gości; różnorodne zaś było towarzystwo, wszystkie odcienia szlacheckiego społeczeństwa dopatrzyłeś; byli magnaci i wioskowa szlachta, Jaśnie Wielmożni Senatorowie i dygnitarze i chudopachołcy z powłoczków i zagród, [najwięcej jednak było kobiet, kojarzyły się one przedewszystkiem w głównej izbie pałacu, na tak zwanej sali, gdzie huczna nadworna kapelja, grając ulubione tańce, krakowiaki, mazurki i cudzoziemskie menuety, pociągała do nich hożą i strojną młodzież.

Lecz nie sam taniec i pijatyka, zajmowały gości, miałeś i inne zabawy, jak dyskussie polityczne i grę. W pierwszych brały udział poważniejsze osoby towarzystwa, a najwięcej zamożna szlachta Województwa, rada wiedziéć, co się dzieje w świecie i na dworze królewskim; w drugiéj o grze, jaśnie wielmożni orderowi panowie z Warszawy przybyli i młodzież. Dwie całe izby napełnione były niemi. Grano w lombra, drużbarta i ćwika, najwięcej przecież osób

gromadziło się w okrąg stolika, przy którym przyjaciel od serca Wojewody, smutnie znany w naszych dziejach książe Adam P* Podskarbi Wielki Koronny faraona ciągnął.

A nie tylko pałac zapełniony był gośćmi, znaczna ich liczba dla odpoczynku i chłodu, a może i z innych powodów przechadzała się po ogrodzie, poszliśmy tam z Trembeckim.

Ogród był obszérny, zataczał się długim półkolem wzgórka w terassyku przyległemu jeziorowi; na tém w niewielkiém oddaleniu od brzegu znajdowało się kilka różnéj wielkości wysepek, na jednéj obszerniejszéj i bliższéj od innych, a gęstym lasem zarosłéj, brzmiała wesoła muzyka, przechadzało się kilkadziesiąt osób.

Stanisław mówił:

—Postarajmy się dostać do nich, lepiéj tam bawią się jeszcze niżli w pałacu, starszéj wojewodzianki to pomysł, ułożyła wodną wyprawę, z nią zaś popłynęły wszystkie co najpiękniejsze panny i najznakomitszą młodzież, warto abyś poznał.

Chętnie zgodziłem się na wycieczkę, jednak nie można było jéj uskutecznić, wszystkie statki i czółna znajdowały się u kępy; daremnie wzywał o przysłanie którego Stanisław, zajęta zabawą gromada, nie słyszała i nie chciała prośby wypełnić, gdy nagle od strony pałacu rozgłośnie zabrzęczał dzwonek.

—Znak to obiadu,— wyrzekł z radością Stanisław,— nasze zbiegi radzi nie radzi muszą powrócić.

Jakoż rzeczywiście tak stało się. Wesoła rzesza skakać w łodzie i czółnie zaczęła, na jednym statku umieściła się muzyka, w innych jak kto mógł, mężczyzni i kobiety pospołem.

Płynięto dosyć powoli, gdy czółno, na którym ledwie sześć osób i to z trudnością pomienić się mogło, wysunęło się naprzód.

—Przyjrzyj się pilnie— rzekł Stanisław— patrz, dziewczę na przodzie czółna stojące, jest właśnie dzisiejsza solenizantka, królowa naszéj zabawy, jedna z piérwszych piękności stolicy, a Wojewody najstarsza córka.

Spójrzałem jak wskazywał i na chwilę serce żywiéj bić w piersi zaczęło, a zaćmiło się w oku; zdawało mi się bowiem spoglądając na Wojewodziankę, że Hannę widzę przed sobą: taż sama kibić, wzrost, i zarysy nadobnéj twarzy, taż duma oka i czoła.

—Zdaje mi się, musisz przyznać, że piękna— szepnął Stanisław.

—Nie mogę przeczyć, a jakie nadzwyczajne podobieństwo do Hanny!

Rozśmieszyła go ta uwaga.— Co teraz to nie wątpię, że istotnie zakochany jesteś! portret twojéj bogdanki widzisz w każdéj, pięknéj dziewczynie. Zapomnij przecież o nieobecném, a zajmij się bóztwem, które masz przed sobą. Nieprawdaż? co za kibić, układ i śmiałość!...

Nie mogłem zaprzeczać wszystkich tych zalet, ostatnia szczególniéj żywo uderzyła. Wojewodzianka, jak wspomniałem, stała na przedzie czółna, ani obawa upadku, ni prośby przytomnych skłonić ją niezdołały, aby usiadła. Skrzyżowawszy ręce na piersiach, spokojném okiem

toczyła po jezierze lub towarzystwie, i żartowała z dwóch swych przyjaciółek, które usadowione na środku czółna, trzymając się oburącz ławek, za każdym chibatem głośne przestrachu wznosiły okrzyki.

—Na mężczyznę, istotnie, mimo swojéj piękności, nie na kobietę stworzona— mówił poglądając na zuchwałe dziewczę Stanisław.— Próbkę zaś tylko masz jéj odwagi, gdy bliżéj poznasz, będziesz musiał się dziwić każdemu postępkowi. Jak obecnie śmiało po jezierze żegluje, tak równie śmiało dosiadłszy rumaka, puszcza go cwałem przez rowy i płoty. Cóż dopiero dowcip, bystrość umysłu i wesołość! Król i z nim Warszawa, nadziwić się i nachwalić nie mogą.

Łódka przeszła szybko mętne tonie jeziora, i za minutę dopłynęła do brzegu. Prozaiczne, bo bez przypadku, zakończenie przejażdzki, niepodobało się śmiałéj dziewczynie, zwróciła się do towarzyszącéj młodzieży, pytając:

—Jak to Panowie! i to już koniec naszéj przejażdżki?

—Ma się rozumieć, gdyśmy szczęśliwie dobili do ladu,— odpowiedział któryś.

—Lecz ja jeszcze pływałabym chętnie, lubię wodę i przejeżdżki po niéj, a więc panowie, gdy nic nie nagli, zawróćmy.

—*Comtesse*, zapomniałaś że dano znak obiadu, Wojewoda gniewać się będzie,— wyrzekł jeden z młodzieży, starannie wypudrowany, wyperfumowany i ubrany elegant.

—Ach, ojca biorę na siebie, pogniewa się i przeprosi, a my zabawiemy się doskonale, dalejże, odpłyńmy!

—Ależ...— mruknął elegant.

Dziewczę ściągnęło dwa łuki czarnych i lśnistych brwi.— Uparłeś się jak widzę Kasztelanicu, aby mię gniewać. Lecz wiém ja co cię niepokoi, zimnéj zupy nie łubisz, boisz się stracić obiadu.... niezatrzymuję *Monsieur le Gourmand!* możesz wysiąść, nikt nie broni, obejdziemy się bez człowieka, który zamiast być pomocą w zabawie, zakłóca ją tylko.

Złajany zarumienił się po uszy, i chcąc dać dowód gorliwej uległości woli dziéwczęcia, schwy-

cił za wiosło i piérwszy odepchnął czółno od lądu, Wojewodzianka mówiła:

—Nudno pływać bez celu, trzeba sobie jaki obrać. Otoż przychodzi mi przewyborna myśl do głowy,... zobaczycie zaraz.... kazała zwrócić czółno ku innym wolniéj płynącym i zawołała:

— Daléj leniwcy! rozruchajcie się! pokażcie co umiecie.... płyńmy na wyścigi do lądu!... lecz że meta do pałacu byłaby za bliską, wysiądziemy obok plebanji.

Młodzieży nie radź dwa razy, żwawo bierze się do wioseł, próżne były prośby i wykrzyki przestrachu kobiét, skierowano łodzie ku naznaczonemu punktowi, zaczęły się wodne manewra.

Ciekawy i nie bez powabu dla patrzących był to widok, aby go lepiéj używać, ja Stanisław i wszyscy co byli w ogrodzie, pobiegliśmy ku plebanji o kilkaset kroków odległéj. Lekkie statki témczasem suwały się z nieporównaną szybkością i zygzaczyły w różnych kierunkach po czystéj fali jeziora.

Długo czółno na którém znajdowała się Wojewodzianka, było na przedzie; lecz wreszcie sił

czy zręczności powożącéj młodzieży zabrakło, jedno zaczęło wyprzedzać. Widząc to śmiało dziéwczę, schwyciło drobną rączką za leżące obok siebie wiosło; silnie popchnięte czółno z szybkością strzały posunęło się naprzód, gdy nagle przeraźliwy okrzyk trwogi z wszystkich ust się wydobył.

6.

Wojewodzianka.

W zapale wodnéj gonitwy, Wojewodzianka nie uważała na nic co się na okrąg niéj działo. Chcąc piérwsza stanąć u mety, mimo odradzań towarzyszącéj sobie młodzieży, raz schwyciwszy wiosło nie chciała go złożyć, łodź silném jéj ramieniem parta, jak to wspomniałem, szybko pruła wody jeziora. Widząc cel, nieuważano na przyległe przedmioty, wkrótce też czółno dopędziwszy zawistną łódkę, uderzyło o nią tak silnie, że Wojewodzianka na krawędzi stojąca, ró-

wnowagę straciwszy, wpadła w bezdenne tonie jeziora.

Mówię w bezdenne! bo rzeczywiście jak do najobszerniejszych tak i najgłębszych na Płockiém powiślu znajdujących się jezior, należy Chełmickie. Są miejsca, których kilkosążniowym drągiem nawet nie zmierzysz, a rok rocznie trafiają się smutne utonięcia przypadki.

Upadek Wojewodzianki o rzeczywistą trwogę i co gorsza o rozpaczliwą, a nieudolną bezczynność przywiódł towarzystwo, i to które znajdowało się w łodziach i stojące na brzegu, wołano o ratunek, hałasowano, mdlano i radzono, lecz nikt nie dawał pomocy tonącéj. Ja to uczyniłem.

Nieźle umiejąc pływać, bez namysłu rzuciłem się w wodę. Wypadek nastąpił o jakie cztérdzieści kroków do brzegu, za parę tedy minut mogłem do tonącéj dopłynąć.

Mówiłem przed chwilą jéj upadek z łodzi był nagły i niespodziewany, najwięcéj przytomny człowiek, straciłby odwagę, nie straciła jéj przecie Wojewodzianka. Pogrążona przez parę sekund

w bezdni jeziora, ukazała się wkrótce na jego powierzchni i milcząc, a jakby gardząc niebezpieczeństwem skierowała się płynąc ku najbliżej znajdującemu się czółnu.

Nie wiém jednak, czyby drogo nie musiała téj zuchwałości przypłacić. Zmoczona, ciężka odzież pociągała w otchłanie wody, zawadzała w pływaniu, a przytomni przerażeni i strwożeni, nie śpieszyli się z pomocą. Siły opuszczonéj wyraźnie się wyczerpywały, straszna śmierć w groźnéj postaci musiała stawać przed okiem, gdy dopłynąłem i ująwszy lewą ręką w pół, a prawéj używając z podwojoném wysileniem, szczęśliwie dostałem się do brzegu.

Sądząc że zimna i niepożądana kąpiel, przestrach, a wreszcie sam wypadek, wpłynęły na humor dziewczęcia, omyliłem się wielce.

Gdy całe towarzystwo strwożone, zalękłe, otoczyło nas wiankiem, pośpieszało z radami, wykrzykami radości i pomocą soli, anodyń i spirytusów różnego rodzaju, ona odsunęła wszystko i otrząsając zmoczoną odzież, pomusknęła włosy i spokojnie:

—Moi państwo— wyrzekła— dziękuję za rady i oznaki współczucia, wybaczcie jednak, że z nich korzystać nie będę. Cały przypadek niewart, aby się nim długo zajmować, przebiorę się, osuszę i będzie koniec wszystkiemu.

I niepodziękowawszy mi ni słowem, ni gestem za ocalenie życia, kto wie nawet czy raczywszy obdarować spójrzeniem, oddaliła się do pałacu.

—Szalone dziewczę!— mówił Wojewoda, który na wrzawę ogólną, przybiegł z innemi i świadkiem był zdarzenia— szalona! podobne niebezpieczeństwo i niezważać na niego, lekceważyć niby szło o zgubę grzebyka lub chusteczki! Ale czemu się dziwię? alboż po raz pierwszy coś się podobnego przytrafia? nie dawno wszakże, bo zeszłego tygodnia uparła się, aby dosiąść podjezdka, którego mi przysłał z Ukrainy pan Chorąży Stecki; daremnie odradzam, proszę i wreście zakazuję, ani chce słuchać! myślałem że stepowiec w proch roztrąci, na śmierć potłucze, gdzie tam! słusznie mówi przysłowie: warjatów Bóg strzeże; skończyło się na zrzuceniu w piasek; kulała

wprawdzie i stękała trochę przez parę dni, ale już na trzeci dosiadła znowu dzikie zwierze i ujeździła niby masztalerz, że dziś spokojne jak dziecko.

Jeśli zadziwiała niedawna obojętność dziewczęcia na grożące śmiercią niebezpieczeństwo, niemniej teraz dziwiła przemowa Wojewody, mówił bowiem głosem tak chłodnym i równym, jakby opowiadał pocieszną anegdotkę o jakiéj obcéj sobie istocie; rodzicielskiéj miłości, przyjaźnego zajęcia, niedopatrzyłeś ni śladu, czemu zaś tak było, objaśnił Trembecki.

Dziewczę z matki znaczny posiadało majątek, którego dochodami mógł tylko rozrządzać magnat, lecz i te tracił, gdyby córka wyszła za mąż; przeciwnie, w razie jéj śmierci, podług urządzenia testamentowego zmarłéj małżonki, stał się uniwersalnym jéj spadkobiercą.

Nieśmiem tworzyć domniemań, ale sądzę, że ten ostatni artykuł kusił nie mało Wojewodę. Człowiek, który bez skrupułu deptał najświętsze obowiązki sumienia i honoru, mógłże na związki serca i krwi uważać? Córka była mu zawadą

w osiągnięciu miljonowego majątku, nieśmiał tej zawady usunąć wprost, lecz bez wątpienia, niewieleby gniewał się, gdyby los dopomógł w tym względzie.

Skończywszy jedną, odezwał się zaraz z drugą przemową:

—Moi państwo!— wyrzekł do gości, którzy jak bywa w podobnych razach ochłonąwszy z przestrachu, gwarnie rozprawiali o niedawnym wypadku,— dajcież raz temu pokój! Bogu dzięki, całe nieszczęście skończyło się na niczém, czemuż tedy o niém prawić i rozważać coby mogło być, a nie jest. Ot lepiej pójdziemy do pałacu, obiad czeka, zupa stygnie, a dobra i warto się z nią zapoznać.

Podał rękę jednej z dam przytomnych, powiódł jakby w polonezie ku dworcowi, jego przykład naśladowali wszyscy.

Zanim jednak odszedł, mnie dopatrzył i rzeźwym parsknął śmiechem, rzeczywiście zaś było dla czego. Zimna kąpiel wcale nie była mi na korzyść, kontusz ciasny gdy suchy, teraz mokry oblepił się na ciele, odrysowując wszystkie jego

składy dokładnie, twarz była zamazana kałem, włosy nim napełnione.

—Ach Mości panie! obrońco płci pięknéj! pocieszycielu strapionych! zbawco ginących!— powściągnąwszy się nieco w śmiechu, wykrzyknął— dalipan, heroiczność postępku, nie upiększyła się wcale, wyglądasz na istotnego topielca, o którym powiadają ludzie, że straszy na mojém jeziorze, ba, i zębami dzwonisz, do kata! napijże się wina, a każ przygrzać z imbirem, inaczéj pewna febra jutro. Przebierz się też, a prędko żeby trafić choćby na koniec obiadu.

Pierwszą część rady łatwo i chętnie uskutecznić mogłem, lecz z drugą jak sobie przypominacie całkowita była trudność, rad nie rad tedy, gdy nadużywać Stanisława grzeczności nie chciałem, postanowiłem odjechać do domu.

Prędko jednak przekonałem się, że i téj prostéj na pozor rzeczy, uskutecznić nie mogę.

Furman, aby niestać pod gołém niebem, odjechał gdzieś na wieś do chłopa, a pachołek, którego po mozolném długiém szukaniu, udało się wreszcie wynaleść, jakkolwiek chłopak trzeźwy

i pilny, teraz pociągnięty radami i złym przykładem kolegów, tak sobie podchmielił, że o bożym świecie nie wiedział, rozumnego wyrazu nie sposób z niego wydobyć.

Gdy objaśniłem przyjacielowi kłopot, wyrzekł:

—Masz słuszność, bieda kompletna! odjechać nie możesz, a zmoczony i zbłocony jak jesteś nie możesz się pokazać w pałacu. Otoż skutek twojej dotychczasowej mizantropji i skąpstwa! lecz co o tem gadać, chodźmy do oficyny, do izb gościnnych, tam może znajdziemy jaką zaradę.

Zastosowałem się do jego woli, gdyż nie mogłem co innego uczynić. Miły Boże! stajnie u mnie biednego wioskowego szlachcica czyściejsze były od gościnnych pokoi możnego pana. Wszędzie brud, nieład i zaniedbanie, okna bez szyb, mury zrysowane, nigdzie ni łóżka ni zydla, trochę tylko barłogu na dylowej podłodze. Magnat na odwrót poczciwym przodkom, w pałacu tylko dbał o wygodę gości, za pałacem zostawiał własnemu ich przemysłowi, niech robią co chcą, nocegują jak mogą.

Wypędziwszy z jednéj z izb stado gołębi, kur i kaczek, zdziwionych że przerywamy ich spokój, usadowiliśmy się jak można było najwygodniéj. Napiłem się wina, którego parę butelek zdobył we dworze Stanisław, to rozegrzało krew i uwolniło od febry, o ubior tedy był już tylko kłopot.

Właśnie przymierzałem jeden z kontuszy przyjaciela, który w żaden sposób na moje széroko rozrosłe barki nie mógł się wtłoczyć, a wtłoczywszy się nie chciał ich pokryć, gdy nagle ujrzawszy przechodzącego obok okna jakiegoś jegomościa, wykrzyknął z radością:

—*Par Dieu* wictorja bracie! otóż i koniec naszego kłopotu, wszystko czego potrzebujesz mieć będziesz. Jakiż zemnie roztrzepaniec, żem wprzódy nie pomyślał o tém.

—Jakiż znalazłeś sposób?

Zakołatał w okno dla zwrócenia uwagi przechodzącego, a mnie odpowiedział:

—Rzecz jak nie może być więcéj łatwa, ten egomość, na którego kołaczę szatny Wojewody.

—Cóż z tego?

—Niedomyślaszże się w czém, a jak przeważnie może nam wygodzić *par l'amour de Dieu!* zły z ciebie byłby Hetman, a cóż dopiero dłużnik? ni szczypty przebiegu w głowie, lecz przedewszystkiém, maszże przy sobie pieniądze?

—Dziesięć dukatów złotem.

—Dosyć dwóch, aby wydobyć się z ambarassu i mieć za parę minut ubior kompletny.

—Nierozumiem dotąd nic a nic.

—Ach, ciasnego pojęcia człowieku! wszystko tedy słowo po słowie tłómaczyć ci trzeba. Za parę czerwonych, szatny ze swego składu dostarczy ci wszystkiego co trzeba.

—Żartujesz chyba! jakżebym mógł przywdziać ubiór Wojewody? dałby mi pamiątkę! wyśmiałby....

—Aby wyśmiał, trzeba żeby poznał; a w tém nie mała będzie trudność dla niego. Czy sądzisz, że pan z panów jakim jest, zna swoją garderobę? byłoby to samo, jak gdyby kto wymagał od ciebie, abyś znał wszystkie wróble gnieżdżące się pod strzechami twych stodół. Spuść się na mnie, pozwól działać jak uznam za dobre, nie-

chciałbym przecież szkolnego kolegę i człowieka zarekomendowanego tutaj przez siebie na pośmiewisko narazić.

Wahałem się jednak, czyby się zgodzić na projekt; gdy wszedł szatny. Poważny był to starzec, grzeczny, uniżony i kłaniający się jako prawdziwy z dziada i pradziada dworak, ale że frant, snadno poznałeś z blasku drobnego oka.

—Panie Oleski!— wyrzekł mu Stanisław,— nie będziesz że łaskaw temu panu,— wskazał na mnie,— wygodzić? Spójrz jak wygląda, żal patrzeć!.. ratując starszą pannę skąpał się w jeziorze, przebrać się trzeba, a jak na złość kolaska gdzieś z tłomokiem odjechała i służba pijana, że nie wié o bożym świecie, niemaszże w garderobie jakiéj stosownéj odzieży? z całego serca wywdzięczemy, a ot na rachunek przyjaźni parę czérwonych.

Brzęk złota wsuniętego w szorstką i széroką rękę dworzana, dobitniéj zapewne wytłómaczył interess niżby to mogły uczynić najdłuższe rozprawy, odparł kłaniając się nisko:

—Ależ to bagatela Mości Dobrodzieju, ubioru dzięki Bogu nie brakuje, znajdzie się różnego gatunku i mody, wybor nietrudny, zwłaszcza, gdy mój JW. pryncypał właśnie układu i tuszy Jegomości.

—Lecz się lękam,— wyrzekłem,— aby niepoznano.

Dumnie uśmiéchnął się zagadniony.— Mości Dobrodzieju, złe masz wyobrażenie o mym pryncypale. Jak chcesz aby Pan z Panów, Senator i orderowy, miał znać swoje przybory? moja to rzecz jako szatnego, nie kłopoć się tedy Jegomość.

Że zaś i Stanisław i szatny prawdę mówili, to jest, że Wojewoda nie mógł znać wszystkiej swojéj odzieży, przekonałem się wszedłszy do garderoby. Istotnie, była w niéj taka zamożność, żeby się równéj niepowstydził nawet ów słynny z elegancji, ulubiony Minister Króla świętéj pamięci Augusta trzeciego, Hrabia Brühl. Kontuszy, żupanów, złotolitych pasów, różnego rodzaju i ceny futer, bekieszy i opończy, całe sterty, nie przesadzam, ale starczyłyby na umundurek paru chorągwi żołnierza.

A nie tylko u Wojewody znalazłeś podobną zamożność; gdzieindziej, w staromagnackich pałacach i zamkach równa, a nawet jeszcze większa była, tak u księcia *Panie kochanku* Wojewody Radziwiłła w Nieświeżu, gdzie na tysiące rachowane kontusze; podobnież w pieskowej skale u Pinczowskiego Margrabi, Sieniawska szatnia niepospolicie także była zaopatrzoną; świeższe nawet rodziny, odznaczały się w tym względzie jak *np.* Kasztelan Zawichątski, który bez przesady chwalił się, że codzień przez rok cały kompletnie może zmieniać garderobę; Pociéj, Oboźny Litewski wydawał rok rocznie przez lat trzydzieście z okładem na odzież, okrągło rachując po dwadzieście tysięcy złotych; w Wielkopolsce, gdy trzéj synowie dzielili się puścizną po Kasztelanie Myc* na każdego przypadło pięćdziesiąt sześć kontuszy i do osiemdziesięciu żupanów, zmarły jednak i przy końcu życia, i rozporządzeniem testamentowém znacznie nadwarężył swą szatnię.

Ile zaś niedorzeczną i rujnującą była podobna wystawa, każdy łatwo zrozumie. Dla magnatów jak *Panie kochanku* Wojewoda Wileń-

ski, który przeszło dwieście miljonów majątku posiadał, dla Wojewody Kijowskiego Potockiego, nieustępującego mu w ogromie posiadłości, dla księcia Feldmarszałka Czartoryskiego, lub Hetmana Xawerego Branickiego, liczących majątki nie na folwarki lecz klucze, wydatek jednego lub drugiego tysiąca złotych niewiele znaczył; inna rzecz przecież dla uboższéj szlachty, dla dziedziców folwarków lub wiosek. Równi w obliczu prawa magnatom, równémi chcieli być i okazałością wystąpienia. Ztąd szły bezpotrzebne wydatki rujnujące nabytki, i gdy mąż tracił pieniądze, gdy żona dopomagała skrzętnie w tym względzie, wsie zmieniały się na skrzynie bławatów i pudełka świecidełek; a te, gdy dokuczała nędza, przechodziły za bezcen w ręce żydowskie; ubodzy, znaleźliśmy sposób bogacenia daleko od siebie bogatszych.

Otóż wynalazłszy w garderobie Wojewody, czego było mi potrzeba, wystrojony i wyświeżony jak nigdy w życiu, udałem się do pałacu, a właśnie gdy wstawano od stołu.

Ujrzawszy wchodzącego, wykrzyknął Wojewoda:

—*Per Baccho*, Mości panie! a toż mi wystrychnąłeś się WPan! teraz dopiero widzę żeś karmazyn! z dziadów pradziadów senatorskie dziecię, i godny syn ojca. Twój ubiór całkiem mi się podoba, morderowy kontusz, chociaż nie piérwszéj mody, jednak do twarzy; pas szczególniéj wykwintny, gdzieś go kupił, za jaką cenę? *per Deum*, muszę mieć podobny! dwieście czątych chętnie zapłacę— skinął na jednego z dworzan,— panie Broniewski! powiedz niech się wystara, a nieoszczędza niczego.

Uśmiechnąłem się mimowoli, a zarazem zrozumiałem dla czego służba szatnych za jedną z najzyskowniejszych uchodziła. Na dworach wielkich naszych panów, o podobne mojemu wypadki zapewne nie było trudno, zysk wtedy oczywisty, można było dwa razy tęż samą rzecz kupować i przedawać, a że kontrola lekka, nie raz i na bok odłożyło się jeden i drugi, ubiór.

Wojewoda mówił daléj, lecz już z zwrótem do mnie:

—Dalipan *volens nolens* przyznać muszę, że Trembecki choć szałaput i sowizdrzał jak drugiego trudno, prawdziwe dał mi wyobrażenie o tobie, nazywając przy rekomendacji oryginałem; ubrałeś się na pierwszą wizytę niby zagrodowy szlachetka, białoruski bojak, albo świeżo uszlachcony ukraiński kozak, a przebierając się występujesz jako istny elegant, człowiek świata i gustu! Inna też rzecz przychodzi do głowy, prawie gotowym przysiądz, żeś czarnoksiężnik, że przewidując kąpiel w jeziorze, w stosownie oszczędny chciałeś się ubrać, lecz *a propos* kąpieli, przypominam sobie, że moja roztrzepana córeczka niepodziękowała ci jeszcze za wybawienie. Panno Juljo! chodź proszę.... warto przecież Szambelanicowi choćby jedném słowem wywdzięczyć rycerską usługę.

Na przyzyw ojca, lubo z niewielkim pośpiechem stawiło się dziewczę, oblało mnie od stóp do głowy bystrém spojrzeniem, i...

—A więc to Aszmość dopomogłeś mi w dzisiejszym przypadku?— zapytało.

—Tak, szczęśliwy trafunek dał sposobność usługi— odparłem.

—Usługa była rzeczywiście wielką i w stosownej przyniesiona chwili, gdyż muszę ze wstydem wyznać, zaczęłam tracić siły i przytomność umysłu; a panowie, którzy byli przy mnie, stracili głowy, jeżeli je mieli kiedy— dodała z szyderskim uśmiechem— komedja nasza zatém mogła się była skończyć bardzo traicznie; bez pomocy WMości byłabym narażoną jeśli nie na śmierć, to przynajmniej na dłuższą kąpiel, zaziębienie, a więc chorobę.

Zwróciła się po tych wyrazach, jedynej nagrodzie mego poświęcenia się do ojca, i pół głosem, lecz tak, że słyszéć mogłem, spytała:

—Lecz któż jest ten pan? nie znam go wcale.

Magnat dał stosowne objaśnienie. Dziewczę lekko skinąwszy mi głową chciało odejść, gdy jakby nową uderzone myślą, wstrzymawszy się zagadnęło:

—Tańczyszże *Monsieur?*

—Niekiedy.

—A to dobrze, muzyka właśnie zagrała mazurka, chodźmy do niego.

Podała mi rękę, chętnie przyjąłem. Taniec szedł żwawo, krew rozgrzał jeden i drugi puhar węgrzyna, dodał animuszu. Zapomniałem o mych strapieniach miłosnych, ze wstydem muszę wyznać i o Hannie, Wojewodzianka tyle była dowcipną i mówną, jej umysł tak giętki, spójrzenia czarujące, a swoboda postępowania tyle pociągająca, że chyba krwi nie trzeba było mieć w żyłach, aby się niedać ułudzić, zająć, oślepić niejako.

Zajmowałem się też nią i nie tylko przez ciąg mazurka, lecz przez cały wieczór. Raz się oddawszy zabawie, raz lody nieśmiałości rostłukłszy, już się pohamować nie mogłem. przewodniczyłem w tańcach, i grach towarzyskich, układałem ich plany; nie wiem zkąd się brała zręczność i dowcip, ale odznaczałem się niemi tyle, że wreście zwróciłem uwagę Stanisława.

Przystąpiwszy do mnie, wyrzekł z nietajonem zadziwieniem:

—*Ma foi mon cher!*— jak wszystkie dobrego tonu ówczesne osoby i on lubił mieszać do rodzinnego języka francuzkie frazesa,¦ śmieszne przypomnienie choć w inny sposób, makaronizmów jezuickich—*ma foi!* co się z tobą zrobiło? niepoznaję cię wcale.

—Jak to rozumiesz?— spytałem.

—*Mais, la chose la plus simple du monde!* ty przed parą godzinami jeszcze taki semat, prawdziwy typ hreczkosiejów naszych, zmieniłeś się w całkiem szarmanckiego kawalera i bywalca! wszyscy się dziwią, a Wojewoda przysięga, że w elegancji i miłosnych awanturach, prześcigniesz ojca, i weźmiesz prym na dworze Poniatowskiego!

Ta pochwała powściągnęła nieco wesołość, więcéj jeszcze oziębiła ją następna przypadkiem podsłuchana rozmowa wiedziona przez Wojewodziankę z Stanisławem.

—*Votre ami*, panie Szambelanie, *un homme tres comme il faut*, mówiła:

—Rad jestem *Comtesse* z téj pochwały, daje mi ona nadzieję wygrania znacznego zakładu.

—*Comment cela?*

—*Vous devez savoir Comtesse.* Wziąłem na siebie, że go rozrucham, zakocham, a raczéj odkocham.

—Nowa jakaś *plezanteria*, z twéj strony Szambelanie.

—Bynajmniéj, a mogę zaraz przekonać Panią.— Opowiedział w krótkości moją miłość dla Hanny, jéj kaprysy i dodał:

—*Figurez vous*, ile nieborak zakochany, gdy dla swéj bogini, mało braknęło że nie oszalał, i co gorsza w głowę sobie z rospaczy nie strzelił.

—*Est ce possible!* taka miłość.

—*Il doit vous prouvez*, że i ten wiek ma swoich Celadonów i Tankredów, wiernych Mirtyli i Korydonów, o których tyle piszą nasi poeci. Nie bierz tedy za przesadne wierszy, jakie miałem zaszczyt złożyć ci niedawno.

Roześmiała się wesoło— *vous étes excellent* Szambelanie! chwaląc przyjaciela, *vous voulez me faire la cour*, nie uda się jednak podstęp, poznałem się na rzeczy! Ot lepiéj, jeżeli łaska objaśnij zakład, wiesz że lubię podobne sekreta.

Stanisław widocznie z odpowiedzi był niezadowolniony.— *Vous étes toujours cruelle Comtesse!* wszędzie i we wszystkiem widzisz podstęp, tu go przynajmniej niema. Wszakże oświadczyłem raz na zawsze stanowczo, że dawne moje szaleństwo oddawna już przeszło, *je brigue votre amitié*, chcę cię adorować, lecz nic więcej, niema i mowy o sentimentach.

—*Tant mieux pour vous et pour moi*, nudziłeś niemi zbyt długo, lecz wracając do rzeczy... zakład...

—Ach! on całkowicie zależy od ciebie *Comtesse!* chceszże mi dopomódz w wygraniu dwiestu dukatów złotem?

—I owszem! *je sais que vous en avez besoin*, lecz niewiem dotąd jakim sposobem.

—Rzecz prosta, dopomożesz mi, o czem już wspomniałem, odkochać Szambelanica.

—*C'est parfait!* koncept wyborny! powiedzże przecie, jak to mam uczynić?

—Zakochawszy w sobie.

Rzeźwym śmiechem parsknęła teraz.— *Vous étes superbe!* mój Szambelanie, chcesz oczywi-

ście palmę dowcipu odebrać twemu koledze w rymotworskim zawodzie Starościcowi Węgierskiemu, jednak *avouez* choć koncept niezły, plan źle ułożony i żart zbyt gruby, abym się dała ułowić.

—*Vous vous trompez Comtesse!* nie żart to wcale, założyłem się z Podkomorzycem; przy piérwszéj okazji sam powié, parę dni temu była mowa o Szambelanicu, pod niebiosa wynosił jego stałą miłość! ja na odwrót utrzymywałem, że to sentymenta jak wszystkich innych.

— A więc w stałą miłość nie wierzysz?

—Biorę przykład z ciebie pani, *souvenez vous* bowiem, że...

—Ach, *je me souviens*,— przerwała z niecierpliwością, wiém co chcesz powiedzić, lecz nie o tém mowa, ale o Szambelanicu i jego zakładzie.

—Rzecz prosta, dowodziłem że się kocha, bo dotąd nienapotkał żadnéj osoby piękniejszéj i rozumniejszéj od swéj bogdanki; lecz gdyby to nastąpiło, ręczyłem że niewytrzyma próby. Przedewszystkiém zapewniałem, że gdybyś tylko

zechciała *Comtesse*, jutro już zapomniawszy o swéj wiejskiéj piękności u twych nóg byłby.

—Cóż na to Podkomorzyc?

—Znasz go pani, uparty jak kozioł w kapuście, lub co więcéj jak Ex-Wojewoda Twardowski, gdy dowodzi że Brühl był lepszym Ministrem od naszgo Podskarbiego Ponińskiego. Rozgniewał też, przyszło do sprzeczki i do zakładu.

—Mniemasz tedy że wygrasz?..

—Bogiem a prawdą zaczynam się obawiać *d'abord*, że nie wiém *Comtesse*, czy chcesz przyjąć na siebie udział w zabawie? potém....

—Cóż potém? *finissez donc*...

—Trembecki udawał zakłopotanego... nie rozegniewam że cię pani, gdy szczérze wyznam co myślę?

—Nie bałamućże, wiész że nie jestem łatwa do obrażenia się.

—*Si vous voulez*, lękam się i czego innego. Poznawszy lepiéj Szambelanica, sam widzę, że to człowiek, całkiem różnéj od innych natury, jego miłość dla Skarbnikówny tak silna, że nie wiém czy kto ją zdoła zwyciężyć.

—*Croyez vous* tedy, że i ja nie?

—*Mais sans doute!* gdy mam prawdę powiedzieć? Ci hreczkosieje, a mój szczególniej, na prawdziwych Celadonów i Mirtyli stworzeni. Poczciwy Karpiński musiał z nich brać wzory.

—Widzisz przecie, że bez usiłowania z méj strony, wcale on w innym teraz, jak był na wstępie do tego domu, humorze.

—*C'est vrai*, lecz to niedowodzi niczego. Któryż człowiek zdołałby ci się oprzeć. *Comtesse! vous avouerez*, jednak, to wrażenie na jednych mniéj, na innych więcéj wpływu wywiera. W téj chwili, prawda, twoje wdzięki i dowcip zająć go potrafiły, lecz czy tak długo potrwa? Ręczę, że jeszcze dziś będzie się skarżył i gniewał na siebie, że na kilka minut niewiernym stał się swojéj bogdance.

—Potrafiłem jednak tyle ważnych odnieść *konkiet*, ot świéżo, odwiodłam od księżnéj Lub*, hrabiego Mor*, przecież był zakochany po uszy-sam wyznasz.

—Prawda, lecz hrabia był człowiekiem świa. towym, a więc niewyjątkowym jak Szambelanic,

Mimo całej opinji jaką mam o twym dowcipie *Comtesse*, lękam się....

—Sprobuję jednak...

—I owszem, gdy tego sobie życzysz... ja przecież powtarzam moje...

Uporczywe wątpienie, wyraźnie dotknęło Wojewodziankę.— Ach zaczynasz mnie nudzić Szambelanic twoją sprzecznością! Wielka mi rzecz skonkietować tego Celadona! zobaczysz że się uda; owszem, chceszże przyjąć propozycję?

—Jakąż to? jeśli wolno się spytać.

—Zakład widzę niepokoi cię, przyjmę go na siebie.

—*Je ne comprens rien.*

—Bo nie chcesz zrozumieć, słuchaj jednak. Na wsi zaczyna być nudno, Kasztelanic przejadł mi się już z swoją trwożliwą, wyperfumowaną miłością, a Staroście Br* dałam kosza; chcę się tedy bawić, a będę się bawiła konkietowaniem twojego przyjaciela.

—Zobowiążesz nieskończenie! przecież, w tém wszystkiém nie widzę jeszcze związku z zakładem.

—Uwolnię cię od niego, przyrzekam bowiem, że jeśli w ciągu dwóch lub trzech miesięcy Szambelanie nie zapomni o swéj wiejskiéj bogini, i jeśli nie będzie u mych nog błagał o miłości, wypłacę za ciebie Podkomorzycowi dwieście dukatów.

—Wybornie *Comtesse!* oswobadzasz od nienawistnego kłopotu! lecz w przeciwnym razie....

—Zdaje mi się sumka do mnie należeć powinna wyłącznie; będzie piérwszą jaką w mém życiu pozyskam za cenę mych starań.

—Niechże i tak będzie.— Podał rękę Wojewodziance, przyjęła ją i uścisnęła na znak zgody, śmiejąc się na całe gardło.

7.

Układ z Trembeckim.— Dzieje dwóch miesięcy.

Zły i gniewny dosłuchawszy do końca rozmowę, opuściłem pałac i udałem się do kwatery. Gniewała płochość Wojewodzianki, obrażał postępek Trembeckiego, tak tedy obydwójgu, miałem służyć za przedmiot rozrywki, za ofiarę jakowegoś handlu. Nie wabiła podobna rola, i chciałem ją stanowczo porzucić.

Za nim jednak miałem czas do udania się na spoczynek, nadszedł Trembecki, wesoły jakby nic nie zaszło! przyśpiewujący i układny jak zawsze.

—Ha próżniaku!— wykrzyknął wchodząc do izby— jak to! rozbierasz się już, o spoczynku myślisz, gdy zabawa w najlepsze się zawiązuje, muzyka brzmi, a Wojewodzianka o nowym mazurku i kontredansie myśli?

—Może je tańczyć bezemnie! zbyt mało znaczącą jestem osobą, abym w czémkolwiek na zabawę wpływał.

—Otóż w czém się mylisz. Od paru godzin byłeś duszą balu, spodziewano się, że tak i daléj będzie. Nie mitręż tedy, nie bałamuć, ale chodz ze mną, w imieniu Wojewodzianki zapraszam cię do piérwszego mazurka, koniecznie chce go tańczyć z tobą.

—Jak widzę tedy, przyjąwszy zakład, chce się już nim zająć od dzisiaj— odpowiedziałem nieco szydersko.

—Przyjąwszy zakład?– powtórzył Trembecki wyraźnie zdziwiony, i mierząc mnie wielkiemi swemi czarnemi oczyma.— O jakimże mówisz zakładzie, co się z tobą dzieje?

—Nie udawaj, proszę cię!— chłodno odpowiém— wiém o wszystkiém, o twym zakładzie

z Podkomorzycem, wiém i o tém, komu go' ustąpiłeś.

—Ależ ty czarownik !— przerwał mi rzeźwym śmiechem parsknąwszy, zkądże dowiedziałeś się o tém wszystkiém? prócz nas dwójga, mnie i Wojewodzianki, nikt nie wie ni słowa o niczém! czy jak Alladyn w tysiącu i jeden nocach, masz na swe rozkazy cudowną lampę, lub jak któryś z bohatérów francuzkiego romansu, gromadę gnomów i widem?

—Zkąd wiém, mniejsza oto— odpowiém cierpko— lecz wybacz, otwarcie powiém ci: za cel żartów ani komedji służyć nie myślę.

—Lecz któż chce z ciebie żartować? Kto chce grać komedję? Człowieku! zawołał.

—Kto?— spytaj sam siebie, a dowiész się najlepiéj— odrzeknę i dodaję:

—Zaprawdę, niespodziewałem się tego, i gdy mię nie gniewa, że Wojewodzianka, niewiasta płocha i kokietka mogła przyjąć na siebie szpetną rolę zalotnictwa, to obraża, że człowiek, szkolny kolego-przyjaciel i sam się narzucający za obrońcę i protektora, mógł cóś podobnego ułożyć.

Ton, którym wyrzekłem te słowa, powściągnął śmiech Szambelana, odparł trochę niecierpliwie.

—Ależ na Boga, Albercie! jeżeli nie pojmujesz dotychczas celu moich postępków, nie przypisujże im haniebnych zamiarów! bez potrzeby niewinnego obrażasz.

—Niewinnego? czyż na własne uszy nie słyszałem waszego układu?

—Mogłeś słyszeć temu nie przeczę, lecz czy zrozumiałeś o co rzecz szła? to znowu co innego! a naprzód trzeba ci wiedzieć, że we wszystkiem co mówiłem ni słowa prawdy nie było.

—Jakto? twój zakład z Podkomorzycem...

—Że nie istniał, możesz się dowiedzieć od niego samego.

—Lecz na cóż ten podstęp?

—Ach, tępéj wyobraźni człowiecze! trzebaż ci dowodzić jeszcze, że wszystko było dla twego dobra, stosownie do naszych wczorajszych układów.

—Cóżkolwiekbądź, przyznasz sam, że stratagan za nadto bystro osnowany, aby bez wy-

tłómaczenia mógł być dokładnie pojęty. Chciéj tedy dać objaśnienie.

—Z największą chęcią. A naprzód: przypominasz sobie żem obiecał ożenić cię z Hanną?

—Tak byłeś łaskaw.

—I przyrzekłem że tego do każę, ocuceniem zazdrości. Do téj zazdrości zaś pojmujesz że potrzebną niezbędnie kobieta, i krzycząca jaka miłostka.

—Za tę kobietę wybrałeś tedy Wojewodziankę?

—Ma się rozumieć! jestże jaka inna, więcéj odznaczająca się w okolicy, więcéj do naszych planów stosowna. Jéj miłość, da ci ten polor, to odznaczenie się, którego potrzebujesz.

—Lecz czy trzeba było udawać się w téj mierze do podejścia, którego użyłeś?

—Wyborny jesteś! chciałbyś tedy, aby niewiasta tyle zbałamucona światem, tyle kokietka, a do tego dziedziczka miljonów jaką jest Wojewodzianka, widząca u swych stóp wszystko, co tylko naliczym w kraju młodzieży bogatéj i znakomitéj, chciałbyś mówię, aby to zepsute dziecie

fortuny, rzuciło się dobrowolnie w twoje objęcia? nieznanego, ubogiego i hreczkosieja człowieka, przyjęło za kochanka i co ważniejsza, obdarzyło swemi względami?

—Lecz czy teraz to uczyni?

—Prawie nie wątpię. Zręcznie ułożonym podstępem umiałem ocmić własną miłość, tak przeważną rolę grającą w sercu kobiecém, umiałem zająć wyobraźnię, zbałamucić głowę; od ciebie samego zależy, aby zysk wyciągnąć z mego stratagemu.

Teraz dopiéro zacząłem pojmować zamiary Stanisława, jednak...

—Ależ tym sposobem— rzekłem— przypuściwszy że się uda projekt narażasz dobrą jéj sławę, pobudzić możesz obmowy.

Roześmiał się szydersko!— Prawdziwy z ciebie wieśniak Albercie! nie znasz świata, ni jéj. Dziedziczka miljonów, córka jednego z najpierwszych choć zrujnowanych magnatów, wyżéj stoi nad obmowę; plotka nic jéj szkodzić nie może. To co by ujmę honorowi jakiéj wioskowéj szlachciance przyniosło, dla niéj zaszczytem. Naj-

większe szaleństwo wymówi świat, bo go pokryje złotym płaszczem dostatków, bo zaćmi słynném w dziejach nazwiskiem, i hrabiowską swoją kōroną.

—Jednakże...

—Nie ma tu jednak, lecz święta czysta i naga prawda. Nadto twoje skrupuły czém innem jeszcze mogę usunąć. Czy mniemasz że intryga w którą chcę wplątać Wojewodziankę, piérwszą będzie do jakiéj ma należyć? z własnéj woli i chęci zbrukała się już tyloma, cóż będzie znaczyć jedna więcéj lub mniéj plama, brudząca jéj życie? Ach! gdybyś ją znał! gdybyś znał tę kobietę jak ja! pojąłbyś mnie całkowicie; owszem, uznałbyś że dobrze czynię, że moje zamiary słusznym tylko wypadkiem zemsty, że miljonową cząstką chcę tylko odpłacić strapienie, boleść łzy, jakiemi dokuczyła.

—Ona? tobie?..

—Tak, długa to historja, opowiem ci ją w krótkości.— Głos jego dziwnie stęskniał, z oka zwykle sam gnieżdżący się uśmiech odbiegł, czoło

rozryło się głębokiemi marszczkami, spoważniał nie jako, zrzucił z siebie maskę obłudy i dodał:

—A tak, mamy z sobą obrachunki, długie i cierpkie one! niéma zemsty jakiéjbym niemiał prawa jéj ponieść! niéma dosyć dotkliwych utrapień, jakich sumienie moje niemogłoby usprawiedliwić gdybym mógł zadać lub zadał jéj biedy.

—Zadziwiasz Stanisławie!...

—Prawdę jednak powiadam, a słuchaj.— Więcéj jeszcze stęskniał,—w kilku słowach zamknę moją opowieść. Otóż, cóżbyś rzekł, gdybym ci wyznał, że ona sprawczynią obecnéj mojéj niedoli, że ona zrujnowała całe moje życie, zgubiła przyszłość, z przeszłością zakłóciła? że ona tym złym jeniuszem dla mnie, który skrzyżował najpiękniejsze i najświętsze zamiary? tak ona to sprawiła, że jestem takim, jakim mnie widzisz i sądzisz, a nie tym kim mogłem być, do czego powoływał Bóg swemi zrządami!!...

I dodał przechadzając się gwałtownie po izbie:

—O tak! bo czém ja jestem dzisiaj, sam siebie wstydzić się muszę, sam musze policzkować

moje sumienie, duszę, myśl moją! sam muszę pisać wyrok hańby i potępienia dla siebie! Dumny duchem, błocę, się w kale podłości, uniżam, przed temi biję tym czołem, których nienawidzę, gardzę, których podłość widzę jak nikt drugi; skromny, chęciami nienawidzący szumu i gwaru świata, żyję przecież w tym świecie, kadzę mu, pochlebiam, kłamię miłość i wiarę, i więcéj jeszcze! przez nią i moja przyszłość zgubiona! Silny jestem wyobraźnią, czuję to bez chwalby, Bóg wlał w duszę iskrę poezji... natchnął swym twórczym ogniem,... a czyż użyłem jak przynależało talentowi?— zamiast odpowiedzieć godnie swoję téj i jego woli, urągam jéj, kalając dary, jakiemi obdarzył—Nie śpiewam jak każe serce, lecz jak wiedzie własny interess, podła chęć zysku. Poeta, tylko pochlebcą; jak Naruszewicz, tylko rymokowcą, jak Przybylski jestem!

Mówił z zapałem, lecz głos jego był drżący, piersiowy, bolesny i w oku gruba łza wiła. Otarł ją jednak zaraz i rzekł daléj:

—A jak ci wspomniałem, ona to wszystko sprawiła! i więcéj, ona raz na zawsze moje

szczęście rostłukła! zabiła jedyną istotę, którą szczerze kochałem, i od której podobną wzajemność potrafiłem posyskać. Ha! ciężka, okropna to zbrodnia, była! i moja zemsta taką być musi:

—Przestraszasz Stanisławie!...

—Że nie kłamię i nie przesadzam, zaraz ci tego dowiodę. Lat temu kilka, powróciłem z Paryża. Byłem młody, przystojny, wysoki talent przypisywali mi wszyscy, świetną też wszyscy wróżyli przyszłość, bo i Król względami swemi zaszczycał, i majątek nie był zniszczony jak się to stało wkrótce potém, i... wierna dobra, poczciwa miłość, ująwszy mnie pod skrzydła swojéj opieki, miała zapewnić szczęście i los całego życia. Wierzyłem też nadziei, odemnie zdawało się zależała tylko, lecz też ja rozbiłem ją! wyparłem się podle, zdradziecko! poznałem ją. Wojewodziankę! Od tego czasu, datuje się wszystko złe, które dotykało do tyla i będzie jeszcze dotykać! kokietka umiała skłócić z przeznaczeniem, zająć, zmamić, ułudzić! Dla niéj rozdarłem z prawdziwie kochającą istotą! tyranem, mordercą jéj byłem! dla niéj, marnotrawiłem ma-

jątek, chcąc wyrównać miljonowcom współzawodnikom! jéj miłość zródłem wszystkich bezeceństw, w jakie wpadłem w następstwie!

Zwiesił głowę na piersi i smutno jęczał. Po paru dopiéro minutach przemówił:

—A czy wiesz jaką otrzymałem nagrodę za tyle strat i ofiar jakie dla niéj przyniosłem? czy odgadniesz jak zapłaciła stracone nadzieję, podeptane wszystkie ułudy i marzenia, jéj śmierć i moją hańbę?! Nagrodziła je szyderstwem, odepchnięciem od siebie, trucizną słów i wzgardą!. Nie mamże tedy mścić się? niemam choć w części odpłacić tyle krzywd, łez i cierpienia?

Schwycił moją rękę silnie ją uścisnął, i mówił bolejącym głosem:

—Albercie! chcesz że być moim mścicielem? chceszże dopomódz w żądzy ukarania? chceszże choć cząstkę moich krzywd odpłacić?

—Niepojmuję jakby...

—Ach! ty to możesz uczynić, ty jeden tylko! nikt prócz ciebie! Dopomóż mi tedy w zamysłach! przyjmij projekt jaki ułożyłem! wszakże w nim i twoje szczęście spoczywa. Bóg cię może ze-

słał, abyś stał się moim mścicielem i mścicielem tamtéj, spoczywającéj w mogile!

—Objaśnij jednak....

—Rzecz prosta. Nie wahaj się w zastosowaniu się do planu, jaki ułożyłem. W sidła jakie zastawiła na ciebie, uplącz ją samą. Znam, bystry i dumny umysł niecierpliwić się będzie, że w walce z tobą wyjść zwycięzko nie może. Płocha, obłąka się! ambitna i przebiegła, straci ambicją i przebieg! obojętnością do kochania skłonisz, pokonasz nieuleganiem jéj kokieterji.

—Lecz czy tak stanie się?

—Że się stanie, prawie przekonany jestem; znam bowiem kobiety, a szczególniéj, podobne jéj charakterem. Zgadzasz się tedy na projekt, przyrzekasz mi, że od walki nie będziesz stronił?

—I owszem gdy tego pragniesz, a szczególniéj gdy jak uważam masz słuszne powody nienawiści i zemsty.

Podałem mu rękę, uścisnął ją bratersko, serdecznie, radość błysnęła w oczach: prędko ją przecież powściągnął.

—Ale czyż jak inni jéj nie ulegniesz? czy jak inni obłąkać się niedasz? wyrzekł ponuro.

—Co przez to rozumiesz?

—Przebacz wątpieniu, lecz czy w sobie dość sił czujesz do walki? czy twoja miłość dla Skarbnikówny jest tyle silną, aby zwycięzko zdołała się oprzéć powabom téj nowéj syreny?

—Jeśli tylko oto idzie, możesz być przekonanym, że walka stosownie do twych chęci wypadnie.

—Tak samo mniemali i mówili inni, nie ciebie bowiem pierwszego używano za podstawę méj zemsty, a jednak, prędzéj lub późniéj usidlić się dali. Ta kobieta ma cóś szatańskiego w sobie, jakąś nadprzyrodzoną potęgę, zdaje się, że nie sposób aby kto bądź mógł się oprzéć jéj kokieterji, zręcznym sidłom chytrego dowcipu...

—Moja miłość dla Hanny rękojmią być ci powinna. Nadto, tamci o których wspominasz, byli ludzie świata; ja wieśniak, jak zowiesz, hreczkosiej, czémże może mię złudzić? o jéj posag niedbam, nad jéj dowcip i wdzięki przekładam

dobroć i piękność méj Hanny, porównanie z nią wytrzymać niezdoła.

—W tym też moja nadzieja. Przycisnął mię do serca.—Jakieś tajemne mówi przeczucie, że mnie porzucisz. Ach, gdy to nastąpi! ileż będę szczęśliwy! rozgorzało oko! widzieć jéj łzy, jéj cierpienie i miłość bez wzajemności, będzie rozkoszą, szczęściem! będzie to nagroda wszystkich tych strapień, które dała i daje mi znosić. Ach! mścić się dla człowieka, jest to wglądać do raju; jak słusznie wyraził się jeden z włoskich poetów.

Nie z wielką chęcią przychodzi mi skreślać dalsze wypadki życia. Jest to czas który chętnie wygluzowałbym z pamięci, którego gdyby można wyparłbym się chętnie. Opłaciłem go wprawdzie nie jednem dniem gorzko spędzonym, nie jedną łzą i modlitwą, lecz co znaczy podobna pokuta? czyż ona da zapomnieć grzechy i błędy przeciw rozumowi i sumieniu popełnione? Łatwo jest błądzić, lecz jak trudno skutki błędu zagładzić, a grzech choć się go wynagrodzi pokutą, zawsze ślad po sobie zostawia, jest on jak trąd,

po wyleczonym nawet zupełnie, brzydkie blizny zostają.

Jak widzieliście dałem się skusić Stanisławowi i wystąpiłem z Wojewodzianką do walki. Niewiedziałem na co się narażam, ufny w moją miłość dla Hanny i dumny nią, mniemałem że żadna inna namiętność do serca mieć dostępu niemoże. Przerachowałem się w moich siłach, zbyt na nie liczyłem, Bóg też srodze ukarał, jak zwykle karze dumnych i zarozumiałych.

Jednak, z trochą chluby dla siebie, lecz prawdę wyznać winienem, mój upadek nie był skory, nigdy zupełny, i kto wie może by i nieustąpił nigdy, bez szczególnych okoliczności ułatwiających go znacznie. Jeżeli byłem winnym, winę powinna wymawiać słabość natury ludzkiej, a najwięcej zwątlenie ducha, pochodzące z rozrywu najmilszych nadziei, sprawione konieczną rozpaczą. Jeżeli byłem winnym i Hanna pobłądziła, wprawdzie, jej błąd miał swoje źródło w dobroci zamiarów, w cnocie pięknego serca, w chęci szlachetnego poświęcenia się dla mnie; tak to na świecie doskonałego nic niéma, i ileż razy sama

cnota staje się dla nas niedolą, a przynajmniej pogrąża nas w odmęcie przykrych wypadków, które chętnie odepchnęlibyśmy duszą i sercem.

Kategorycznie przecież powinienem opisać, co i jak zaszło.

Jak wspomniałem, wystąpiłem do walki silny moją miłością dla Hanny i wreście radami i przestrogami Trembeckiego. Zdawało się tedy niepodobieństwem, abym mógł uledz; owszem, wszystko mówiło z razu za tą moją nadzieją.

Jednakże, gdym ją nawet zwycięzko toczył, ciężką była walka i niejednokrotnie sam się dziwiłem i gniewałem na siebie, że ją mogłem przyjąć; byłbym nawet porzucił, gdyby nie obietnica dana przyjacielowi i nadzieja, że przy jej pomocy wzajemność Hanny prędzej lub później pozyskam.

Dziwną bowiem istotą była Wojewodzianka.

Dobrego wyrazu, nazywając ją Syreną, użył Stanisław. Jak w owych mitologicznych boginiach tak i w niej, kojarzyło się wszystko złe i dobre płci niewieściej. Była to amalgama taka, że najgłębszy badacz pojąć jej niemogłeś, najuważ-

niejszy Sędzia, wahałeś się wyrzec zdania stanowczego; grzeszyłbyś nazywając złą, a dobrą nie sposób nazwać. Była ona niby typem upłynionéj epoki, wszystko w nim było, od szczytnych cnót i poświęcenia się Mallierba, od pobożności bezprzykładnéj la Chartra, do szaleństw Dantona, chytrości Marata, do krwiożerczéj namiętności Robespierra i innych rewolucionistów.

A co dzień, co chwila nawet, jak nowe przymioty tak i wady odkrywać w niéj mogłem. Ranem Anioła dobroci, wieczorem widziałeś rozhukanego szatana. Gdy ujmowała twe serce litością i miłosierdziem dla biednych, za minutę okazywała się dla nich surową, obojętną, głazem. Wiatr, według porównania któregoś z poetów naszych, nie mógł być zmienniejszy od niéj; zdawało się że każda sekunda jakąś nową chęć, jakąś nową istotę tworzyła; to rozumująca zdrowo, trafnie, to znów płocha i roztrzepana; słodka, uprzejma, łagodna, to znów surowa pogardzająca i dumna. Miałeś w niej sto razem niewiast, sto odrębnych charakterów, z których jedne kochać i wielbić inne nienawidzieć musiałeś.

A jeśli jéj ogólne postępowanie tyle było dziwacznem, cóż dopiéro pojedyncze ze mną?

Stanisław miał słuszność, potrafiłem obudzić jéj dumę, zadrasnąć miłość własną; powodowana niemi nie skąpiła usiłowań, aby pokonać upornego, zwalczyć dziwaka. Śmiech, a nieraz i gniew brał uważając środki, jakich używała do dopięcia swojego zamiaru. Najwykwintniejsza kokieterja, najuporczywsze względy, piękne słówka i czułe westchnienia, były dla mnie. Opor jaki stawiałem, zamiast zmusić do cofnięcia się rozjątrzał, więcéj jeszcze gniewał i do nowych starań pobudzał.

Tak zeszedł miesiąc. W drugim zaczęła się zmiana. Czy zrażona moją obojętnością wzięła plan inny, czy z nieznajomych mi przyczyn zmieniła tryb postępowania. Jéj charakter płochy i rozrzucony, zaczął nabierać mocy, i władzy; jéj kokieterja inny odcień przyjęła. Nieobwijała już matnią swych czułych słów i podchwytliwych, a zwodnych spojrzeń i westchnień; nie goniła za mną jak to czyniła dotąd, a jak w jéj postępo-

waniu tak i w humorze widoczną zmianę nie tylko ja, lecz każdy mógł spostrzedz. Zapadała w niezwykłe poprzednie sobie zadumy, nieraz szczere westchnienie wydobyło się z piersi, w stroju była skromniejszą, w mowie ostróżną i powściągliwą, w obchodzeniu się z gośćmi więcej grzeczną i równą. A jeśli czasem dawnego humoru ukazał się jaki odcień, gniew, płochość, lub opryskliwość, poskramiała go zaraz niby wstydząc się mnie i sama siebie.

Nie będę taił że podobne postępowanie daleko silniejszy wpływ na moje serce wywarło, niżeli poprzednie pełne kokieterji. Z skromną, łagodną i dobrą, daleko milej żyć mi było niż, z dawną świetną, strojną i dumną. Jej też towarzystwo nęciło co raz więcej, w jej rozmowach na przemian tkliwych, dowcipnych i żywych, miałem przypominek tych, które niegdyś w dniach szczęśliwszych prowadziłem z Hanną. Zażyłość i przyjaźń z każdym dniem wzrastała. Uważał to Stanisław i pewnego wieczora, gdyśmy byli sami, przemówił:

—I jakże jesteś z *Comtessą?* widzę że na da-

leko lepszéj i poufniejszéj drodze, niż kiedykolwiek.

—Mylisz się—odpowiedziałem, jesteśmy obojętni jedno dla drugiego, zaprzestała wietrznictwa, widząc że nim pokonać nie może.

Sciągnął brwi.—To właśnie, wyznam ci szczerze zaczyna mię niepokoić.

—Zbytecznie podejrzliwy jesteś, odrzucając udaną miłość, prawdziwą i szczerze ofiarowaną mi przyjaźń, bez skrupułu i obawy, wszakże mogę przyjąć.

—Od przyjacielskich wywnętrzeń, do namiętnéj miłości krok tylko jeden. Pamiętasz że starożytne syreny, zwodziły niedoświadczonych, mniéj wabném licem i ciałem jak zwodniczą piosnką i słowem.

—Potrafię na te piosnki znaleść lekarstwo, to jest na wzór Ellissa uszy na nie zamknę. Ręczę ci jednak, że w naszych rozmowach, ni słowa o miłości niema, gdyby zaś się znalazły, odbiją się od mego serca, jak słaby pocisk od hartow-

nej stali zbroi. Człowiek jak ja, raz tylko może kochać, namiętność kaprysu niepodobną dla niego.

—Oby tak było — wyrzekł z lekkim westchnieniem Stanisław— życzę tego dla ciebie i Hanny, jednak, nie będę taił, lękam się.

I że miał słuszność, pokazało się wkrótce.

8.

Hanna.—Zerwanie z nią.

Upłynęło dwa miesiące. Codziennym przez ten czas byłem w Chełmicy gościem. Wojewoda rad przyjmował, jeszcze radziej Wojewodzianka. Nasza wzajemna przyjaźń wzrastała z dniem każdym. Ludzie, wprawdzie nieznający rzeczywistych naszych stosunków, gadali o nich niestworzone rzeczy, lecz na ich plotki niezważała, ten jeden odcień tylko z dawnych wad w charakterze został; a że się tak stało, niegniewałem się wcale, gdyż w tém jéj lekceważeniu opinij świata,

miałem rękojmią spokojnej a nawet miłej teraźniejszości.

Pewnego dnia przybywszy do Chełmicy, znalazłem Julię, tak się bowiem po swém chrzestném imieniu jako przyjacielowi, kazała nazywać, weselszą niż zwykle od kilku tygodni. To zadowolnienie, spowodowała jakaś okoliczność domowa; którą że drobna, wyszła już całkiem z pamięci.

Dobry humor Wojewodzianki, i na mój wpłynął. Rozmawialiśmy swobodnie i spokojnie o potocznych rzeczach, gdy dano do stołu. Po jednym i drugim kieliszku węgrzyna, Wojewoda który lubił plotki, rad je zbierał i zebrane powtarzał, zwrócił się do córki:

—*A propos*— wyrzekł— panno Juljo! winnaś WPanna żałobę włożyć.

—Czyliż umarł kto z krewnych?

—Bynajmniéj, wszyscy zdrowi począwszy od jednorocznéj Kasztelanki Witepskiéj do osiemdziesięcioletniéj Wojewodziny Bracławskiéj. W naszym rodzie tak mężczyzni jak i kobiety żyją długo dla tego też rzadkie sukcessie. Twojéj ża-

łoby inny powinien być przedmiot, a stracony kochanek.

—Gdybym po każdéj straconéj lub odrzuconéj przezemnie miłości, miała wkładać żałobę, całe życie musiałabym się ubierać czarno; że zaś ten kolor nie jest mi do twarzy, muszę dać pokój. Jednak, że jestem niewiastą, a więc z natury ciekawą, powiedz że ojcze, kogoż to niewiernego każesz mi płakać?

—Ach ten kochanek godzien jeśli nie łez, to przynajmniéj westchnienia żalu, odparł Wojewoda— naprzód miljonowy.

—Toby dobrze było dla wdowy dożywotnicy.

—Potém, — ciągnął magnat, — człowiek w kwiecie wieku, przystojny, i co ważniejsza, na drodze zaszczytów i łaski Królewskiéj.

—Lecz to jakiś brylant! feniks! którego niewiém sama jak przeoczyć i odrzucić mogłam.

—Przeoczyłaś i odrzuciłaś przecież kapryśnico! a szkoda dalipan, słusznie bowiem sama rzekłaś podobny mąż brylant! niewytrząsają się tacy z rękawa, ani rosną na zawołanie jak pieczarki.

—Co robić? będę czekać azaliż się inny jaki nietrafi, i gorzkie łzy lać gdy nienastąpi. Lecz na tych objaśnieniach *mon père*, nie doszyć, chcicjże do świetnych, które dopiero co podałeś przymiotów, dodać imie i nazwisko straty, będzie to *un coup de grace* dla mnie,

—Starosta Br* odpowiedział Wojewoda.

Rzeźwym śmiechem parschnęło dziewcze — ach Starosta! czterdziestoletni Adonis, w blond peruce, kwiecistéj westce i zlany od stóp do głowy pachnącą wódką *á la reine d'Hongrie— Mais vous avez raison* Ojcze! strata dla mnie nie błaha, przepada sto tysięcy czystéj intraty, nadzieja godności Kasztelanowéj i tytuł hrabiny, *par la grâce de Dieu*, na raz jeden, przyznaję, za wiele.

—Pustakujesz Mościa Panno! a zło się stało, wyznać bowiem szczerze ci muszę, ze wszystkich konkurentów jakich miałaś do tych czas, ten mi się najwięcéj podobał.

—Szkoda że mnie mało, inaczéj wesele byłoby gotowe. Bądź co bądź przecież mam żal do starosty, powinnam oskarżyć o felonią, wietrznic-

two i zdradę. Niema pięciu tygodni gdy jeszcze wzdychał do mnie jak turkawka do swojéj pary, wieczną i niezmienną nigdy przysięgał miłość i trzeba bowiem wiedzieć państwu, że Starosta mimo swojego piątego krzyżyka nadzwyczaj sentymentalny: Nową Heloizę Russa umie na pamięć i z niéj całe perjody cytuje; ach, i wierszami nawet swoje strzeliste affekta wyraża; niezapomnę tych jakie ostatnią razą na me imieniny ułożył. Było to wprawdzie dwu wierszowe tylko impromtu, ale sensem, układem i rymem tak bogate, żeby mogło wystarczyć na całe heroiczne poema, otóż one:

Nie jest piękniejszą róża, ni biała lilija,
Jak jest piękną Wojewodzianka panna Julija.

Roześmieliśmy się wszyscy, Wojewoda nawet nie mógł swego serio utrzymać. Wojewodzianka, gdy śmiech nieco przebrzmiał zagadnęła:

—Ależ *mon père*, nie koniec jeszcze objaśnień z twéj strony, jedno jeszcze dać musisz to jest powiedzieć: kto jest ta zuchwała, co się powa żyła zbałamucić mojego Celadona, grodowego Sta-

rostę, dziedzica dwu miljonów i Kasztelana w expektatywie?

—Spytaj się twojego sąsiada, on ci najlepsze dać może objaśnienie—odpowiedział magnat.

Tym sąsiadem ja byłem, zdziwiło odezwanie, odparłem:

—Przebacz panie Wojewodo, ale Starosta i jego konkurry są mi zupełnie obojętną rzeczą i jako takie, nieznane.

—Tak się da mówić kochanku, jednak gdybym przyłożył rękę do twego boku, niezawodnie poczułbym mocniejsze bicie serca, mów co chcesz zdrowy, cała rzecz żywo obchodzić cię powinna.

—Niepojmuję dla czego.

—Ejże! któż nieznа twoich amorów? żal być musi, że ktoś szczęśliwszy odbija bogdankę.

—Bogdankę? — powtórzę przerażony — co chcesz powiedzieć panie Wojewodo:

—Czystą tylko prawdę. Wszakże cały świat jednomyślnie głosi że Starosta uderzył do panny Skarbnikówny Z* i co więcej, że nie tylko od jéj Ojca, lecz i od niéj saméj jest dobrze widziany.

W tych dniach ma się oświadczyć i niezawodnie będzie przyjęty.

Piorunem były te wyrazy dla mnie, zimny dreszcz przeszedł po żyłach; gdyż zastanowiwszy się nieco, zauważyłem, że w wieści Wojewody, prawda być musi. Od czasu zapoznania się z Julją, zaniedbałem znacznie dom Skarbnika, w tym też miesiącu szczególniej, i niemogło być inaczej. Hanna przyjmowała mię obojętniej jeszcze niż zwykle, chłodno i nawet cierpko; czyż tedy nad jej, nie miałem przekładać towarzystwa wesołego, miłego i powabem kokieterji wabiącego Wojewodzianki? Trembecki też radził, abym dla większego podniesienia zazdrości ograniczył moje wizyty. W ciągu więc czterech ostatnich tygodni, cztery tylko zrobiłem, a za każdym razem zjeżdżałem się z Starostą. Dziwiła mię wprawdzie ta częsta jego bytność, lecz ją przypisywałem prostej grzeczności i interesom, jakie skutkiem familijnych układów miał do Skarbnika, wybranego za medjatora; ani mi zaś przez myśl nie przeszło żeby chciał się starać o rękę Hanny: gdyż mimo jej obojętności

dla mnie, uważałem ją niejako za narzeczoną, nadto zepsuty byłem tém, że wszyscy inni konkurenci odstąpili oddawna, wiedząc o mych stosunkach z Skarbnikiem, a więc niechcąc bezpotrzebnie przeszkadzać.

Plotka dopiéro Starosty, odczarowała mię z ułudnych snów nadziei: po raz piérwszy myśl prześlizgnęła się po głowie, że Hanna komu innemu, nie mnie, może oddać rękę. Ta myśl, jak wspomniałem, przywiodła o dreszcz, owładnęła uczucie, jakie musi dokuczać nieszczęśliwemu, co pewny niezawodnéj łaski, ujrzy nad swą głową błyszczący śmiercią topor kata.

To moje wstrząśnienie, uważał Wojewoda, egoista z śmiesznéj tylko widział je strony, i mówił:

—Aha kochanku! nowina niebardzo przypadła do serca, próżnobyś teraz dowodził że konkury Starosty mało cię obchodzą. Co robić Mościpanie, trzeba zgodzić się z losem, gdy ty fircykujesz gdzie indziéj, słusznie że i bogdanka o rozrywce pomyślała; żal mi cię bratku, lecz do-

brze mówi stare przysłowie: nie goń dwóch zajęcy jednorazowo, bo niedostaniesz żadnego.

Mało obchodził ukryty sens i docinek wyraźnie ukryty w tém odezwaniu się magnata. Jego nowina rozstroiła mnie całego; niewiem jak mogłem wysiedzieć przy stole, zdawał się być długim bez końca. Chciałem przekonać się o prawdzie, pojechać czém prędzéj do Skarbnika, każda minuta zwłoki trapiła, od każdéj tak mi się przynajmniej zdawało, mój los zależał.

Gdy wreście obiad skończył się, kazałem konie do kolaski założyć i mimo ulewnego deszczu zabrałem się do odjazdu.

W pałacowéj sieni, wstrzymała Julja.

Jak Wojewoda i wszyscy, i ona dojrzała zmianę mego humoru za usłyszeniem przerażającéj wieści, lecz gdy Wojewoda bawił się moim smutkiem, ona, niedotknęła go ni jednem słowem naśmieszki, owszem zdawało się że go podziela, a przynajmniéj szanuje. Jéj dotychczasowa wesołość zniknęła bowiem, zasępiła się widocznie, i milcząc dokończała obiadu.

Teraz, zaszedłszy mi drogę, była blada, w oku niepokój, głos drżący.

—Pan odjeżdżasz? - szepnęła.

—Tak *Comtesse*, muszę.

—Ach musisz, — przerwała żywo— lecz gdzie jedziesz? jeśli się wolno zapytać?

—Do domu, interessa zmuszają.

Uśmiechnęła się szydersko, lecz i gorzko zarazem.— Czemu kłamać, panie Albercie! jedziesz do Łącka (była to nazwa wioski Skarbnika).

—Niemylisz się pani— odpowiem— tak jest w istocie.

—Lecz po co jedziesz? co cię skłania?

—Comtesse! czy się możesz pytać, — odpowiem.—Nieznaszże moich uczuć, mojéj przeszłości?

Wyraźnie się wzdrygnie, i...

—A więc ją kochasz jeszcze?— zapyta.

—Tak, i czuję, więcéj niż kiedy!

Ta odpowiedź wyraźnie ją dotknie, oko pyłkim rozgorzeje blaskiem, ściągną się ku sobie brwi.— I to mnie w oczy możesz powiedzieć?

Zadziwi mię wykrzyk— Czemuż by nie, Comtesse? cóż cię ma obchodzić w kim się kocham?

—Co ma obchodzić?—powtórzy— na Boga, człowieku! jak możesz cóś podobnego mówić? nie domyślasz że się niczego? ty...

Powściągnie się nieco, jednak nie bez zapału doda:

—A jak możesz ją kochać? istotę bez serca, duszy, bez ukształcenia! wiejską kokietkę, która nad twoją miłość przekłada miljony innego, która tobą pogardza odkąd ma nadzieję że senatorskim tytułem pokryje swoje plebejuszowskie pochodzenie! lecz to szaleństwo, nie rozum! i więcéj—głupstwo!

—Takie jednak moje przeznaczenie!

—Ach przeznaczenie! i ty więc na niego jak inni, swe głupstwa chcesz zrzucać, aby mieć jaką taką pozorną przynajmniej przed rozumem i sumieniem wymówkę! zastanów się przecież panie Albercie, co czynisz, a cóś powinien uczynić. Nie wstyd że ci, błagać o litość, błagać o uczucia, których ci niechcą dobrowolnie ofiarować? czy nie hańba, aby tylokrotnie odrzucony, darłeś się przecie o względy, które komu innemu przynoszą? wyrzuć niedorzeczną namiętność z serca,

wygluzuj całą przeszłość z pamięci, dobra sposobność właśnie trafia się, korzystaj z niej, proszę cię, błagam oto dla twego własnego dobra!.

Ostatnie wyrazy wypowiada z czułością, a w tonie głosu więcej jeszcze prośby serca, uczucia, niżli w doborze słów. I ręce składa niby do modlitwy, i w oku łza błyszczy. Na chwilę też wstrząśnie, wzruszy; czuję słuszność jéj rad, waham się coby uczynić, jednak dawna namiętność przemaga, i....

—Muszę pojechać,— wyrzeknę.

Odsunie się na krok, pogarda prośby wyraźnie ją rozgniewa, zafarbują się żywym rumieńcem policzki, łza oschnie w oku, i znowu jest tą co zawsze, a raczéj jaką była niegdyś: dumną, pustą, nieczułą! ze śmiechem wzgardy mówi mi:

—Rzeczywiście szalona jestem! I co mnie ma obchodzić, co pan robisz, w kim się kochasz i jak masz postępować? co mnie może obchodzić że jakaś biedna, prosta wiejska dziewczyna, gardzi, wyśmiewa i odrzuca twą miłość? a jedź sobie gdzie chcesz, i niepowracaj gdy tak chcesz, do tego domu; bo i poco masz wracać? twoje

miejsce nie tutaj, skrapiaj łzami nogi twojéj sielskiéj bogini, błagaj o zmiłowanie istotę bez serca, zimny głaz, proś o miłość z któréj drwią, i o rękę, któréj oddać ci niechcą. Co mnie dotyczą miłostki człowieka obojętnego mi zupełnie? jedź, a im prędzéj tem lepiéj, i powtarzam, niewracaj!

Odwróciła się dumnie, pogardliwie, i niepożegnawszy szybkim krokiem do swych komnat odbiegła.

Ten jéj postępek i słowa, w każdym innym razie wiele do myślenia dałyby, teraz przecież niezwracałem na nie uwagi. Odjechałem, i nagląc do pośpiechu woźnicę, ujrzałem się wkrótce w domu Skarbnika.

Przyjął on jak zwykle przyjacielsko i uprzejmie, lecz i Hanna po swojemu, z chłodną powagą i obojętną grzecznością; wszystka też krew burzyła się w mych żyłach, a wstrząśnienie umysłu podwoiło się wkrótce, Starosta bowiem przyjechał.

Przybył zaś dworno, szumno i okazale. Moja kolaska i para koni przy jego złocistéj dan-

glowskiéj karecie i czterech dzielnych jednomaścistych rumakach, skromnie a nawet biednie wyglądała. Mój pachołek i furman, mieli minę żebraków przy jego hajdukach świetną barwą odzianych, błyszczących złotem i srebrem.

A i sam się wystroił jak na uroczystość jakową lub królewskie pokoje. Materja kontusza była bogata, w spinkach brylanty, przez ramię przewiesił karmazynową wstęgę orderu świętego Stanisława, którym Król niedawno go obdarzył.

Czułem się też przygniecionym i upokorzonym tą jego okazałością, jego pańskość policzkowała moją miłość własną, mój niedostatek wydawał się nędzą przy jego butności magnackiéj. Niezazdrościłem mu majątku; lecz niemogłem cierpieć, że go w mojéj przytomności ośmiela się okazywać. Uważałem to za urągowisko dla siebie, chęć szkodzenia mi, wydrwiania, wyśmiania.

A jednak wyznać muszę, Starosta był wcale godnym i dobrym człowiekiem. Cóżkolwiek Wojewodzianka mówiła, niemiał w sobie ni żadnéj krzyczącéj śmieszności, ni wad, któreby mogły

brudzić charakter; owszem wiele zalet mówiło za nim: był rządnym gospodarzem, dobrym sąsiadem i obywatelem, i niewzdrygał się przed żadną ofiarą, gdy szło o dobro ogółu lub wydźwignienie z kłopotu sąsiada albo kogo bądź z znajomych. W następnym też czasie dał dowód i przywiązania do dobrej sprawy i niepospolitych zdolności, które mu dały zaszczytne miejsce pomiędzy znakomitemi ludźmi czteroletniego Sejmu.

Jakże przecie mogłem widzieć i rozumować zdrowo, gdy szalona namiętność wstrząsała, gdy widziałem w Staroście przeciwnika a jeszcze szczęśliwego, bo faworyzowanego od Hanny. Przyjęła go bowiem z stokrotnie większą jak mnie grzecznością, zajmowała się nim ciągle przez resztę dnia, jemu były piękne słowa, spójrzenia, uwagą; o mnie ledwie że raczono pamiętać, iż się w domu znajduję.

Naturalnie, że te wszystkie szczegóły, wcale krwi uspokoić nie mogły; owszem, niewiem jak się mogłem powściągnąć od popełnienia jakowej niedorzeczności. Kilkakrotnie bliskim był jej wybuch, wstrzymywały tylko zimna krew

Starosty, wdanie się Skarbnika, co zaś nadewszystko, nakazujące spojrzenia Hanny.

Cóżkolwiek bądź, niewiem czy długo panem mógłbym być moich postępków, gdy na szczęście odjechał rywal. Wziąwszy wówczas Skarbnika do osobnego pokoju, zacząłem wręcz wypowiadać moją obawę a zarazem strapienie.

Słuchał cierpliwie wynurzeń, przecież gdy skończyłem, dość chłodno odparł:

—Zapominasz panie Albercie, żeście niezwiązani z Hanną bynajmniéj niczém, że jednemu i drugiéj, wolno działać jak nakazuje przekonanie i rozum.

—Mylisz się panie Skarbniku,—przerwę—Hanna dotychczas prawie jest moją narzeczoną; czyż bowiem sama, nieobiecała mi oddać swéj ręki? nienaznaczyła terminu?

—Prawda, lecz głównym punktem tego układu winieneś sobie przypomnieć, była całkowita dla obójga swoboda; owszem, termin jaki ci dała, bynajmniéj nie jest stanowczym; po jego upływie wolno każdemu z was działać jak osądzi za dobre, że zaś znasz te punkta, i dobrze

ich ducha pojąłeś, dowodzi właśnie teraźniejsze twoje postępowanie.

—Sądzę że mu nic zarzucić nie można.

—Bynajmniéj, na odwrót, tak ja jak i Hanna widziemy z radością, że się starasz o rękę Wojewodzianki, i co ważniejsza, że twoje starania mogą być uwieńczone pomyślnym skutkiem.

Roześmiałem się wesoło, przyszły na myśl plotki chodzące po okolicy, wspomniałem poprzednio troche o nich, opierając się na moich częstych wizytach w Chełmicy, na zażyłości z córką magnata i jéj kokieterji, ludzie dziwne rzeczy gadali, i olbrzymując rzecz, prawie przekonanemi byli i o mém staraniu się i o wzajemności Wojewodzianki, byli nawet i tacy, którzy pod słowem honoru zapewniali, że się już oświadczyłem i zostałem przyjęty.

Odpowiedziałem Skarbnikowi:

—Że ludzie roznoszą podobne baśnie, wcale się nie dziwię; lecz to mię dziwi i smuci, że Waszmość panie Bonawenturo, mogłeś na nie uważać, a tém więcéj im wierzyć.

—Z trudnością wprawdzie to przyszło, znając bowiem twoje zasady, charakter i przywiązanie jakie tak długo okazywałeś Hannie, wątpiłem; lecz gdy ogólnie zapewniano, gdy rozważyłem płochość wrodzoną młodości i zmienność ludzkiéj natury, chcąc nie chcąc musiałem uwierzyć; ale gdy jest inaczéj, gdy co innego zapewniasz, z serca się cieszę. Lecz wezwawszy mię tutaj powiedziałeś że masz jakiś do mnie interes, bądź łaskaw powiedz.

—O tym interesie mówiemy ciągle, dotyczy on bowiem moich uczuć i związku z Hanną.

—Lecz przecie jeszcze nie termin, daleko do niego.

—Przebacz panie Skarbniku, ale będę mówił otwarcie: jak WMość względem mnie i ja mam nie jaką obawę co się tyczy Hanny; w jakichże zamiarach bywa w twym domu Starosta?

—Ma interesa, znasz jakie...

—Te interesa podług mnie, są tylko pokrywką prawdziwych jego intencji. Cały powiat jednomyślnie głosi, że się stara o rękę Hanny.

—Gdyby i tak było, czyż mogę przeszkadzać? człowiek do rzeczy, stateczny i majętny.

—Lecz słowo mi dane...

—Raz jeszcze przypominam że ono wiązać nie może, z resztą nie czas abyś się upominał o nie, za dziesięć miesięcy co innego, słuchać będę cierpliwie i porozumiawszy się z Hanną, dam stanowczą odpowiedź.

Ubieżliwe wymówki starca, jeszcze więcéj mię rozjątrzyły: prawie przekonany, byłem, a i dotąd mniemam żem się nie mylił, iż stopień, majątek i towarzyskie znaczenie Starosty, wpływały wiele na niego. Trudno się dziwić dobremu i przywiązanemu ojcu, milszym musiał być zięć jak pan Br*, niż ubogi i bez przyszłości, jakim ja byłem wówczas. Tém wspomnieniem zajęty wyrzekłem dość żywo:

—Przebacz panie Skarbniku, ale raz winniśmy rzecz całą zakończyć. Trudno dla mnie, w podobnéj w jakiéj obecnie jestem, niepewności zostawać, serce i gospodarstwo cierpią na niéj zarazem.

—Zgodziłeś się sam na termin.

—Prawda, lecz wtedy szałem uczuć zmuszony, działałem bez uwagi na następstwa. Teraz rzecz inna, błagam cię tedy, przedstaw Hannie moje żądanie, i niech jutro już stanowczo o mym losie wyrzeknie. Przekładam nawet odrzucenie nad bolesną zwłókę i niepewność jaka obecnie dokucza.

—Dziś sam jeszcze to słowo mieć możesz,— przerwał nagle surowy i chłodny głos obok mnie. Zadrżałem, bo z ust Hanny on wyszedł.

Zajęci rozmową, niezważaliśmy na jéj wejście do izby, od pary minut jednak nastąpiło ono, słyszała tedy wszystko co mówiliśmy.

A prawie pewny byłem jaki da wyrok, czytałem go w groźbie jéj czoła w ponurym błysku oka i w dumie całéj postawy; nakazującą ona była, surową, nie kochanki, nie czułéj i potulnéj niewiasty, lecz groźnéj Monarchini, możnowładnéj Pani.

—O tak!— doda,— gdy pan żądasz koniecznie, dany termin mogę skrócić, dziś jak rzekłam, ostateczną moją odpowiedź otrzymasz, i dam ją

chętnie, otóż ona: nie miéj żadnej nadziei, żoną Pańską ni teraz, ni za rok, ni nigdy nie będę.

—Zmiłuj się Hanno! co mówisz?—wykrzyknąłem przerażony do jéj nóg padając.

Odsunęła się obojętnie.—Pan mnie znasz dość długo, a więc powinieneś wiedzić że nigdy danego słowa nie łamię.

—Aleź Hanno!— wtrąci poczciwy Skarbnik— to się niegodzi! co masz przeciw chłopcu? bez racji odrzucasz.

Nieodpowiedziała mi na wyrzut, lecz upadła na krzesło blada, znękana, łzy potokiem z pięknych popłynęły oczu, i...

—Nie może być inaczéj— szepnęła.

—Hanno! czy możesz równie okrutnie postępować ze mną? ja teraz zacząłem utyskiwać! czémże mogłem cię obrazić? niemaszże w sercu litości, czy nie widzisz ile cię kocham! zapomniałażeś o słodkich obietnicach przeszłości, o tych lubych dniach któreśmy pospołem z sobą spędzili? nie umiesz że czytać w mojem oku, w méj duszy jak dawniéj? czy nie spostrzegasz ile cię

kocham! ach niechciej mojego cierpienia, mej śmierci!

—Dość, na Boga, dość natem!— przerwie mi powstając z krzesła,—jak rzekłam musi być; dla zobopolnego naszego szczęścia tak być powinno.

Roześmiałem się gorzko. Dla twego szczęścia być może, lecz nie dla mojego! raz jeszcze błagam cię Hanno! zlituj się, nieodpychaj, wierzaj mi zaś, ni gorętszéj miłości, ni żywiéj bijącego serca dla siebie, nienapotkasz nigdy! niepogardzaj uczuciami, co jak mnie raj, tak tobie szczęście całego życia mogę zapewnić!

Zdawało się że to przemówienie wpływ na dziewicę wywarło, wstrzymała się bowiem na chwilę niby w walce co ma uczynić, prędko jednak odzyskała dawną władzę woli i ducha— Wstań z kolan panie Albercie!— chłodno wyrzeknie. Niema i niepowinno być od dzisiaj żadnych z nami wspominków, ni nadziei. Jesteśmy całkowicie wolni oboje. Bądź szczęśliwy, i aby szczęśliwą być i ja starać się będę.

Ten upor w postanowieniu, pogarda prośb i

skarg, rozgniewa mię wreście. Wstanę z klęczek, żal mną miota, i...

—Ach! o własne szczęście nietroszcie się krewniaczko— szydersko wyrzeknę — zapewnić was mogę, że w krótce ono według waszych życzeń ustalonem zostanie; bo czy mniemacie że niepojmuję powodu waszego surowego ze mną postępku? czy sądzicie że wasze zamiary i chęci, tajemnicą dla mnie?

—Odgadniesz? — przerwie żywo, lecz nieco zmienionym głosem.

—Tak, i dokładnie!—odpowiadam— i gniewam się sam na siebie, że tego dawniej już rozum niewskazał. Biedny, sierota, opuszczony od świata, przygnieciony brzemieniem różnorodnych kłopotów, czyć jestem odpowiednym dla waszego szczęścia? czy się wam mogę podobać?

—Znacie mnie tedy jak widzę — przerwie znowu z gorzkim, lecz i zarazem boleśnym uśmiechem.

Niezwracam na to uwagi.— Znam, — mówię dalej— i pojmuję, bo gdy nie wiek, to długie cier-

pienie i doświadczenie dało; znać też muszę, bo prawda zbyt widomie staje przed okiem. Rozważ sama Hanno! czy jak inne niewiasty i ty nie lgniesz za mamoną blasku, czy innych i twoje serce, nie widzi miłości jeśli się ta nieobszyje jedwabiem, niepokryje złotym szychem? szalony, długo mniemałem że stanowicie od prawidła wyjątek, wierzyłem w was jak wierzę w przyszłość, w raj, niebo i Boga! piękną była złuda, boleśném jest też ocucenie! ale wracając do przedmiotu, zaręczam ci Hanno! niemiej obawy o przyszłość, wierz szczęściu jakiem je widzisz, czego pragniesz pozyskasz.

—Ja?..

—Tak, wszakże Starosta cię kocha, a on pan miljonowy! da ci wysokie znaczenie, magnackie dostatki, da wszystkie pieścidełka i roskosze jakich ambicja chciwie pożąda, za jakiemi goni myśl i oko, da wszystko czego ja niemogę dać; lecz też nie wstanie ofiarować ci tego, co ja przynoszę, a wiernéj i wiecznéj miłości!

—Lecz kto wam powiedział że Starosta o ma rękę się stara, lub gdy tak jest, że mu ją oddam?

—Wszyscy o tem mówią i wierzyć im muszę, bo czyż oczywistych dowodów niemam i z względów jakiemi mu dziś okazywali, i z waszego obejścia się ze mną?

—Gdybyście jednak mylili się?...

—Na co zda się udawanie? Hanno! czyż ci niewystarcza żeś mną wzgardziła, chcesz że jeszcze oszukiwać?

—Oszukiwać?— powtórzy z dumą obrażonych uczuć, zarumienią się dotąd blade policzki—oko iskrzy podwójnym blaskiem, żywa odpowiedź zdaje się gotową była, powściągnęła jednak, i rzeknie:

—Że mylicie się w waszych sądach, że bez przyczyny obrażacie panie Albercie, przekonam was zaraz, gdyż na pamięć mej matki! na me przywiązanie do Ojca, przysięgam ci! ni Starostę, nikogobądź nie kocham, ni kiedy bądź nazwę mężem, raczej śmierć!

—Ależ ty na prawdę szalona dziewczyna!— wyrzeknie strwożony objaśnieniem starzec,—

co znowu! co za głupstwo! przecież do klasztoru nie myślisz wstąpić.

—Czemuż nie, tam tylko moje szczęście, dobrze to widzę; — odpowie Hanna. Z oczu łzy znowu puszczą się strumieniem, i czy pragnąc je ukryć, czy aby przerwać nie miłą sobie rozmowę, opuści izbę.

9.

Jeszcze Wojewodzianka.— Robię szaleństwo, o którym nie myślałem nigdy.

Niepotrzebuję sądzę, skreślać wam myśli i marzeń, jakie mną miotały za powrotem do domu. W ciągu kilku godzin, wszystkie moje ułudne sny rozwiano, wszystkie nadzieje, zniszczone były! Oczy tedy napełniły się łzami, głuche westchnienia rozdzierały pierś; gdym spójrzał w przyszłość, same tylko smutne i bolesne nasuwała obrazy; gdym spójrzał w teraźniejszość, widziałem ją tyle ciernistą, pełną utrapień, że ni woli, ni chęci nie było do jéj zniesienia.

Rozliczne też, gorączkowém cierpieniem trapiony, układałem plany przyszłego życia. To chciałem, przedawszy wioski, osiąść gdzie daleko na Wołyniu, Litwie lub Ukrainie; to chciałem do klasztoru wstąpić, to wreście do wojska zaciągnąć się. Wkrótce jednak, jeden plan zająwszy wyobraźnią, wyłącznie począł zakrzątać.

W tym właśnie czasie wybuchła słynna Amerykańskich kolonji przeciw Anglji wojna. Najznakomitsza europejska młodzież brała w niéj udział. Wprawdzie doświadczenia wojskowego i potrzebnéj nauki braknęło, lecz niechwaląc się posiadałem odważne serce i silne ramie, te dwa przymioty wystarczały dla żołnierza; o honory bowiem wcale mi nieszło, chciałem tylko wydrzeć się z kraju tyle bolesnych nasuwającego wspominków, chciałem skończyć życie, w którém nie widziałem szczęścia ni jego nadziei.

Tym projektem zajęty, jechałem bez uwagi na to co się w okrąg mnie działo, gdy nagle wśród lasu woźnica konie zatrzymał.

—Czemuż to zrobiłeś?— obudzony z mych zadum zagadnę.

Woźnica i pachołek jednorazowo zwrócą się ku mnie, ich twarze blade, w oczach przestrach, pierwszy znamieniem krzyża świętego obiegłszy ramiona wyrzeknie:

—Wszelki duch Pana Boga chwali! a czy nie widzi Jegomość, co się dzieje przed nami?

—Nie widzę nic—mówię,— w oczach ci się ćmi pewno.

—Co znowu! mam dobre, widzę i aż nazbyt jaśnie, ot tam na skręcie drogi jak figura, czy Jegomość nie spostrzega? toż widmo stoi!

Spójrzę jak wskazywał, i rzeczywiście sam na chwilę zdziwiony, a nawet przestraszony byłem. Pod figurą wystawioną przed laty na pamiątkę szlachcica zabitego zdradziecko w tém miejscu, stała jakaś postać pół biało, pół czarno przybrana. Dla mroku nocy dobrze wprawdzie nie mogłem jéj widzieć, ależ wydawała się mi olbrzymiego wzrostu, górując nad otaczające ją krzaki leszczyny i głogu. Ubiór jéj był długi, fałdzisty, na głowie zaś wzruszona wiatrem powiewała czarna zasłona.

—Niech się Bóg zlituje nad nami!—wyrzekł drżącym głosem woźnica,— niezawodnie będzie to widmo lub strzyga, o których mówią ludzie, że straszą w tém miejscu: najlepiéj będzie zawrócić i ujechać jeżeli można.

Jakoż chciał już skręcić konie, aby uskutecznić co wyrzekł, gdym go zatrzymał. Mój przestrach już przeszedł: nie lękając się i nie wierząc w duchy, chciałem zbliska przyjrzeć się temu, którego miałem przed sobą.

Sam przecież powozić musiałem, bo przerażony furman nie miał dość sił do tego. Za parę chwil jednak wstrzymałem konie; nie obawa wprawdzie była powodem tego postępku, lecz zadziwienie.

Za zbliżeniem się bryczki, widmo opuściło figurę, i wystąpiło na drogę. Wtedy dopiéro ujrzałem, że nie strzyga żadna, lecz była to niewiasta na koniu, a ubrana jak opisałem.

Ujrzyć niewiastę samą, w nocy i konno w śród głuchego lasu, już byłoby przedmiotem dla mnie do podziwienia, cóż dopiéro, gdy przy mdłym blasku księżyca, poznałem Wojewodziankę.

Lekko wiodąc rumakiem za minutę zrównała się ze mną, przeląkłem się prawie spójrzawszy na nią, tak była blada, znużona, cierpiąca!..

—Dla Boga! *Comtesse!* co to znaczy? pani konno, i o téj porze?

Uśmiechnie się smutno.— Czekałam na pana.

—Na mnie? żartujesz chyba.

Westchnie, a smutne spójrzenie mi zwróci.— Wy mężczyzni tyle z natury egoiści, że w żadne poświęcenie się, ani ofiarę nie chcecie wierzyć, powtarzam jednak, czekałam na Pana.

—Lecz czemu? pojąć nie mogę...

Pytanie zarumieni ją i lekko wzruszy, jakby trudną była odpowiedź. Po chwili dopiero, głosem, którego smętny ton z lekkością wyrazów, w oczywistéj był sprzeczności, rzeknie:

—Czemu? pytasz się. Sama, aby prawdę wyrzec, nie wiem, zwykłe dziwactwo napadło. Mimo całéj władzy, jaką chcę mieć nad sobą, gorąca krew nazbyt nie raz uniesie, tak się i teraz stało. Wkrotce po odjeździe pańskim kazałam okulbaczyć konia i pojechałam.

—Bez masztalerza? w noc późną?!..

—Co chcesz? dziwaczką jestem! powinieneś drwić i śmiać się, ojciec będzie łajał, świat nie wiém co powié, ale niech mówi co mu się podoba, mało a raczéj nic niedbam o to. Chciałam pana dogonić, przeprosić go, nie zawodnie gniewasz się za niebaczne wyrazy jakie przy pożegnaniu wyrzekłam. Czuję mój błąd, zgrzeszyłam, niepowinnam była tak postępować, byłeś cierpiący, w rostrojeniu ducha, pocieszać należało ale nie trapić.

W jéj głosie tyle było smutku, tyle czułości, że odbicie znalazł w mém sercu. Podziękowałem ile zasługiwała na to, i dodam:

—Lecz ja mało z południa opuściłem Chełmicę, teraz zaś noc późna, gdzieś była do tego czasu?

Roześmieje się smętnie.— Gdzież miałem być? znam drogę do Łącka, czekałam na niéj, i przy figurze, którą ztąd spostrzegasz....

—Jak to? przez kilka, do dziesięciu wciąż godzin?

—Czekałabym do jutra i dłużéj, całe wieki!

—Lecz noc chłodna, deszcz padał....

—I co mi to znaczyło! Trochę wprawdzie dokuczyła ulewa, dreszcz jakby w febrze przejmuje, odzież zmokła do nitki, muszę szkaradnie wyglądać.

Teraz dopiero zwrócę uwagę na nieład ubioru, rzeczywiście miałem słuszność, zmoczony był całkowicie, a chłód nocny wstrząsał pięknem jej ciałem.

—Dla Boga, *Comtesse!*— rzeknę zatém— przebacz, lecz przyznam co rzekłaś sama, twój postępek przynajmniej nierozważnym nazwać można. Cóż cię obchodził mój gniew, aby dla niego narażać swe zdrowie, życie!...

—Ach nie mówmy o tém, co się stało nie może się odstać, dużo wad przycięża, lecz jedną kalać się nie chce, niezważaniem na prawa przyjaźni; nadto, nie tylko dla przeproszenia pana wyjechałam na przeciw niego, inna jeszcze okoliczność skłoniła.

—Jakaż ona? nie rozumiem...

—Jako przyjaciołka, chciałam być pierwszą w życzeniu ci szczęścia; niezawodnie bowiem nowina mojego ojca okazała się fałszywą, a przy-

najmniéj nie sposób, aby Skarbnikówna nie miała dla ciebie nudnego Starostę poświęcić, nieprawdaż? lekka chmurka w waszéj miłości całkowicie usuniętą została, jesteście znowu jak niegdyś kochający się, szczęśliwi!

I doda głosem, w którym pomimo chęci nadania mu płochéj wesołości, przebijał widocznie smutek, cierpienia, łzy:

—Kiedyż ślub? spodziewam się termin skrócony, będziemy się bawić! Szkoda, nie znam twojéj bogdanki, narzuciłabym się na druchnę, gdy zaś to być nie może, zapraszam się na wesele przynajmniéj. Nie odmówisz mi pan zaproszenia, skłonisz do niego twą przyszłą, zazdrośną być niepowinna, przysięgam, że będę dla niéj tyle szczérą przyjaciółką, ile jestem dla ciebie.

Mówiłaby dłużéj jeszcze, ale jéj wyrazy boleśnie dokuczają sercu, głuche westchnienie wydobywa się z piersi:— przebacz *Comtesse*— przerwę, ale się mylisz, do mego ślubu daleko, owszem, nie nastąpi nigdy!

—Co znowu! co mówisz?..

—Tak, czemuż ci taić? odrzucony, wzgardzony bez litości i nadziei zostałem.

—Lecz to być nie może niepodobieństwo!

—Stało się jednak jak rzekłem, ach czemuż Hanna niema twego serca, dobroci, wtedy byłbym szczęśliwy!

Przypominek niedawnéj bolesnéj sceny zachmurzy mi czoło, łzami oko zasunie. Widzi to, i pociesza:

—Nie trap się pan przecież, kaprys prędzéj lub później będzie miał koniec, nie sposób, aby Skarbnikówna, niewidziała i nieoceniła twojéj miłości. Nie znam jéj, ale sądzę jako niewiastę, gdyby inaczéj postąpiła, nie kobietą, ale byłaby głazem, istotą bez serca, bez uczuć!

—Odrzuciła mnie jednak i bez zostawienia najdrobniejszéj iskierki nadziei, znam ją, nie cofa słowa.

—Lecz czemuż ta jéj srogość, to lekceważenie twych uczuć?

—Czyż mogę wiedzieć? przyczyny dać nie raczyła.— Smutek mój wzrośnie, wyspowiadam rozpacz i plan jaki ułożyłem.

To moje wywnętrzenie, zapewne miło brzmi w uchu dziewczęcia, bo choć mi niesie pociechę, przecież jéj głos wcale różny od poprzedniego, czuć w nim źle tajoną radość i zadowolnienie wewnętrzne.

Kwadrans zaś blisko trwa ta rozmowa. Ochłodłem nieco w strapieniu i uważając dziwaczne nasze wzajemne położenie, wyrzeknę:

—Lecz ja zatrzymuję cię *Comtesse*, nie zwracając uwagi, że noc późna, że jesteś zapewno utrudzona i do domu, aby powrócić wielki czas.

—Ach tak,— odpowie ze zwykłą sobie wesołością— a powrócę w daleko lepszym humorze, niż przyjechałam, i poprawiając się doda:

—Mniemam bowiem żeś mi przebaczył nierozważne popołudniowe wyrazy.

—Czy możesz wątpić pani? nie wiem jaką obrazę potrafiłby twój szlachetny postępek zagładzić. Okazałaś mi tyle współczucia, dobroci, miłosierdzia, na jakieby nie zdobyła się zapewne żadna w świecie kobieta! dziękuję ci za nie szczerze.

I ująwszy podaną mi rękę, przycisnąłem do ust, lecz okrywając ją serdecznemi pocałunkami, przeląkłem się nie małc, ta bowiem ręka była zimną jak lód i drżała febrycznie, wyrzekłem tedy:

—Na Boga, *Comtesse!* wy cierpicie, wasze poświęcenie się dla mnie zaszkodziło zdrowiu.

—I co mi to znaczy!— żywo odpowié— choćby straty życia mam hojną nagrodę.— Doda jednak po chwilce:

—Masz przecie słuszność panie Albercie! chłod nocny i kąpiel wieczorna, wcale niepokrzepiły. Ledwo że się mogę utrzymać na siodle, a do domu daleko, półtory mili, i księżyc zaszedł, noc zaczyna być ciemną, boję się zbłądzić... i gorzéj, lękam się czy sił starczy do podróży.

—Gdybym mógł wam ofiarować kolaskę?...

—Przyjmę z największą chęcią, owszem jako dobrodziejstwo.— I gdy zsiada z konia, a ja chcę ustąpić z kolaski, zatrzyma na niéj wyrazami:

—Spodziewałam się panie Albercie, że mnie odprowadzicie do domu.

—Czy możesz mniemać, aby inaczéj było? *Comtesse!* nie jestże to dla mnie najświętszym obowiązkiem? dla tego właśnie chciałem dosiąść waszego konia.

—Może go dosiąść twój pachołek, czemuż sam się masz trudzić? kolaska dosyć obszérna. dla obojga wystarczy.

—Jednak, czy pozwolisz....

—Ach, czy pozwolę!— przenosi z uśmiechem—wiész co przez te słowa rozumiész, boisz się narazić na obmowę, baczność na towarzyskie względy wstrzymuje. Dziękuję ci za tę na mnie uwagę, lecz znasz mój charakter panie Albercie, podobna drobnostka jak opinja świata nic nie znaczy, pojedziemy razem...

—Przecież...— zacznę.

—Dajże raz pokój, i mnie zostaw odpowiedzialność za postępek, co on znaczy przy tém, który go koniecznym prawie uczynił, nie bałamuć tedy.

I oddawszy konia pachołkowi, sama usadowi się przy mnie, nakryje się mym płaszczem, i szczebiocze wesoło poufnie, jeżeli nie rozweseli,

to przynajmniéj umié smutek zmniejszyć. Przykra i długa droga, krótką i miłą wydaje się, staniemy wreszcie w Chełmnicy, chcę pożegnać, roześmieje się wesoło:

—Nie, nie, tak być nie może. Czy mniemasz, że zziębłego i o tak późnéj nocy bez przewodnika i ogrzania puszczę do domu? nie przebaczyłabym sobie nigdy podobnego występku, przyjąć musisz gościnę.

Nadaremnie się wymawiam, ani słucha: jak chcę tak być musi, znasz mnie i wiesz, że i ja mam także moją wolę— opierającego się bierze za rękę i do pałacu pociągnie.

Ale w pałacu jak w grobie cicho i pusto: służba się rozbiegła, gościnne pokoje zamknięte, próżno kołaczemy, na prawo i lewo, nikt się nie odzywa, Wojewodzianka śmieje się i mówi:

—Znam przyczynę tego opuszczenia: dziś właśnie ślub ulubionego kredensarza mojego ojca, niezawodnie cały dwór w karczmie! daremnie zatém szukamy gościnności w téj stronie! jedna tylko jakotako zaludniona, a ta w któréj zamieszkuję. Moja służba pilniejszą niż Wojewody,

umiém trzymać na wodzy, niezawodnie oczekuje ciepły ogień kominka i lekka wieczerza, chodźmy!...

—Jakto do swych komnat? *Comtesse!*

—Zdaje mi się słyszałeś, że tam zapraszam. Pokażę ci je, nigdyś tam nie był, a nie tylko ty, lecz żaden mężczyzna, wyjąwszy ojca i służby. Sama je urządziłam i umeblowałam, przekonasz się o mym guście i pochwalisz lub zganisz, jak zechcesz.

—Zaprosiny są wprawdzie zaszczytne dla mnie, jednak chciéj zważać *Comtesse....*

—Ach! domyślam się— przerwie z wesołą niecierpliwością— człowiek oględny, rozsądny, znowu na sąd świata uważasz; lecz żyjąc ze mną chciejże o nim zapomnieć. Wiész ile mi jest obojętném wszystko co on mówi i na co krzyczy. Zresztą czy chcesz lub nie, pójść musisz, jesteś mym jeńcem na poł godziny. Zgodziłeś się na to, stosować się do méj woli winieneś.

I śmiejąc się i żartując, znowu schwyci za rękę, a wiedzie do swych pokoi; prawdę zaś powiedziała, jéj służba daleko pilniejszą niżli Wo-

jewody, chociaż noc późna, wszystka oczekuje w przedpokoju nieśpiąc.

—A teraz proszę do mego *Sanctuarium*— rzeknie wesoło Wojewodzianka, drzwi głównej izby otwierając,— ani mniemałam, żeby ten dziewiczy przybytek otworzył kiedy swoje podwoje, dla którego innego mężczyzny a nie małżonka; lecz co czynić? z wolą przeznaczenia zgodzić się trzeba, dobrze mówią francuzi: *homme propose, Dieu dispose.*

W salonie rzeczywiście na marmurowym kominku trzaskał bujny ogień, jakkolwiek przecież znużony i zziębły, niezwróciłem na niego uwagi, co innego zajęło.

Po raz piérwszy na życiu znalazłem się w gabinecie niewiasty, a jeszcze tyle pięknéj i modnéj jaką była Wojewodzianka. Nigdy też nie widziałem tyle okazałości, przepychu i dobrego gustu. Cała izba wydała mi się jakiémś czarodziejskim ustroniem, jakiémś powtórzeniem cudownych Alladyna pałaców, lub Armiely bogactw. Każdy przedmiot zwracał i oko zajmował, każdy był piękny i niezwyczajny; gdzieś spójrzał wszę-

dzie cóś zachwycało lub olśniło; gdyby kazano, nie wiedziałbym sam co wprzódy podziwiać, uwielbiać.

To moje zajęcie uważała zapewne Wojewodzianka, bo rzeknie:

—Nieprawdaż? panie Albercie! że tutaj niecałkowicie jest brzydko! że mój gust jeśli nie szczególny to przynajmniéj nie jest poślednim?

Musiałem przyznać, że jest zbyt skromną pod tym względem, dalsze pochwały przerwie słowami:

—Szczérze się cieszę że potrafiłam ci chwilowe uprzyjemnić więzienie: rozgość się tedy, czém chata bogata tém rada, jak mówi przysłowie, lecz przebacz, że się na chwilę oddalę, trzeba zmienić odzież, w tej nie sposób, abym bez ubliżenia sobie honory domu czyniła.

Wyszła bocznemi drzwiami; ja tym czasem przeglądać umeblowanie komnaty zacząłem. Każdy przedmiot zajmował, począwszy od atłasowego niebieskiego obicia, do najdrobniejszéj bagateli gotowalni, tych bagatel zaś ileż było! a jak wytworne! po kilku minutach jednak cała

moja uwaga na jeden przedmiot mimowolnie prawie się zwróciła.

Był to duży olejny obraz, dobrego włoskiego pędzla. Scena wyrażona na nim była szczególną; przedstawiała część Chełmickiego ogrodu z jeziorem i widokiem na przyległe kępy, na jeziorze płynęła łódka, goniąc za trupem młodéj wiejskiéj dziewczyny, którą fale po wzburzonéj powierzchni mętnych wód miotały; lecz gdy osoby znajdujące się na łodzi, zdawały się być żywo zajętemi topiącą się! gdy na ich twarzach artysta wybornie oddał uczucia przestrachu i żalu, jakiemi niezawodnie wstrząśnione były, z téj łodzi wyciągając ręce ku trupowi z łzami w pięknych oczach i rozpuszczonemi włosami, rzuciła się w jezioro inne jakieś dziéwczę lat najwięcéj dwónastu.

Tém zaś dziéwczęciem, nie mogłem się mylić, była Wojewodzianka. Rysy dorosłéj dziewicy, zachowały jeszcze piérwotne dziecięcia, włos był téj saméj barwy, kibić równie toczna, piękność niezwykła.

Lecz coby znaczył przedmiot obrazu, nie mo-

głem pojąć na żaden sposób, zrozumiałem jednakże, iż on jakieś niezwykłe poświęcenie się dobréj dziewczyny przedstawiał. Poglądając zaś na malowidło, mimowolnie nasunęły się pamięci dzisiejsze nocne zdarzenie. Rzeczywiście, czyżby z niego malarz nie mógł wysnować więcéj jeszcze zachwycającego obrazu? Tą myślą zajęty, zacząłem ściśléj rozważać wszystkie szczególne tego dnia wypadki: w jakiejże dziwnéj sprzeczności była w nich prawda od pozoru! Istota którą kochałem, dla któréj jakże chętnie oddałbym me życie, gardziła mną, odpychała; gdy druga przyjmowała pod swoją opiekę, okazywała się serdeczną przyjaciółką, aniołem dobroci i pociechy.

A przecież ta istota, w oczach świata i dotąd moich, uchodziła za płochą kokietkę, bez serca i zastanowienia, gdy piérwsza posiadała ustaloną opinję dobroci, łagodności, rozumu.

Nie mylił że się świat? ja sam czyż nie byłem w błędzie? należałoż szukać sercu tam, gdzie go kładła opinja, a nie gdzie było istotnie? Powinienemże zważać na sądy świata, i co one

znaczą? razem z Wojewodzianką czyż nie należało niemi gardzić, mieć za nic, a za tę fałszywą monetę, którą głupiec starannie ukrywa w kalecie, lecz znawca z uśmiechem wzgardy odrzuca?

—Temi zajęty byłem myślami, gdy weszła Wojewodzianka. W kilku minutach przebrała się całkowicie, a w powabny choć prosty negliż. Jakże jéj w nim było pięknie! po raz piérwszy dopiéro niby gruba zasłona spadła z mych oczu, bo po raz pierwszy jéj wdzięki w całym blasku widziałem, a raczéj oceniałem. Hanna nie była piękniejszą, owszem wyznać musiałem, ustępywała jéj w lekkości i zręczności kibici, w układzie, w wabności lic, w ogniu spójrzenia.

Biada zaś miłości, gdy kochanek ośmieli się porównywać swą bogdankę z inną jaką niewiastą! cóż dopiéro, gdy téj niewieście przyzna piérwszeństwo.

—Zajmuję cię panie Albercie ten obraz— widząc że nim jestem zajęty, rzeknie wchodząca—jest to jedna scena z mego dzieciństwa, jedno a piérwsze szaleństwo jakie popełniłem.

—To jednak szaleństwo, niewątpliwie mówi na waszą korzyść *Comtesse*, ile spostrzegam z treści— odrzeknę.

—Co chcesz? *les extremités se touchent*, i gdy rozważamy błędy i cnoty nasze, doprawdy często piérwszym wypadałoby oddać piérwszeństwo; ileż bowiem razy, cnota jest tylko wypadkiem egoizmu, przypadku lub rachuby? gdy błąd poczciwą chęcią serca, skręconą trafem, lub charakterem naszym. Nie chwaląc się, ja żywym téj prawdy obrazem. Wiesz co świat o mnie mówi, jaki wyrok daje, a przecież czy nie jestem lepszą od opinji jaką posiadam? czy nawet moje błędy nie mówią za mną? jestem naprzykład szczérą, ukrywać ni mych namiętności, ni wrażeń, ani sądu o ludziach nie umiem, i dla tego nazywają ostrą, impertynentką, ambitną, przedrwiwam z moich admiratorów i wielbicieli; odrzucam partje najświetniejsze z pozoru, i nazywają mię płochą, wietrzną, niezastanowiwszy się, że mam słuszność za sobą, że w wzgardzonym odkryłam jaką wadę charakteru, jaką krzyczącą, a niedojrzaną od innych śmieszność, bo

zakrytą płaszczem bogactwa lub znaczenia, albo wreszcie, że widzę podłe samolubstwo, chytrość, złość lub tym podobne brudne występki.

—Jak to? w żadnym z licznych twoirh wielbicieli *Comtesse*, nie znalazłaś jeszcze prawdziwie godnego człowieka?

—Prawie z przekonaniem duszy odpowiedzieć ci mogę że nie. Tylu starało się o moją rękę, a w każdym był jakiś niedostatek, jakaś ukryta wada lub szpetność charakteru: ten czyhał na mój majątek, inny chciał mojém uzacnić nic nieznaćzące swoje nazwisko, ten mnie uważał za jeden z szczebli mogących mu posłużyć do wdrapania się na drabinę honorów i znaczenia, ów widział we mnie ciało, nieznając ni nieceniąc duszy i serca; który zaś nie widział ni mojego posagu, ni nazwiska i kochał dla mnie saméj, niezawodnie żył ograniczony duchem, tyle słaby charakterem, że wstyd mi było za niego, że za wszystkie skarby świata, i więcéj, za wszystkie skarby miłości nie chciałabym mu oddać ręki: jego moralna ułomność biłaby policzki méj dumie, jego nicość urągałaby mojéj ambicji.

—Zbytnie wymagającą jesteś Komtesso.

—Ach mylisz się w tym panie Albercie!— żywo odpowié!— owszem kto wié czy mniéj od któréj bądź innéj niewiasty nie żądam. Co mi naprzykład majątek? drobnostka na którą nie zwracam uwagi; nie dla tego, że mam własną fortunę, lecz że przekonaną jestem, iż czy bogata czy uboga, mogłabym żyć szczęśliwie bez zazdroszczenia istotom błyszczącym złotem i miljonami. Bogactwo ludzi rzecz względna, nie zależy na możności rozrucania pieniędzy, lecz na ich wystarczającém użyciu! jak teraz bogata marnotrawię, tak uboga umiałabym oszczędzać i pracować. Nie wymagam znaczenia, bo co ono dla mnie? znam dobrze tajniki intryg, aby nie cenić według prawdziwéj ich wartości, potęgi władzy, świetnych godności i tytułów; czémże one często, gdy nie podłą budową kału i hańby obitéj bisiorem, obmalowanéj złotem, dla omamienia oczu głupiego gminu! Nie chcę od mego przyszłego męża, wyłącznéj piérwszéj lub namiętnéj miłości, bo wiém że żądałabym niepodobieństwa, mary, i wreście niedorzeczności; nie

pragnę jenjuszu, bo dobrze znam, że to rzadki dar nieba, który ledwo raz przez mnogie lata świat widzi.

—Czegoż jednak pożądasz?

—Błahéj rzeczy.... miłości prostéj, skromnéj, poczciwéj, nieprzywiązującéj się do żadnych mamideł i względów światowych, serca któreby mogło ocenić moje, człowieka, któryby siłą ducha i woli, potrafił górować nade mną, musiał być mi panem bez okazania swéj władzy, protektorem, bez obrażenia własnéj miłości. Pragnę człowieka wreście, któregobym nie tylko kochać, lecz i szacować mogła.

—I takiego nie znalazłaś jeszcze?

Zwiesi głowę na pierś, i smutna rzeknie:

—Mimo pozornych darów fortuny, uważam ściga nieszczęście! zaród jego w saméj sobie noszę. Bystrość pojęcia, jest właśnie skopułem dla mnie roskoszy i nadziei. Umiejąc poznawać ludzi, umiém niemi i gardzić, jednak nie mogę rzec tego, aby mój ideał był niepodobny! w ciągu dwudziestu lat życia, za któremi mówiła chęć i myśl, w których wyobraźnia widziała te

istoty jakiemi oddawna marzy... niedawno nawet poznałam jednego z tych wybrańców mojego serca, lecz.... powiedziałam ci panie Albercie, do mego życia przywiązany jakiś fatalizm: kogo nienawidzę ten się garnie do mnie, kogobym ukochała, komubym była wierną małżonką, sługą, niewolnicą, ten nie widzi mojéj miłości, gardzi nią, lub za inną, a często niegodną siebie ugania......

Wypowie ostatnie wyrazy z nieukrytym smutkiem, głuche westchnienie wstrząsa łabędzią piersią, owszem piękne oko zabłyśnie drobną perełką łzy jasnéj.

Otrze przecież ją zaraz, roześmieje się i rzeknie wesoło i płocho:

—Ależ szaloną jestem gadając podobne rzeczy, jak Bóg chce tak jest, i gdy nie może być inaczéj, zgodzić się z przeznaczeniem potrzeba; ciężką wprawdzie ta potulność, rani serce, boli, dokucza,... jednak gdy niema zarady, cierpieć i milczeć trzeba. Nadto, wpadłszy w sentymentalność zapominając, że jesteś zziębnięty, a może i zgłodzony.— Zadzwoniła w srébrny dzwonek,

zabiegła jedna z służących, której kazała przynieść wieczerzę.

Za nim przecie posili ciało, chciej zaspokoić ciekawość, *Comtesse*; — przemówię — i objaśnij przedmiot obrazu.

—Z największą chęcią, z góry jednak zapowiadam, że twoja nadzieja zawiedzioną zostanie; więcej przywiązanie matki i pochlebstwo dworzan niż prawdziwa moja zasługa, stworzyły ten obraz; oto jak było: miałam w mojém dzieciństwie przyjaciółkę, mleczną siostrę, córkę wiejskiéj gosposi. Wtedy już nie umiałam czuć, nienawidzieć i kochać w połowie; kochałam ją też z całego serca, gdy oto pewnego razu, gdyśmy płynęły na spacer na jedną z wysep jeziora, nie wiém dotąd jakim trafem, dziewczę wypadło z łódki. Wiész jak jezioro głębokie, niebezpieczeństwo też biedaczki było wielkie, w mgnieniu oka pogrążyła się w bezdeni. Na parę chwil straciliśmy jéj ślad. Wyobraź sobie mój smutek, doszedł on najwyższego szczebla, gdy dziewczę wypłynęło wreście na powierzchnią wody, a któryś z ludzi znajdujących się na łodzi wykrzy-

knął, że już umarła, bez namysłu rzuciłam się wtedy w jezioro, aby podzielić los biednéj przyjaciółki; nieprawdaż, że to było szaleństwo, więcéj warte rózgi niżeli pochwał i uwiecznienia malowidłem?

Inaczéj przecież mniemałem. W postępku dziewicy miałem jeszcze jeden więcéj dowód, ile jéj serce szlachetném i skorém do poświęceń było. Podano tymczasem wieczerzę zawezwała do niéj, mówiąc:

—Niespodziewałem się podobnego u siebie gościa, dla tego posiłek zbyt skromnym znajdziesz; na szczęście wczoraj właśnie przysłano mi z Warszawy kilka butelek szampańskiego wina, rarytas to u nas, ledwie że przy królewskim stole znajomy; nasi Sarmaccy panowie, nie lubią tego rodzaju napoju, zbyt on im słodkim i niewinnym zdaje się; jenerał Komarzewski, który na próbę wypił parę tuzinów butelek, dał zdanie że podobne wino ogrzewa żołądek, nie zagrzewając głowy. Sprobujmy czy prawda?

Przyniesiono butelkę. Wino, chociaż lekkie, było smaczne, i mimo zdania Konarzewskiego nie

tylko żołądek lecz i głowę zagrzewało, dodało jednak wesołości, wybiło z głowy nie dawny frasunek, odrzucenie Hanny i wszystkie pełne rozpaczy projekta, które w mej podróży, jak to wspomniałem, tworzyłem.

Więcej przecież niż wino przyłożyło się do rozweselenia i dobrego humorze Wojewodzianka, jéj płocha wesołość, jéj pozornie niedbała i bez celu zalotność; kamieniem trzeba było być, aby im nie uledz, uległem też całkowicie, głowa moja była w wzburzeniu, myśli w nieładzie. Dokonała obłąkania, piękność i miłość Syreny, tę miłość bowiem, wyznała mi bez ogródki, bez zająknienia, płocha i namiętna jaką była z natury.

10.

Oświadczenie i targ z Wojewodą.

Nazajutrz koło południa, gdym się obudził w officynie, w pokojach przeznaczonych dla gości, myśli moje były w rozstrojeniu, głowa w gorączce. Rozważając co zaszło, prawie nie wiedziałem co począć, a tém mniéj czy się radować lub smucić. Pochlebiała miłość jaką mi ofiarowano, lecz też gniewała i straszyła zarazem, straszyła swą namiętnością, gniewała, żem jéj uległ, żem dla niéj mógł tyle łatwo zapomnieć o innéj świętszéj, chociaż nieszczęśliwéj dla mnie.

Nie długo przecież mogłem się zajmować temi myślami, bo widząc żem się obudził, hajduk służbowy do Wojewodzianki zaprosił.

Czekała z śniadaniem, a była piękną i kochającą jak wczoraj, ujrzawszy wchodzącego ujmie za rękę, swoim drogim Albertem nazwie i za nim mogłem zatrzymać, na ustach pocałunek złoży.

Pocałunek pięknéj i kochającéj niewiasty gniewać, a tém mniéj nie może obrażać; lecz go dała przy świadkach, przy służbie, tym postępkiem zdziwiony, lękam się tedy o dobrą sławę nierozważnej, boję się plotki, obmowy, rzeknę zatém po francuzku:

—Ależ moja Juljo! zastanów się co czynisz....

Roześmieje się płocha— ach, otoż i kazanie!... lecz mój drogi i cóż ja tak zdrożnego popełniłam, że łajesz?

—Ludzie na nas poglądają i Bóg wie co wnioskować mogą.

—Czyż mogą co więcéj wnioskować nad to co zaszło?— odpowie zwracając mi domyślne, pełne miłości spójrzenie— zresztą cóż mię ich

sąd obchodzi? alboż cię nie kocham i jak to wczoraj przysiągłeś, nie jestem wzajemnie kochaną?

—Prawda moja Juljo! lecz wzgląd na przystojność.

—Ściągnie gęste i lśniste brwi, a uśmiechnie się czule, ładnie.— Zawsześ ten sam Albercie! nigdyż mi nie będzie wolno objawić swych uczuć, pójść za popędem serca? wiecznież mam ukrywać moją miłość dla ciebie? zastanów się przecież.... ta miłość nie jest ani może być dla mnie hańbą, owszem jest obowiązkiem; czyż bowiem przed Bogiem i sumieniem już małżonkami nie jesteśmy?

—Tak, lecz przed ludźmi jeszcze nie....

—Ach, o tych ludziach nigdy zapomnieć nie możesz... są oni wyrocznią dla ciebie... jednak i tych możem zaspokoić, rzucić im żer, którego potrzebują, ceremonje ołtarza, błogosławieństwo księdza....

—Zapominasz kochano Juljo, że nasz związek nie od ciebie tylko zależy.

Oczywiście niepojmie znaczenia odpowiedzi, bo zadrży cała, zblednie, oko zaiskrzy.— Dla Bo-

ga, Albercie! wykrzyknie— co rozumiész przez twoje słowa? miałżebyś żałować twego postępku, twoich wczorajszych obietnic i przysiąg?... ach ja nieszczęśliwa!...

Upadnie na krzesełko, łzy strumieniem z oczu popłyną, dziwi i straszy równa namiętność... uspokajam:— moja Juljo!... czémże mogłem cię obrazić? niepojęłaś mnie, moje serce wiecznie do ciebie należy, słusznie rzekłaś, twym mężem jestem już przed Bogiem, lecz słuszną mam obawę, czy nim mogę być przed ludźmi? czy twój ojciec na nasz związek zezwoli?

W jednéj chwili oschną łzy w oku dziewczęcia, a radość i uśmiech zajaśnią na twarzy, ściska moją rękę i mówi:

—Ach przebacz drogi! szaloną byłam, śmiałam posądzić cię o złość, o hańbę zmiany i nadużycia mojéj miłości. Twoja poprzednia odpowiedź wydała się mi urągowiskiem uczucia, była mu policzkiem, obrazą niedowypowiedzenia! serce też ledwo nie pękło, wszystka krew w żyłach się kurzyła; lecz przebacz drogi, tego już więcéj nie będzie, za hańbę mia-

łabym sobie niewierzyć twym słowom, wątpić w prawość przysięgi. Mylisz się jednak w mniemaniu o mym ojcu, dziś jeszcze na nasz ślub zezwoli.

—Pozwól wątpić, poznałem jego charakter, popularność u niego w wyrazach nie w rzeczy, pięknie prawiąc o równości szlacheckiej, w duszy arystokratą, magnatem, i czynem odpowiednego sobie majątkiem i znaczeniem zięcia pożąda.

—To prawda, oceniłeś wybornie jego charakter: Wojewoda, jak któryś z Niemieckich książąt, nie widzi ludzi, aż dopiero gdy ci lśnią szychem blasku, gdy mogą puszyć tytułem krwawą pracą przodków zyskanym, a który ślepe przeznaczenie rzuciło mu jako zbyt pobłażająca matka cacko rozpieszczonemu dziecięciu. Nie obawiaj się jednak, mam ja sposób na niego, bo gdy chcę czego... chcę silnie... przekonasz się sam za godzinę... a teraz śniadanie czeka... spodziewam się przyjmiesz go, a mnie pozwolisz być gospodynią.

I śmieje się płocho, wesoło, i oblewa żarem

miłosnych wabiących spójrzeń, że opierać się byłoby trudno choćbym i chciał się opierać.

—A teraz do interessu— wyrzeknie gdy śniadanie spożytém było— zacznijmy walkę silną i stanowczą z panem mym ojcem, przygotujmy się do dąsów i gniewu.

—Chcesz tedy abym się oświadczył?

—Chcesz tedy aby cię stanowczo i z pogardą odrzucił? Nie, kochany Albercie, ja będę swatem od ciebie— przenóci śmiejąc się.

—Ty?... lecz to będzie przeciw zwykłym prawidłom etykiety.

—Alboż na te prawidła uważamy lub uważaliśmy— odpowie z figlarno-czułą miną— jednak, gdy chcesz, możesz pójść, zawsze mnie przecież zostaw główną walkę. O, wiem dobrze, jak wybić z głowy kochanemu ojcu jego pańskie fumy, wiém czém mogę złamać jego magnackie uprzedzenia, nieobędzie się może bez ofiar, lecz co czynić, aby cóś mieć, trzeba też i cóś ważyć, pójdźmy.

Weźmie za rękę, i poprowadzi do mieszkania Wojewody, nie zwykłą drogą przez sień, lecz

przez pałacowe pokoje. W komnacie przecież poprzedzającej gabinet magnata, zatrzyma się na chwilę jakby nową jaką uderzona myslą i szepnie mi w ucho:

—Rozważywszy dobrze interess, sądzę kochany Albercie żeś mnie powinien wyłącznie walkę zostawić, będę bowiem musiała używać środków, które chociaż koniecznie, zawsze dość przykre dla Wojewody będą; wprawdzie strawne jego serce, nie każda bagatela obchodzi, zawsze jednak nie jest jeszcze tyle dyplomatą jak książe wielki Podskarbi, aby bez rumieńca wstydu, przyjmował policzki zadawane swéj dumie lub miłości własnéj. Zostań się więc tutaj, dopiéro do czasu aż przyjdę, lub gdy cię to bawić będzie, słuchaj mojéj utarczki.

Odeszła, ja zostałem ciekawy. Wkrótce rozpoczęła się walka.

—Z dobrą nowiną przychodzę— wyrzekła Julja— uczynię zadość twéj woli ojcze, wkrótce zięcia mieć będziesz.

—Kilka już razy dawałaś mi tę obietnicę— odpowiedział magnat— a zawsze okazała się płonną.

—Teraz co innego będzie: za sześć tygodni najdalej pobłogosławisz; owszem dla tego tylko równie długi daję termin, że chciałabym przyśpieszyć wyprawę, i urządzić się stosownie w Warszawie.

—W Warszawie tedy chcesz mieszkać?

—Tak, spodziewam się, że mój przyszły mąż zezwoli na to, zresztą jesień się zaczyna i nudy na wsi, cóż mam innego zrobić?

—Lecz któż jest ten szczęśliwy, którego ty mężem i panem, ja zaś mym kochanym zięciem mam nazwać?— pytał śmiejąc się magnat.— Czy mam honor znać go?

—Jakże znowu ojcze? znasz i dobrze, lecz zgadnij.

—Wojewoda Kujawski?

Roześmieje się szydersko!— dobrego dajesz mi męża: naprzód ryżowaty, potem jąka się wreszcie, a co najgorsza, nudzi!

—Wybryduą jesteś, zawsze to powtarzam kochanko.

—Daję dowód że nie, gdy chcę pójść zamąż, lecz zgadujże ojcze.

—Nie trafię nigdy lub nieprędko, zwłaszcza gdy pogardziłaś Starostą.

—Ach, ten Starosta ciągle ci na myśli... pojąć tego szczególnego przywiązania nie mogę! czémże je zyskał?

—Człowiek majętny, dobry gospodarz, pięknéj familji i nie bez przyszłości. Nadto....

—Ach to nadto niezawodnie nad innémi zaletami trzyma piérwszeństwo!

Wojewoda rozśmiał się.— Gdy mam ci prawdę wyznać, tak jest. Moje interessa nie w osobliwym stanie! nie wiém zkąd, lecz choć oszczędnie żyję, zrobiło się długów, bezustannie kredytory dręczą; prócz tego, do Warszawy na zimę należy pojechać, a nie znam stosownéj gotówki, obiecał pożyczyć pięćdziesiąt tysięcy!

—Istotnie, ważna zaleta! i bardzo dogodnym zięć kredytor! Lecz jakkolwiek kocham cię ojcze! dla pięćdziesiąt tysięcy Starosty, całéj mojéj przyszłości nie chcę poświęcić.

—Niepoświęciłabyś sądzę jednego dnia nawet, lecz co o tem gadać..., objaśnij proszę, kogoż to chcesz wprowadzić do naszéj familji?

—Znanego ci dobrze człowieka, syna twojego dawnego przyjaciela pana Alberta.

—Alberta Ł*!?— wykrzyknął magnat— żartujesz chyba dziewczyno!

—Bynajmniej, i przekonasz się za chwilę, bo gdy zezwolisz na nasz ślub, przyjedzie z podziękowaniem.

—Lecz ja tego zezwolenia nigdy nie dam! coby rzekł świat, aby jakiś tam Ł*, jakiś szlachetka z końca świata hołysz obciążony długami, bez znaczenia i przyszłości, łączył się z moją krwią, nazywał się mym zięciem?! zmysły chyba straciłaś dziewczyno!

—Tak jednak będzie jak chcę,— zimno odpowie córka.

Magnat się wyraźnie zaperzył.— Inaczéj mościa panno będzie i być musi koniecznie! zapominasz, że jesteś mą córką, i że jako córka winnaś ojcu uszanowanie i posłuszeństwo. Dotąd wprawdzie psułem cię pobłażaniem, pozwalałem puszczać cugle kaprysom i urojeniom, zamykałem oczy na usterki i głupstwa, lecz na Boga w niebiosach! na mój herb i poczciwość! ostat-

niego szaleństwa nie dam popełnić, stanowczo ci to powiadam! raczéj użyję z całą srogością méj rodzicielskiéj władzy, zamknę w klasztorze!?

—Jestem pełnoletnią— chłodno przerwie dziewczę.

—Pełnoletność nie usuwa méj władzy, przekonam cię o tém!..

—Nie o usunięciu też twojéj władzy ojcze chcę mówić, lecz o czém innéem, znam testament nieboszczki matki; jako pełnoletnia, mogę się upomnieć o przynależący mi majątek....

—Chciałabyś tedy processować się z ojcem?

—I więcéj jeszcze potrafiłabym zrobić... zażądałabym rachunku z opieki, połowa dochodów wszakże, do mnie należy, niewidziałam jéj dotąd prócz nic nieznaczących kwotek. Przez szesnaście lat twego zarządu majątkiem ojcze, duża summa urość musiała. Rachując tylko sto tysięcy rocznie, będzie blizko dwa miljony. Sądzę, że cały twój majątek nie wynosi tyle...

—Chcesz mię tedy z niego odzierać, niszczyć, rujnować?!..

—Pragnę tylko tego, do czego święte mam prawo, i znasz mnie panie Wojewodo! umiem dotrzymywać słowa: gotowam dziś jeszcze stosowne kroki uczynić.

—Lecz to będzie skandal, niszczący do reszty mój majątek i kredyt, znaczenie moje własne i dzieci.

—Niech będzie co chce i co chce niszczy, mało dbam o to. Grozisz mi ojcze, nawzajem tedy chciałam okazać, że nie jestem tyle bezsilną, jak mniemasz.

—Zastanów się przecież jakie szaleństwo pragniesz popełnić, Albert Ł* niéma ni majątku, ni znaczenia, ni świetnego nazwiska. Za kochanka weź, nic nie będę miał przeciw temu, lecz nie za męża! psujesz sobie sama los, zabijasz przyszłość!

—Albert jednak będzie mym mężem; dziś, za pół godziny, jako przyszłego zięcia przyjmiesz go panie Wojewodo, lub za godzinę.... stosowną skargę do grodu zanoszę.

—Zmiłuj się! wstydź się, rozważ.

—Rozważyłam dobrze i nie cofnę się wcale. Nadto ojcze, stosowne uwiadomienia roześlesz familji i pojedziesz ze mną, a raczéj z nami do Warszawy, aby urządzić mieszkanie.

—Lecz ja nie mam ni grosza, powiedziałem ci już to.

—Pieniądze się znajdą, pozwolę zaciągnąć u Tepera lub innego bankiera na mój majątek pożyczkę. Sądzę dwa kroć wystarczy.

—Będzie aż nazbyt, zwłaszcza gdy mam nadzieję, że Stakelberg dotrzyma słowa, i wyrobi gratyfikację; Król też nowe Starostwo obiecał.

—Pożyczka przecież panie Wojewodo, nie przejdzie w twe ręce, potrzebną mi jest na wyprawę i urządzenie domu, pięćdziesięcioma tysiącami tylko dowoli rozrządzać możesz, wszakże więcéj nie ofiarował Starosta.

—Sto tysięcy koniecznie mi potrzeba.

—Nie dam ni grosza nadto co obiecałam. Prócz tego przyrzekam, że jeżeli Albert zezwoli, pokwituję z rachunków opieki. Panie Wojewodo, bądź łaskaw, zdecyduj się w téj chwili.

Magnat milczał minutę, niezawodnie rozważał, co ma uczynić, za nim jednak stanowcze dał słowo, zagadnął:

—I rzeczywiście kochasz go Juljo?

—Inaczéj niechciałabym za męża.

—*Tout de bon!*

—Ma się rozumieć.

—Lecz *per tous les Saints du paradis!* czémże potrafił zyskać twą miłość? ni nadskakujący, ni światowy jak inni, owszem *quoique l'education assez soignée*, dziwak! człowiek zimny! i *un campagnard*, *un* gospodarz, do znudzenia!

—Polubiłam dla tego.

—Ty!? oszczędnickiego, skąpca, mruka! niepoznaję cię dziewczyno....

—Trudno abyś znał ojcze, lecz co mamy o tém mówić.... zezwalasz je czy nie?

—Postąp przynajmniéj od cztérech tysięcy dukatów.... przegrałem dwa w karty do Ponińskiego, dwa więc mi tylko zostaje.

—Aby skończyć rzecz całą dam dziesięć tysięcy talarów więcéj ni grosza. Masz tedy panie Wojewodo wóz i przewóz: process lub zię-

cia! lecz na mój honor, w tej chwili zdecydować się musisz.

—Ale czy przyrzekasz za Alberta, że skwituje z opieki.

—Będę prosić o to.

—Ha prosić! rzecz wątpliwa... lecz moje dziewczę, dobry projekt przychodzi do głowy: możesz sama jako pełnoletnia rzecz całkowicie załatwić, właśnie rejent jest w domu, daj mi kwit, a ja udzielam zezwolenie na marjaż.

—Ten kwit dam, kiedy i w jakich formach zechcesz— przerwie niecierpliwie córka— masz na moje słowo panie Wojewodo, lecz proszę nie zwlekaj.

—Gorączka jesteś.... lecz co robić?... dałaś słowo i ja mojego nie cofam. Przywołajcie twojego adonisa, i niech wszystko się skończy, pobłogosławię, ucałuję, krzyżem świętym opatrzę, wszystko uczynię co zechcesz.

Uradowane dziewczę posunęło się ku drzwiom, aby mnie przywołać, zatrzymano ją przecież.

—*A propos*, jeszcze rzecz jedna: kiedyż mam wejść w układy z Teszerem?

—Choćby dzisiaj, owszem gdy dzisiaj tém lepiéj.

—Dajesz tedy pełnomocnictwo?

—Choćby dziesięć, chętnie.

—I zezwolisz na procent jaki dać wypadnie?

—Aby tylko nie był lichwiarski.

—Spuść się w tém na mnie, wszak wiész, że na interessach znam się, a ojciec córki nie zechce ukrzywdzić.

Mruknęło cóś dziéwczę, protestując zapewne przeciw oświadczeniu, a wybiegło do mnie.

Co się mnie tyczy, zdziwiony, a nawet zasmucony byłem całą rozmową; nieznającemu świata i jego brudów, wydała się podłym i hańbiącym targiem. Wkrótce jednak przeświadczyłem się, że nic w niéj szczególnego nie było, to jest: że podobnych ojców jak Wojewoda, mnóstwo można było naliczyć, zepsucie bowiem, nieograniczało się w owych czasach na intrygach miłośnych i frymarkach dobrem publiczném, głęboko zapuściwszy w społeczność swe szpony, nie oszczędziło nawet tych związków, które sama natura świętemi i nietykalnemi zdawało się

czyniła. Lecz też, czegoż można było wymagać od ludzi, którzy zdeptawszy poczciwe zasady przodków, wyparłszy się wiary, sumienia i honoru, uważali za zaszczyt, przesadzać jedni drugich w występkach; gdyż od ich liczby zależał tytuł filozofa i rozumnego człowieka. Czego można było pożądać od istot, których serca zepsute były do gruntu, którzy moralność uważali za czczy tylko wyraz, prawdę i poczciwość za nonsens, cnotę potrzebną tylko dla biedaków bez butów, ekonomów lub chłopswa, którzy wyparłszy się przeszłości, niedbając o przyszłość i niewierząc w nią, teraźniejszość mieli za bóztwo, za jedyny przedmiot, o którym myślеć i o którego ustalenie dbać byli powinni.

A jednak są ludzie, którzy marzą o tamtym czasie, wszystko dobre w nim widzą! nie zazdroszczę tym Jegomościom i nieszczególne o ich rozumie, lub moralności mam przeświadczenie.

Nie mogłem ukryć wstrętu, którym byłem przejęty Wojewodziance, choć mi dobrą zwiastowała nowinę; odparła obojętnie:

—*Que faire mon cher!* minął czas sielskiéj

prostoty, nastał żelazny wiek rozumu i rachuby, wiele w nim wprawdzie złego, lecz są i zalety.

—Nie widzę żadnych.

—Bo nie chcesz widzieć... zważ przecie, że błahą ceną dziesięciu tysięcy talarów okupiłam szczęście całego życia, to dosyć tanio.

—Lepiej byłoby, gdyby się obyło bez niecnego targu. Twój dziad lub pradziad uważaliby za sromotę brudzić się czémś podobném.

—Prawda, lecz też szorstcy mój dziad lub pradziad, nie zezwoliliby nigdy na nasz związek, i gdybym się przy méj woli uparła, osadziliby w klasztorze, owszem kto wié, możeby i co gorszego spotkało. Wojewoda kazał sobie wprawdzie rodzicielskie błogosławieństwo zapłacić, przyznaję, rzecz to brudna, hańbiąca, lecz jéj rezultat lepszy niżli surowéj cnoty.

Była loika w tych słowach dziewczęcia, była i prawda; lecz czy one mówiły za Wojewodą lub za duchem czasu, sami najlepiéj osądzić możecie.

Za parę minut, nowy dowód miałem podłości charakteru i egoizmu Wojewody:

Gdym się udał do niego, aby podziękować za przyzwolenie na ślub, przyjął jak najmiléj, ściskał, całował i mówił:

—Nieuwierzysz kochany Albercie! ile jestem zadowolniony! dalipan dziesięć lat życia przybyło!... doczekałem się wreszcie dnia, którego sobie z całego serca życzyłem, mam zięcia jakiego pragnęło serce! ale też nie mało było kłopotu?

—Kłopotu?— powtórze— jak to?

—A tak, ma się rozumieć. Czy bowiém sądzisz, że od razu dziewczynę tyle kaprysną i grymasną jak Julka, można było nakłonić do swoich zamiarów? trzeba było czasu i pracy; nieraz nawet myślałem, że niedopnę celu, lecz Bóg dopomógł.

—Pan Wojewoda tedy był za marjażem?

—Nie tylko, że byłem za nim, ale nie chwaląc się, ja go uformowałem; z kapryśnicą kłopot wielki! lecz co czynić, raz postanowiwszy rzecz, cofnąć się nie mogłem. Wiész ile byłem

przyjacielem twojego ojca, ułożyliśmy wasz związek jeszcze nim oboje na świecie byliście, gdym cię ujrzał po raz pierwszy w mym domu, obietnica przyszła na myśl, odtąd ni jeść ni spać nie mogłem, trzeba jéj było zadość uczynić.... politykowałem też, kręciłem, na prawo i lewo, aż udało się wreszcie....

—Panu Wojewodzie zatém winienem względy i miłość panny Julji?— przerwę trochę szydersko— bo przyszły na pamięć i targ i opor niedawny.

—Powtarzam ci, tak jest... i nie żałuję, a tymbardziéj przekonany jestem, nigdy nie będę żałował mych trudów, bez chwalby bowiem drogi Albercie! jesteś właśnie człowiekiem stworzonym na mego zięcia: delikatny, uprzejmy, gospodarz; nadto, familja dobra, senatorska, parantelle jakie lubię, znaczenie w powiecie, a wkrótce zapewne i w kraju.

Znudziła mię ta komedja, przerwę:

—A więc to pan Wojewoda istotnie i mnie i mój ród za godne siebie uważa?

— Jakże chcesz? wiesz, nigdy nie kłamię.

—Przed pół godziną przecież, raczy pan Wojewoda przebaczyć, co innego słyszałem.

—Co znowu? żartujesz...

—Bynajmniej, oczekując na pannę Julję, zatrzymałem się w tej właśnie izbie, a z niej całą rozmowę w gabinecie co do słowa mogłem słyszeć.

Mniemając że odkryciem prawdy zawstydzę, a przynajmniej zmięszam magnata, omyliłem się; roześmiał się na całe gardło, ha! figlarz jesteś panie Albercia! dalipan figlarz, ktoby się był domyślał, lecz czy mówisz serjo?

—Co się mnie tyczy, sumiennie mogę oświadczyć panu Wojewodzie, że nigdy nie kłamię.

—Aha, i docinek zaraz! mniejsza o to, nie będę się gniewał; masz prawo za sobą schwyciłeś na gorącym uczynku, przecież Mopanku! niemyśl, abym znowu i tyle był przeciw tobie, jak sądzisz i jak mówiłem Julci.

—Chciałeś panie Wojewoda w klasztorze zamknąć.

—Gdyby się choć czwarta część robiła z tego co gada, Bóg wie co byłoby; Bogiem a praw-

dą i co mi do tego za kogo idzie za mąż, za ciebie czy innego, za księcia lub chłopa? jak kto sobie pościele tak się wyśpi; ma lata i rozum, sama sobą kierować może.

—Zarzucałeś mi pan Wojewoda ubóztwo, małe znaczenie rodu i nieosobliwe kolligacje.

—Prawda, lecz też zastanowiwszy się nieco, przyznać musisz, że przy mojem nazwisku, majątku i dostojności, miałem prawo wymagania za zięcia kogoś bogatszego od ciebie, ale inaczej się stało; dajmy więc temu pokój, a raczej o czem innym pomówmy. Znając moją rozmowę z Julją, wiesz i warunki pod któremi zezwoliłem na wasz związek, sądzę nic przeciw nim niemasz?

—Majątek panny Julji do niej należy i może nim nie tylko teraz, ale zawsze podług swej woli rozrządzić.

—Jak to zawsze? przecież niewyrzekasz się twych praw małżonka... połowę dochodów zastrzegasz sobie.

—Bynajmniej panie Wojewodo, nie dla posagu bowiem panny Julji chcę ją nazwać mą żo-

ną, lecz że istotnie szacuję przymioty serca i duszy.

Spójrzał mi w oczy wzrokiem, w którém wyraźnie przebijało się zadziwienie i powątpiewanie, bez zawodu mniemał żem albo zmysły utracił, lub też żarty chcę z niego stroić, nie taił tego i słowem moje zapewnienie, że się myli, uspokoić nie może. Dalipan Mąpanku szczególniejszym jesteś człowiekiem! Trembecki słusznie dziwakiem cię zowie, powiada... żenić się nie dla majątku, nie dla widoków ambicji? wyjawże prawdziwą przyczynę?

—Oświadczyłem już panu Wojewodzie! przywiązanie, szacunek...

—Ha, szacunek dla wietrznicy! przywiązanie w tym czasie! jakimś ułamkiem z sielankowych czasów jesteś panie Albercie, z serca ci życzę, abyś z twemi maxymami daleko zaszedł, abyś był szczęśliwy w twém pożyciu małżeńskiém.

—Mniemam, że nie wątpisz panie Wojewodo, iż tak będzie.

—Hm!— polarł czuprynę i wąsa.— Julcia dobra dziéwczyna, lecz kobiéta, rozumu dużo, a więc jest i przebieg! są też i kaprysy i dziwactwa i krwi dużo w żyłach, lecz co mi do tego jak jest, a tém mniéj jak będzie; lepiéj ode mnie znać ją musisz, gdyś zdołał serce i rękę pozyskać. Bądź tedy szczęśliwy, gdy sądzisz, że nim być możesz.

11.

Grób ojca. — Wyjazd do Warszawy. — Skarbnik.

Wypadki, o których wspomniałem, następywały tak szybko po sobie, że przy największej sile ducha, porywającemu ich potokowi oprzeć się nie mogłem. Byłem ciągle w jakiemś gorączkowym usposobieniu, w anomalnym stanie: brałem życie i wypadki nie jak je zalecał rozum, lecz jak się nasuwały same: przedmiot nawet tyle ważny jak miłość i małżeństwo Hanny, nie tyle mnie obchodził jak był powinien. Nie chciałem badać ni jéj, ni własnych uczuć, nieroz

ważałem czy charaktery nasze są zgodne, i szczęśliwa przyszłość możliwa; byłem pogrążony w pewnym gatunku apatji, z której nic wyrwać nie mogło, nawet wypadki, które w innym razie przeważnie mogłyby działać na umysł.

Oto jak było:

Nasz wyjazd do Warszawy, nie tak prędko nastąpił jak chciała i oznaczyła Julja. Tepper wyjechał za granicę, a więc nie można było dostać potrzebnych pieniędzy; choć miesiąc upłynął, mieszkaliśmy jeszcze na wsi.

Mówię mieszkaliśmy, gdyż jako oświadczony i przyjęty konkurent, co zaś nadewszystko, że tak chciała Julja, prawie ciągle przebywałem w Chełmicy. Tu było rzeczywiste moje mieszkanie do Nasiegniewa od czasu do czasu tylko dojeżdżać mogłem. Przez ten miesiąc miałem próbkę przyszłego mojego domowego szczęścia. Julja kochała wprawdzie, lecz jéj charakter dawną, a przyrodzoną sobie przyjął barwę. Przebaczałem jego wady, ale dotykały one boleśnie; ze wszystkich zaś najwięcéj utrapliwą, najnieznośniejszą była zazdrość: ta jedna wada mogła była

nie wiem jak wielkie szczęście zakłócić, ile namiętną miłość osłabić!

W całem bowiem znaczeniu tego wyrazu Julja była zazdrośną niewiastą. Nie mogłem na kilka godzin odjechać z Chełmicy, nie mogłem parę chwil rozmawiać z jaką niewiastą, aby nie było podejrzeń i gniewu. Dawna moja miłość dla Hanny szczególniej niepokoiła, nie chciała wierzyć, i miała w tem razie słuszność, aby ta miłość całkowicie z serca wygluzowaną została. Śledziła zatem wszystkie moje postępki, przeszkadzała z całą usilnością i przebiegiem zawistnéj niewiasty, abym z dawną kochanką nie zszedł się i nie odnowił stosunków. Próżno uspokajałem, nic nie pomagało; usunąć podejrzenia zazdrosnéj kobiety byłoby to samo, co wzrok przywrócić wykłutym oczom, zmienić bieg słońca.

A téj zazdrości dała wkrótce krzyczący dowód.

Tepper wrócił nareszcie i pieniądze zapewnił. Niezwlekając tedy, mieliśmy do Warszawy udać się. W wilją dnia terminowego pojechałem do Nasiegniewa, aby stosowne gospodar-

skie, na czas méj nieobecności, rozporządzenia poczynić.

Miałem do Chełmicy wrócić na wieczór, lecz interessa przeszkodziły; owszem, nazajutrz rano, niepojechałem tam wprost, lecz żegnając na jakiś czas te strony, mając wkrótce zawrzéć związki stanowiące o losie całego życia, chciałem udać się do przyległéj wsi Szpethala, w któréj w parafjalnym Kościele, w familijnych grobach, spoczywały zwłoki ukochanych rodziców; na ich, drogich sercu, mogiłach, chciałem pomodlić się i wyprosić sobie u Boga błogosławieństwo na przyszłość.

Kościół jako w dzień powszedni był pusty, lecz roztworzony. Gdy wszedłem do ciemnéj kaplicy, w któréj znajdował się grób rodziców, jakże zdziwiony byłem, gdy na stopniu tego grobu, dójrzałem klęczącą jakąś czarno ubraną niewiastę, cóż dopiéro, gdy w niéj poznałem Hannę.

Modliła się zaś z całém wylaniem pięknego serca. Jéj nadobne policzki rzewnemi łzami zroszone były, głuche westchnienia wstrząsał alabaster piersi.

Wzruszony do nieokreślenia tą modlitwą i zejściem się tyle szczególnem, niedójrzany od pobożnej, ukląkłem za nią i nasze zjednoczone modły wznosiły się przed tron Najwyższego. Blizko kwadrans to trwało, wreście wstała, lecz gdy zwróciła się, aby opuścić kaplicę, dójrzała mnie.

Trudno abym odkreślił wyraz jéj twarzy owéj chwili. Niby w czystém źwierciedle odbijały się na niéj wszystkie uczucia burzące w sercu, zadziwienie, przestrach, radość lecz i smutek zarazem!

—Pan tutaj? wykrzyknęła przychodząc nieco z piérwszego wstrząśnienia umysłu do siebie.

—Jak możesz mniemać pani, abym tu nie był; abym nie błagał niebios i cieni drogich rodziców o błogosławieństwo, na drodze życia, na którą wwiodły nie własna chęć, lecz raczéj przypadek i rozpacz.

—Rozpacz?.. przypadek!?.. powtórzy.

Czy możesz mniemać pani, aby inne jakie uczucie wstanie było skrzyżować moje zamiary, zatrzéć choć w części dawne uczucia, piękną

przyszłość wygluzòwać z pamięci; lecz co mówię, alboż ona zatarta, lub czy nią może być kiedy?

Głos mój był tęskny, w oczach łzy, zejście się bowiem z Hanną odnowiło wszystkie dawne wspomnienia, rozcuciło uśpioną, lecz zawsze gwałtowną, bo prawdziwą miłość.... panem siebie nie byłem....

I gdy dziewczę milczy, ujrzę jéj rękę, i rzeknę:

—O tak Hanno! przysięgam ci, tyś sama winna tylko, że szczęśliwy nie jestem!... a przynajmniéj, że nim tyle nie jestem ile mogłem być; tyś winna, że moja przyszłość mroczną, całe życie niepewne, a kto wie może i utrapień będzie pełném!

—Jednak... masz pan się żenić... bierzesz żonę młodą, piękną, bogatą.

Smutno lecz zarazem i szydersko rozśmieję się— ach Hanno! i ty mniemasz, że w bogactwach zakładam szczęście? że młodość i piękność innéj niewiasty potrafiły tyle olśnić, żem dla nich zapomniał o innéj, daleko piękniejszéj, i....

Nie dokończyłem mej myśli, a raczej ona przerwie:

—Przecież jesteś kochany i kochasz...

—Jestem kochany? być może, tak przynajmniej sądzę z dowodów jakie mi dano. Lecz czy kocham? inna rzecz! jedno tylko słońce świeci na niebie, jeden Bóg nami włada, i jedna tylko i raz tylko, miłość nam śmieje się w życiu... Hanno! ty wiesz komu ta miłość oddaną była....

W mojem głosie, czułem to sam, był smutek, lecz też i namiętność prawdziwej miłości; nie sposób więc, aby wpływu na umysł Hanny nie wywarł. Owładnięta mojemi słowami i wybuchem tyle żywego uczucia, szepcze:

—I to być może? nie oszukujesz mnie?

—Jest tak Hanno!— odpowiadam z zapałem— owszem, chceszże przysięgi świętej, niemogącej być nigdy złamaną?-- pociągnę na stopnie rodzicielskiego grobowca, padnę na nich na kolana, lekko opierające się dziéwczę do tego skłonię i mówię:

—Hanno! Bóg słucha moich wyrazów, Bóg i cienie moich ukochanych rodziców świadkami,

że nie kłamię! kocham cię! jedną ciebie tylko! wszystkie inne uczucia szał pusty, kaprys chwili, niedorzeczność, przed którą wzdryga się rozum i serce!

—Dla Boga! Albercie! co mówisz!...

—Mówię co nakazuje sumienie, spowiadam ci prawdę mojej duszy i serca. Odrzuciłaś przecie moją miłość Hanno! wzgardziłaś.... ach, błagam cię raz jeden jeszcze! raz ostatni być może. zmiłuj się! niechciej wiecznej niedoli! ulituj się łez i troski!. Mogę być jeszcze i będę szczęśliwy!...

—Zapomniałeś Albercie o tamtej...

—Wyrzekam się jej!— wykrzyknę z zapałem— przysięgam ci! wyrwę z serca ten chwast co się w niem, ośmielił rozkrzewić! nicma serca, czuję to sam dobrze, w związkach z nią, jest tylko kaprys chwili, a raczej było obłąkanie zmysłów! moja też z nią przyszłość, czy być może szczęśliwą? widzę i to że nie! i ja i ona nie będziemy szczęśliwemi, nie możemy być niemi. Ona, bo nie znajdzie nigdy we mnie tej miłości jakiej wymaga.... ja, bo jej kochać nie mogę.

Hanno! dwóch istot nie żądaj niedoli, zmiłuj się nad niemi! inaczéj grzech będzie, nie miłosierdzie. Hanno! przecież twe serce nie z głazu... tyle dobra dla wszystkich, dla mnie jednego tylko czy okrutną, czy tyranem masz być?

Gorącemi pocałunkami oblewam jéj białe i drżące w moich dłonie, a spójrzę w oko i na twarz. Twarz to raz blada, to znów żywym rumieńcem oblana, oko pełne łez błyszczy podwójnie i niemi i żywém uczuciem, którym zdaje się przepełnione serce; widzę też w nim i miłość i wahanie się coby uczynić, spostrzegam, że mogę rozstrzygnąć tę walkę, że jeszcze być mogę szczęśliwym, podwajam me prośby, szepczę:

—Hanno! jedno słowo wyrzeknij tylko, przypomnij sobie, że to stanowcza dla nas chwila, że się wahać niepowinnaś, za minutę za pózno już będzie!

—I zapóżno już teraz!— odezwie się obok nas wykrzyk, w którym maluje się gniew, oburzenie, szyderstwo i zawiść... Poznam go i żadrżę, wychodzi z ust Julji.

Jakoż stoi ona przed nami, zręczna Amazonka piękne jej ciało powleka, lecz oko pryska namiętnym gniewem, twarz oblewa purpurą rumieńca.

Widząc obojga nas przestrach, śmieje się gorzko, szydersko i mówi:

—Przeszkodziłam w czułej rozmowie, i jak uważam w sam czas przybyłam.— Zaiste, budująca i miła dla mnie rozmowa! i jakie miejsce obrane! Kościelna kaplica! jakiś stary i brzydki grobowiec! na mój honor jak to pięknie i czule! jak romansowo! Marmontel tę scenę mógłby z effektem opisać w powieści, a Karpiński lub Kniaźnin w sielance! nie jedna wiejska piękność łzy by rzewne toczyła. Dalipan moje państwo, aż mi żal, że natrętnem wejściem popsułam rezultat czułostek.

—Na Boga, Juljo! powściągnij twe żarty!

Roześmieje się głośnie lecz z wyraźnym przymusem— Zabawnym jesteś mój panie, zabraniając drwić z tego co warte drwinek.. gotoweś nawet przysięgać że nic między wami nie zaszło, że obecne też wasze zejście się jest tylko dzie-

łem przypadku — Zwróci się do Hanny — nieprawdaż moja panienko? moja Dafne, Amaryllo, wiejska Filido! WPanna trafunkiem tylko zeszłaś się z panem Albertem? owszem, nieznasz go, jest ci on obojętnym, niemiłym?..

— W tonie złych słów tyle pogardy, taka chęć na śmieszki, że rozgniewają niewypowiedzianie — Comtesse! — wyrzeknę z zapałem — jak śmiesz napastować osobę nieznaną ci zupełnie, a godną szacunku? jak śmiesz brukać dobrą jej sławę i podłemi podejrzeniami obrażać?

— Podłemi podejrzeniami? *vous êtes excellent Monsieur!* zapominasz jak widzę jakie węzły nas łączą, zapomniałeś kto ty i ja jesteśmy dla siebie nawzajem — zwróci się do Hanny — moja panienko! trzeba ci wiedzieć, że ten pan narzeczonym jest moim, że wkrótce będzie i mężem; widzisz tedy że go bałamucić niemożesz i niepowinnaś, że gdy to będziesz czynić ksiądz rozgrzeszenia nieda, a ja ukarzę jak przynależy; owszem, gdy jak mniemam wiedziałaś już dawniéj o moich stosunkach z panem Albertem, twoja schadzka dzisiejsza niepowinna ujść bez ukarania. Powin-

nam ci dowieść, że umiem mścić me prawa.. mo jego gniewu próbkę dać ci powinnam.

Mówi na pozór spokojnie, lecz jéj oko pryska szalonym gniewem, całe ciało drży jak w febrze. Uważam to i na baczeniu mam, okazało się, że ostróżność potrzebną była. Szalona, nie umiejąca hamować swych uczuć, równo z ostatnim wyrazem przemowy, wzniesie szpicrutę trzymaną w ręku...

W sam czas zatrzymam, i miotany gniewem, drżący nim gwałtownie, ściskając dłoń szalonej, wyrzeknę:

— Słuchaj pani! dość już téj komedji! raz szczerą prawdę znać winny, twój nie rozważny szalony dzisiejszy postępek, skłania do oświadczenia, które lubo ci niemiłem będzie, jest jednak koniecznem z méj strony... kłamałbym przed Bogiem, własnym sumieniem i tobą, gdybym mógł rzec, że cię kocham szczerze, wyłącznie, że szacuję tyle ile powinienem szacować przyszłą moją małżonkę, lub że w związku z sobą widzę obopólne nasze szczęście. Nasze charaktery nie-

zgadzają się bynajmniej, a miłości ofiarować ci nie mogę, bo jest już oddawna innej ofiarowaną..

—Ha!—jęczy złamana cierpieniem, gniewem i rozpaczą Wojewodzianka—Albercie! i ty możesz to mówić!?..

—Powinienem Comtesse!— chłodno odpowiem—sumienie i rozum nakazują. Znając tedy szczerą prawdę mych uczuć, gdy jeszcze mamy czas, rozważ co uczynić powinnaś. Nieszczęście wielkim nie będzie, nowy mąż, nowy kochanek wygluzują mnie z twojej pamięci i serca.

Julja wzdrygnie się cała niby jadowity wąż ostrym żądłem ją dotknął, wyrwie rękę z moich—rzeczywiście szalona rozpacz i gniew nią miota—rzewnemi zaleje się łzami, i mówi.

—Ach ileż ja nieszczęśliwa! ilem spodlona! odrzuca mnie, gardzi, nienawidzi! jestem pomiotem jego dumy, igraszką jego kaprysu, ja? o której rękę najpierwsza młodziesz kraju ubiega się, której biją czołem najznakomitsi dygnitarze i senatorowie! ja? przedmiot zazdrości co najpiękniejszych niewiast tej ziemi, czy kiedy mogłam mniemać aby podobny wstyd był moim u-

działem? Jeszcze dla kogo gardzi mną? dla prostéj dziewczyny, dla wieśniaczki, dla jakiéjś szlachcianki bez wychowania, majątku, imienia!!

—Jeszcze obrażasz Comtesse....

—Ach, obrażam, powiadasz; lecz czy niemam słuszności? czy wreście w prawie moim nie jestem?— rzuci się do mych nóg— Albercie! czyś zapomniał że jesteś moim narzeczonym? że za parę tygodni będziesz i mężem?!..

—Powiedziałem już pani, dobrowolnie wyrzekam się tego szczęścia.

Zadrży, trupio zblednie zrazu, lecz wkrótce, niby nowa myśl jakaś przyszła do głowy, wstanie z kolan, otrze łzy, wyprostuje się dumnie.

—Panie L*— rzeknie mi— i to ostatnie twoje słowo?

—Tak pani.

—Dobrze! słuchaj więc. Znasz mój charakter i domyślasz się, że podobnéj mnie istocie bezkarnie urągać nie można.

—Przebacz Comtesse, lecz i ja nienależę do rzędu tych mężczyzn, którzy płazem puszczają obrazy. Znam szacunek dla twéj płci, lecz nie-

mam skrupułu mszczenia krzywd zadanych od niej. Według mnie bowiem, niewiasta zapominająca o tem co winna sobie samej, niewieściemu wstydowi i umiarkowaniu, pozbawia się dobrowolnie względów, jakie jej od mężczyzny należą.

—Rozumiem pana— przerwie mi z sarkastycznym lecz gorzkim i boleśnym uśmiechem— a i to przyznać muszę, wierzę mu... Jednak niemniemaj aby moja zemsta w ubliżający dla mnie sposób mogła się objawić, przysięgam ci! wręcz ni pana ni jego kochanki niedotknie. Ja w całym tym nieszczęśliwym wypadku winnam, ja jedna za wszystkich odpokutować muszę. Możecie kochać się bez obawy, możesz ofiarować miłość którą odepchnięto tyle razy, możesz błagać o rękę któréj tyle razy odmówione, możesz ją i pozyskać. Co do mnie, żadną zawadą nie będę.. dzień twego ślubu będzie dniem mojéj śmierci.

—Niezawodnie inaczéj namyślisz się pani— przerwę trochę szydersko.

—Założy palec na palec jakby w przysiędze— Obiecuję to na pamięć méj matki! na Boga i

przyszłość o której dziecku tyle strasznych rzeczy mówiono! a nie sama zginę, wiedz pan o tem, doda oblewając mnie pełnym obłąkania wzrokiem,— nie sama! zginie w moim łonie i ofiara mojego błędu, twego świętokradztwa, twe dziecię!

—Wzdrygnę się cały. Hanna pobiednie grobowo, przyłoży rękę do oczu, i...

—Boże mój! zmiłuj się nademną! — wykrzyknie. Julja uważa jéj wstrząśnienie, przystąpi do drżącéj, schwyci za rękę i mówi:

—A prawdę, mówię, prawdę! klnę ci się dziewczyno! w moim łonie czuję owoc mego chwilowego obłąkania, szalonéj miłości, gub mnie tedy gdy tak chcesz, zabij dwie istoty zarazem, i bądź szczęśliwą jeśli być możesz z człowiekiem, którego sumieniu podobne morderstwo przyciężać będzie! Bądź szczęśliwą z wiarołomnym, który potrafi uwieść, ale nie umie dać zadość uczynienia swojéj nieszczęsnéj ofierze!.

—Nigdy! — wykrzykuje Hanna — nigdy ten człowiek moim mężem nie będzie!

—Zmiłuj się! jakiż wyrok?

—Koniecznym on mój panie! sam widzisz i

czuć powinieneś że wszystko z nami urwane, że dla obójga, niéma na téj ziemi nadziei.

—Wyrzuty Hrabianki słuszne, prawa niezłomne, zadość uczynienie dać jéj winieneś.

—Nie kocham, nie mogę kochać!

—Podły ten, który popełniwszy błąd, ciężaru jego następstw lęka się. Pamiętaj o tém panie Albercie, i bądź zdrów... na wieki!

Głucho westchnie, piękne oczy wzniesie ku niebu jakby od nich żądała pomocy i szły w swojém postanowieniu, i odchodzi. Chcę pobiedz za nią, jeszcze błagać, odsunie surowém spójrzeniem i słowami:

—Proszę pana, ani słowa więcéj! już i tak byłam winną, żem po ostatniéj mojéj odmowie słuchać go mogłam.

Gniewny na siebie, Julję, Hannę i cały świat, powróciłem do domu. Tysiąc dziwaczniejszych jeden od drugich projektów przechodziło po głowie, nie długo jednak niemi zajmować się mogłem, bo ich tok przerwała Julja. Szalona w swoich postępkach, niewahała się przybyć do mego domu, jéj łzy, skargi, a wkrótce i kokieterja,

rozbroiły w gniewie; rzeczywiście też, cóż mogłem innego uczynić nie byłoż podłością cofać się w dawnych projektach? po tém co zaszło między nami niebyłożby podłością, jak słusznie rzekła Hanna, popełniwszy błąd lękać się jego skutków? Los mój był rzucony, mężem Julji musiałem być i już nazajutrz postanowiłem do Warszawy odjechać.

Za nim jednak opuściłem Nanigniew, odwiedził Skarbnik, mocno był zmieniony od czasu gdym go widział po raz ostatni.

Gdym mu moją obawę w tym względzie objawił smutno odparł:

— Co chcesz? tyle cierpień dotknęło, a jeszcze od osoby, od której samego szczęścia się spodziewałem. Lecz niech się dzieje wola Boga, niech mi troski, jakie obecnie znoszę, na karb ciężkich grzechów policzy. Miłowałem zbyt wiele, więcej jak nakazuje, aby ojciec miłował dziecię; słusznie tedy ukaranym zostałem.

W tych wyrazach objawił mi i cel wizyty. Wiedział o mym wyjeździe do Warszawy, chciał abym urządził moje gospodarskie stosunki.

—Nie lękaj się o nic panie Skarbniku—odpowiem—znając mnie, domyślasz się że nie nadużyję ni twego zaufania, ni zapomnę praw jakie masz do méj wdzięczności.

—Sądzę że jaką drobną zkrajką ogromnego posagu który wkrótce otrzymasz, oczyścisz rodzicielską majętność.

—Uczynię to z całego serca, bądź przekonanym, chociaż szczerze ci przyznam, niechciałbym w żadne rachunki wchodzić z przyszłą moją żoną.

—Zbytnia skrupulatność— odpowié—chociaż nie bez zalety— zręcznie nasunie mi kilka szczegółów mogących być mi użytecznémi przy układaniu intercyzy, a żegnając mówi:

—Niech ci Bóg szczęści drogi Albercie! życzę ci tego z całego serca, a niezapominaj że jak byłem, tak i chcę być, dopóki starczy życia, przyjacielem twoim, jakże chętnie chciałem być i ojcem!

To napomnienie ośmieli do zadania pytania dotyczącego zdrowia Hanny. Smutno głową skinie i mówi:

—Dobra, Anioł dziewczyna! lecz że zbyt dobra, poczciwa, to może jedyna jéj wada. Wspomniałem ci już, wiele w tych czasach mimowolnie dała mi cierpieć: naprzód zdrowie więcéj wątłe niż kiedy, potem lękają dziwne chęci; ledwie że wyprosiłem, iż przynajmniéj dopóki żyć będę do klasztoru nie wstąpi.

Te wynurzenia do innych pociągną. Zacznę rozbierać dawne z Hanną stosunki, skarżę się na jéj srogość i odrzucenie, przerwie:

—Nieobwiniaj jéj w tym punkcie Albercie! jak już rzekłem, jedyną jéj wadą zbytnia dobroć i gotowość do poświęceń choćby one z największą boleścią dla serca przychodziły. Od niedawnego czasu dopiero ją poznałem? i chociaż dużo cierpieć daje, więcéj niż kiedy kochać, więcéj niż kiedy szacować ją muszę.

Na samym odjezdném mówił mi jeszcze:

—Przebacz panie Albercie! ale na jedną dość drażliwą dla mnie i dla ciebie okoliczność muszę zwrócić twoją uwagę. Niewiem jakie są twe stosuki z Wojewodzianką, ludzie mówią wprawdzie że cię kocha, że chce mężem nazwać, nie-

ufaj przecież zbytnie nadziei, niechcę posądzać Wojewodzianki, lecz charakter niewiast zwykle płochy i słaby, zmienność koniecznością prawie, nie daj się więc nazbyt łudzić, bądź ostróżnym w majątkowych stosunkach, oszczędnym w twém Warszawskiém życiu; znasz przecie twoje interesa, w twym ręku spoczywa los, nie tylko twój własny lecz i kilkunastu istot i mój i Hanny.

Zbytecznemi zdawały się mi w owéj chwili słowa i obawy starca, ileż w nich przecież było słuszności, i trafności przeczucia?! czyż bowiem, zanim upłynęło pół roku, wszystkie moje błyszczące nadzieje do szczętu zawiedzionemi nie były? czyż się niewidziałem, pozbawionym fortuny, umierającym, zwiedzionym od niecnéj kokietki, żebrakiem bez przyszłości i co straszniejsza dotkniętym obmową, plotką i posądzanym o małą honorową drażliwość! ależ porządnie winienem opowiedzieć wypadki i treściwie jak można, czasu bowiem mało, a rozpościerałem się w dotychczasowém opowiadaniu, nieraz w szczegółach, które niezasługiwały na to.

12.

Przyjazd do Warszawy, Trembecki i jego rady.

Jeżeli nie dawno przy pierwszém wstępie do domu Wojewody w Chełmicy, ujrzałem się obcym w śród licznego tłumu, daleko byłem nim teraz za przyjazdem do Warszawy.

Warszawa przecież była ludna i gwarna jak mało kiedy. Nowy otwierający się sejm, ściągnął do niéj co najznakomitszych obywateli z różnych stron kraju. Litwa, Ukraina i Wołyń, najbogatszych, Wielko-Polska najwięcéj burzliwych nadsyłały. Codzień dworno, suto, okazale,

przyjeżdżał jaki magnat. Facecionista książe panie kochanku, Wojewoda Wileński, jego brat Heronim Kasztelan, Sapiehowie, Potoccy, Sułkowscy; codzień otwierał się dom jakiś, i choć był dopiéro początek Listopada, dawano bale, wieczory, koncerty i tak nazwane assamble, bawiono, tańczono i cieszono się jakby za najlepszych czasów.

W owym gwarnym tłumie ja sam prawie jeden byłem bezczynnym i niezajętym, niemogło zaś być inaczéj; nieodznaczałem się ni majątkiem, ni znaczeniem, ani żadnym wysokim talentem; zasługi i pamięć mojego ojca dawno już przepomnianemi zostały, bliżsi i dalsi krewni sobą tyle byli zajęci, że zaprzątać się kuzynem nie mogli; tytuł wprawdzie narzeczonego powszechnie znanej, pięknéj, bogatej i zalotnéj Wojewodzianki, mógł mi dać znaczenie; lecz nieumiałem i niechciałem ze sposobności korzystać, choć młody nie lubiłem hucznych zabaw, w polityce mało byłem biegły, w karty nie grałem, hulacznych pijatyk nie mogłem cierpieć, czémże tedy było się zająć?

Nudziłem się też jak więcéj trudno, i z niecierpliwością oczekiwałem na ten czas, gdy będę mógł porzuciwszy Warszawę, wrócić do moich zwykłych spokojnych zatrudnień, gdy przybył Trembecki.

Niewiedział on dotąd o wypadkach tyle na mój los wpływających, wygrawszy już w drugim dniu mego piérwszego pobytu, w Chełmicy, znaczną summę od księcia Adama Ponińskiego, nie mógł usiedzieć na wsi, lecz na cały rok wyjechał do Spa i Paryża, roku tam jednak niestrawił, bo już w drugim miesiącu straciwszy do grosza gotówkę, musiał do Warszawy powrócić.

W piérwszym już dniu powrótu, nie zrzuciwszy nawet podróżnéj odzieży, przybiegł do mnie, a mieszkałem dla taniości lokalu, w jednym z zajezdnych domów, jakich mnóstwo w owych czasach znajdowało się na Grzybowie.

Wbiegłszy do méj izdebki pod strychem, uściskawszy serdecznie, przyjrzał się biednym sprzętom, na całe gardło się rozśmiał i mówił:

—A toż *ma foi* było po co, ledwie do Warszawy przybywszy, nierozpakowawszy nawet

mantelzaków podróżnych, siadać w soliterkę i szukać cię po całym Grzybowie, téj najbrudniejszéj części naszéj stolicy, wieszże u licha jaka plotka przywiodła?

—Przyznasz że trudno abym odgadnął.

—Jedna z najdziwaczniejszych z najśmieszniejszych, z najwięcéj niepodobnych do prawdy, lecz któréj musiałem uwierzyć gdy staroście Węgierski dał mi słowo honoru...

—Zechciéj objaśnić, a jeśli będę mógł tę plotkę potwierdzę lub zaprzeczę...

—Niepotrzeba tego, dość spojrzyć na ciebie i twe mieszkanie, aby poznać prawdę. Niezapomnę Starościcowi że oszukał, *ma foi*, musi mi dać satysfakcję... wyzwę na pistolety... o piętnaście kroków do barjery gotów jestem się strzelać! nauczę Ichmości rozumu, niech mistyfikuje kogo chce, a nie mnie... Chceszże mi być sekundantem? nie mam nikogo pod ręką, a dziś jeszcze chcę wyzwać.

—I owszem, służyć ci będę... lecz objaśnij rzecz całą.

—Wyobraź sobie, już od trzech dni wiedziano, że przyjadę; ten i ów tedy zaszedł do méj kwatery, aby się o nowinkach i znajomych paryzkich z piérwszéj ręki i czém prędzéj dowiedzieć. Czynię zadość życzeniom Ichmości, a nawzajem pytam o wypadki tutejsze. Za najważniejszy podają bliskie małżeństwo znajoméj ci Wojewodzianki.

—Nieskłamano wcale.

—Nie ta téż gniewa nowina, czemu niéma iść za mąż? ma lat dwadzieścia jeden i dziesięć razy tylu konkurentów, miała ich przynajmniéj, o co innego Starościca wyzwę. Wieszże kogo jéj za przyszłego męża naznaczał?

—Ciekawym bardzo.

—Ni mniéj ni więcéj tylko ciebie!

Uśmiéchnąłem się.—Dla czegoż chcesz go wyzwać...

—Ależ bo to kłamstwo, mistyfikacja!. czy sposób abyś ty miał być jéj mężem, jéj narzeczonym! i gdybyś nim był, czybyś mieszkał na Grzybowie pod strychem, w prostéj żydowskiéj karczmie o jednym pachołku?

—Nieposiadam jeszcze miljonów posagu.

—Ale miałbyś kredyt i rozum, nająłbyś co najlepsze mieszkanie przy miodowéj lub senatorskiéj ulicy, ubrałbyś i dwudziestu poddanych w liberję, miałbyś na zawołanie piętnaście koni i pięć przynajmniéj powozów, bawiłbyś się, hulał, grał w karty; owszem gdy nie większy jaki tytuł, to przynajmniej klucz szambelański i order świętego Stanisława błyszczały by przy twoim fraku.

—O te wszystkie przyjemnosci, które cytujesz, bardzo dbam mało; niewymawiam się wprawdzie od nich, lecz zostawiam na późniéj.

—A więc Węgierski powiedział mi prawdę? jesteś jéj narzeczonym?

—Owszem, najdaléj za miesiąc mam być i mężem, na wesele proszę cię tedy.

Wzdrygnął się cały i z niedowierzaniem spoglądał mi w oczy, lecz gdym opowiedział mniéj więcéj wszystko co zaszło, nie mógł wątpić.

—I to być może, Julja, ta która odrzuciła tylu konkurentów,— wykrzyknął pod któréj no-

gi miotał każdy co posiadał, miljonowe majątki, dostojności, zasługę— pokochała i oddaje rękę!

—Hreczkosiejowi ,bez tych wszystkich zalet o których wspominasz — przerwałem z uśmiechem—lecz co chcesz mój drogi? znasz stare przysłowie, nie bierze zasłużony ale szczęśliwy.

Trembecki jednak uspokoić się nie może... a widzę wyraźnie z twarzy i oka że nie tylko zadziwienie lecz i gniew nim miota. Niezawodnie gdy dawnej miłości pozostała jakaś odrobina, ta dokucza, zwykle też ludzi samolubstwo dręczy.

—Ależ to szaleństwo,— wyrzeknie—ty się z nią niemożesz ożenić.

—Takie jednak moje przeznaczenie.

—Nie będziesz i niemożesz być szczęśliwym. Wasze charaktery całkowicie różne, ty sensat, miłujący domowy spokój i moralność, ona na odwrót niewiasta światowa przepadająca za rozrywkami; jak tobie potrzeba i warunkiem życia wieś, tak dla niej ona nudną utrapliwą, nieznośną.

—Wiem o tém.

—Nadto, jak możesz porzucać Skarbnikównę.

gardzić miłością, tyle stosowną dla siebie, to grzech i więcej bo błąd!

Wspominek Hanny jak zawsze i teraz z piersi wydobywa westchnienie, widzi to Trembecki; mówi:

—Zastanów się co powinieneś uczynić. Dla płochej kokietki, dla niewiasty nie silnej woli i przekonania, lecz kaprysu, odrzucasz istotę dobrą, piękną, kochającą i cnotliwą; dla miłości jednej chwili, jednej z tych które jako nieoparte na wzajemnych upodobaniach i szacunku niemają przyszłości, poświęcasz inną prawdziwie szacowną, mogącą ci zabezpieczyć i upięknić całe życie; mówię ci jako przyjaciel, radzę jako szczérze życzący: wzgardź zwodną syreną, działaj jako człowiek rozumu i woli, otrząśnij się z niedorzecznego szału, porzuć ten związek, w jaki niedoświadczenie pociągnęło, jeszcze masz czas.

Rady Stanisława, widzę sam, słuszne; lecz ostatnie jego wyrazy przypomną nieodzowną konieczność. odpowiadam zatem:

—Dziękuję ci jak najserdeczniej za tyle zaję-

cia mym losem, ale do twych przestróg niemogę się zastosować.

—Czemuż przecie? co cię wstrzymuje?

Prawdy nieśmiem i niechcę wyznać. on też jéj niedomyśla się, z nowémi przedstawieniami wystąpi, przerywam je smutno:

—Dokończ, proszę cię. Niemożesz wyobrazić sobie jak boleśnie ranisz serce i rozum. Powtarzam ci jednak jak się stało być musi, a jeżeli sobie przypomnisz, że to ty wprowadziłeś mnie do domu Wojewody, zapoznałeś z jego córką, że ty zachęciłeś do walki z kokietką, przyznać winieneś, że to co nastąpiło, jest powiększéj części twém dziełem.

—Prawda!— wykrzyknie z gorzko szyderskim uśmiéchem,— masz słuszność, ja to sam winien wszystkiemu, szalony! ja ci ułatwiłem i zejście się z nią i następne miłostki! Gwałtownie przejdzie się po izbie i dodaje szeptem:

—A tak, ja to sam uczyniłem, połączyłem ich, a przecież zwą mnie człowiekiem rozumnym i zręcznym; lecz co jest rozum? jeden czyj bądź kaprys, jedna najdrobniejsza okoliczność zniwe-

czyć najlepiej pomyślane jego plamy może; i czy ten rozum potrzebny w życiu człowieka? mam go, i jakaż korzyść? kochając jestem wzgardzony, czując, jestem niewidziany; muszę cierpieć i biadać, gdy kto inny... człowiek bez... ależ...—ścisnął dłonie—.. jeszcze żyję! jeszcze serce wrze zawiścią i nadzieją, działać jeszcze potrafię, nie jeden jeszcze tryumf mogę zakłócić?

Pożegnał po tych wyrazach dość sucho, i oddalił się. Nie pojmowałem ni jego szeptu ni wstrząśnienia umysłu, kładłem je na karb dziwactwa a nawet żywego zajęcia się mym losem, przeświadczyłem się jednak niezadługo, że inna była przyczyna.

Od przyjazdu Trembeckiego zaczęła się zmiana w mym losie, a szczególniej w postępowaniu Wojewodzianki. Dotąd mimo pobytu w Warszawie i ciągłych rozrywek, była tą dla mnie co na wsi, kochającą może aż nazbyt, i zazdrośną o swą miłość; dzień jeden nie upłynął, abyśmy choć parę godzin nie spędzili pospołem i w wyparciu się świata, w nim nawet, znaleźliśmy dość czasu dla siebie. Ileż razy porzucała najweselsze

tańce, najwięcéj świetne towarzystwo, przerywała najwięcéj zajmującą rozmowę, aby pogadać ze mną, uścisnąć za rękę, obdarzyć czułem spójrzeniem; dla znających ją, i w ogóle dla zepsutego ówczesnego świata, podobna miłość wydawała się czémś nadzwyczajném, poczciwy nawet Karpiński zbudowany ją obiecał uwiecznić rymami i dotrzymał słowa; piękną sielankę w któréj ja mam nazwę Mirtylla, Julja Dafny, napisał; miała to być historja naszych uczuć.

A jak kochającą tak dobrą i względną była w postępowaniu ze mną. Żaden przedmiot, który mnie mógł zajmować, nie był dla niéj obojętny, musiała znać do najdrobniejszych szczegółów wszystkie moje codzienne postępki; w towarzystwach odznaczała; wprowadzała w te świetne, do których urodzenie i majątek dawały jéj prawo, a gdy to majątkowe interesa, to mus oczekiwania na zezwolenie pewnéj staréj ciotki, o któréj spadek szło jéj, przedłużył termin naszego ślubu, bolała nad tym wypadkiem, i z trudnością tylko mogła mu uledz.

Ale jak wspomniałem, od przyjazdu Trem-

beckiego, wszystko zaczęło być inaczéj. Dawny jéj kapryśny i płochy charakter, w całéj rozwinął się sile, mogłem łatwo spostrzegać że codzień stawała się dla mnie więcej odstręczającą, surową, a nawet że i miłość zmniejszała się co raz więcej. Zaczęła dostrzegać wady mego postępowania, nieraz je dotykała szydersko, i co było najprzykrzejszym dla mnie ciosem, poufne wywnętrzenia i sam na sam, co raz zaczęły być rzadszémi. Rzuciła się namiętnie w wir światowych zabaw, jak niegdyś otaczała się rojem wielbicieli, i prawie przeświadczony byłem, że niewiele gniewała by się o to, gdyby znalazła jaki protekst, do zerwania naszych stosunków.

Wspomniałem że przykry to był cios dla mnie, tak było istotnie. Natura człowieka, niezajmuje go to co może posiadać albo posiada, lecz to co traci lub jest niepodobném. Namiętnie kochany, lekceważyłem miłość Julji, teraz gdy stygnąć zaczynała, przywiązałem się do niéj z uporem szaleńca nieumiejącego hamować swych namiętności. Niechcę długo zajmować się dziejami tego dziwactwa, dość rzec, że już w drugim

miesiącu mego w Warszawie pobytu, stałem się zakochanym do szaleństwa, zazdrośnym i rozpaczy oddanym.

Pewnego dnia, koło nowego roku, ta rozpacz i zazdrość, do najwyższego doszły stopnia, a wtedy gdy co raz więcéj zacząłem nabierać przekonania, że Julja obojętnieje dla mnie, i co większa, że jéj względy pozyskuje jeden z młodzieży wysokiego towarzystwa, młody, przystojny, bogaty.

Przykra nawet z tego powodu scena zaszła między nami, wybuchłem w niéj długo tajoną zawiścią; Julja wymówki i skargi przyjęła z lekceważeniem, z płochością i szyderstwem, zwykłemi sobie; te rozgniewały i dotknęły więcéj jeszcze serce... zły, przeklinający świat i siebie, powróciłem do méj kwatery, gdy nadjechał Trembecki.

Wyelegantowany był, wyświeżony i wyperfumowany więcéj niż kiedy, ważny zaś tego był powód, wybierał się na bal do Łazienek, całe wyższe towarzystwo Warszawskie miało się tam zebrać. I ja byłem zaproszony, lecz poróżniwszy

się z Julją; nie miałem do zabawy ochoty i odrzuciłem wezwanie.

Trembecki nie bez powodu przyjeżdżał, występował jako pośrednik między mną a Julją. Od niejakiego bowiem czasu domownikiem prawie był Wojewody. Z Julją szczególniéj wszedł w ścisłe stosunki zaufania, w miarę jak ja traciłem jéj względy, on je pozyskiwał. Niemiałem przecież żadnego podejrzenia, i on sam i Julja kllka razy wręcz, a jak się zdawało szczérze zapewniali, że przyjaźń tylko między nimi istnieć może, a nie żadne inne uczucie. Nadto, czyż mogłem nie ufać temu, który się moim przyjacielem głosił, który codziennie występywał z pięknémi oświadczeniami braterstwa i koleżeństwa?

Teraz gdy objawił cel swego przybycia, że tęskne serce łaknęło wywnętrzeń, wystąpiłem z niémi, zarzucając Julji płochość, kokieterję i zdradę miłości.

Słuchał cierpliwie, lecz gdym skończył, rzeknie:

—Niechcę i niemogę bronić Hrabianki, jednak zastanowiwszy się musisz przyznać, że i ty nie jesteś bez winy.

—Ja? mylisz się, moje sumienie nic mi do zarzutu niéma: od zerwania z Hanną jestem wierny moim zobowiązaniom, Bóg mi świadek! nawet myśl zdrady niepowstała w sercu.

—Nie mówię też o tém, lecz o innéj rzeczy. Alboż działasz jak powinieneś? stosujeszże się do życzeń i charakteru, do wymagań i próżności niewieściej przyszłéj twéj żony?

—Nie mogę jéj kaprysom ulegać?

—Prawda, lecz dla własnego dobra, jak już wspomniałem, powinieneś lekką ofiarę złożyć jéj życzeniom i własnéj miłości...

—Nierozumiem cię.

—Tém gorzej, bo poprawa nieprędko może nastąpić... i niechcę być prorokiem, lecz zapóźną być może. Ależ nie dziw się i niegniewaj, Albercie! jestem twoim przyjacielem i chcę tę przyjaźń okazać dobrą dając radę, a raczéj rozwijając poprzedni mój zarzut. Tak, powtarzam to, niejesteś bez winy... kochasz, lecz czy okazujesz tę miłość czynem? jesteś wiernym, dałeś słowo, nie będę wątpił, ale czy to wystarczy niewieście takiéj jak nasza Hrabianka?... Jéj dumny chara-

kter, jéj ambicja, i sama natura, wymagają od przyszłego męża, pozornéj przynajmniéj wyższości, blasku, znaczenia. To wszystko czy jéj dajesz? czy nawet najmniejszy krok zrobiłeś w tym względzie? nie jesteś bez zasobów umysłu, masz dowcip i obszerną naukę, lecz czy ich użyłeś jak należało? jesteś młody i przystojny, a przecież każdy z podrzędnych nawet elegantów naszych, zacmić cię może i, niegniewaj się, zaciemnia.

—Chceszże tedy abym fircykował, tracił fortunę?

—Nie mówię o tém, lecz radzę należną dbałość o powierzchowność i sposób życia, które byłyby wzgodzie z wymaganiami twéj narzeczonéj, i wreście z jéj posagiem i znaczeniem. Nie możesz dać jéj blasku godności i imienia do których słuszne ma prawo, dajże przynajmniéj co możesz dać, blichtr światowy i pozor. Inaczéj przecież się dzieje: w stolicy żyjesz równie jak na wsi oszczędnie, nikt cię niezna i niewidzi, giniesz w towarzystwie w którém bierzesz udział, stokroć ubożsi od ciebie, przenoszą cię wystawą mieszkania i ubioru. Jeszcze, gdybyś

był magnatem, gdybyś miał renomę uczoności, dziwactwo przywiązujące się do talentów lub osobistego znaczenia wymówką byłoby. Pamiętaj o tem, najskromniejsza w życzeniach, najwięcéj prostaczka niewiasta, lubi aby jéj mąż lub kochanek, miał jaką taką, jeśli nie rzeczywistą, to pozorną przynajmniéj sławę. Blask przedmiotu miłości jest tak nieodzownym dla téj miłości, jak słońce dla ziemi, jak dzwięk metalu dla lichwiarza. Kobiéta nie może kochać nikogo dla téj, jaką mu daje świat; przebaczy niewiem jakie usterki i wady, lecz śmiészność w kochanku, staje się grobem najżywszych jej uczuć.

—Śmiésznym mniemam nie jestem.

—Śmiésznością jest wszystko, co wychodzi za kółko naznaczone cyrklem wymagań światowych, co się niezgadza z prawidłami a często i kaprysami opinji lub mody. Chciałeś prawdy, szczérą wypowiem: twój sposób życia zdaje się śmiésznym dla świata, i co gorsza, Julja wié o tem.

—Jakto?— wykrzyknę zdumiony i nieco rozgniewany.

—Tak, mój Albercie!— chłodno odpowie—

świat uważa za śmiészność, że człowiek jak ty, z rozsądkiem i dobrą przezentacją, niepopisuje się z niémi, że narzeczony miljonowéj dżiedziczki, żyje jak jaki ekonom lub brudny dorobkowicz na brudnym poddaszu; śmiésznością zowie twoje unikanie wszelkich rozrywek, kosztujących choć nieco; twoje zaniedbanie w ubiorze i cały tryb życia; powtarzam ci we wszystkiém powinna być miara, a więc i w oszczędności...

—Lecz ja niemam fortuny... a przynajmniéj stracić jak inni niechcę i niemogę.

—Aby cóś posiadać, trzeba cóś ważyć. Pamiętaj o tém miljony Wojewodzianki godne przecież ofiary tysięcy; jéj miłość zasługuje abyś dla niéj zadał sobie jaką prywację; mówiłem z nią w tym względzie, i gdy mam być całkowicie otwartym, wyznam ci, że zupełnie moje zdanie podziela, owszem, poddała je sama...

Trembecki, gdym się nieco zastanowił, miał słuszność; rzeczywiście, czyż się starałem o pozyskanie, a przynajmniéj o utrzymanie miłości Julji? zaspokajałem jéj ambicję i kaprysy niewieście? porównawszy mnie z którymkolwiek

z licznych swych wielbicieli, czyż każdemu pod względem elegancji— niemiała dać pierwszeństwa? Uuiewinniałem ją nawet: nie sama płochość charakteru spowodowała zobojętnienie, lecz i wzgląd na świat, i słuszna obawa o przyszłość; nieprzyjmowałżem dobrowolnie ciężaru wad na siebie jakich wcale niemiałem, jak skąpstwa i lekceważenia jéj słusznych wymagań. Wszakże któryś z autorów francuzkich słusznie powiedział, że aby zyskać niewiastę, trzeba zadowalniać nie tylko jéj serce i głowę, lecz i przyrodzoną słabość próżności.

—W trop tych myśli odpowiedziałem Trembeckiemu:

—Lecz co radzisz, jak mam żyć?

—Jak inni, jak nakazuje rozum. Dogodź ambicji, zaspokój życzenia dumy, błyszcz i okazuj światu żeś godnym miljonów i piérwszeństwa jakie ci dano.

—Ale do tego potrzeba pieniędzy, a tych niemam i nie wiém zkąd dostać.

—Zaśmiał się.— Zaiste, prostaczek z ciebie! dobroduszny, sielankowy człowiek! a czy nie wiesz

kto z kłopotu wyprowadzić może? nieznaszże tych pocieszycieli strapionych, tych dobrodziejów potrzebujących, których złość, lichwiarzami i zdziercami, rozważny człowiek, najszacowniejszą klassą społeczeństwa nazywa?

—Chceszże mej zguby? chcesz rzucić w szpony ludzi bez wiary i miłosierdzia? zniszczyć ostatek rodzicielskiej fortuny!

—Bynajmniej, ale pragnę wycofać cię z niedoli w jakiej się dobrowolnie pogrążyłeś, chcę zapewnić miljony i wierną miłość Hrabianki.

Te słowa przeważnie wpłynęły na umysł, wyrzekłem jednak:

—Lecz ja nieznam żadnego z tych ludzi, i wątpię, aby który zrujnowanemu i biednemu jak jestem, zechciał choć grosz pożyczyć. Na wsi znają mój stan majątkowy i w charakterze mają rękojmię, a przecież gdy chcę tysiąca złotych pożyczyć, długo prosić i kłaniać się trzeba.

Rozśmiał się znowu.— Trudno więcej być od ciebie prostodusznym i nieznającym światowych stosunków. Zapominasz, że Warszawa całkiem się różni od twojej nudnej prowincji, łatwiej tu

o sta, niż tam o dziesiątek złotych. Dziś jeszcze mogę cię o tém przekonać, ile chcesz pożyczyć? tysiąc, dwa tysiące lub więcej dukatów?

—Jakąż dam rękojmię oddania?

—Pożyczą na słowo, na twe piękne oczy, dobry wzrost i urodę, a co najważniejsza, na przyszły posag Wojewodzianki, decyduj się zatém.

—Wahałem się nieco, lecz przemogły chytre rady. Trembecki zaś miał słuszność: jeden z znanych bankierów lichwiarzy, bez korowodów, na prosty skrypt, żądaną summę dwóch tysięcy dukatów obrączkowem złotem i co ważniejsza, na bardzo mały procent, już nazajutrz pożyczył.

13.

Nowy tryb życia.— Skarbnik i Hanna.— Rozpacz.— Wojewodzianka.

Nie będę po szczegółach opisywał życia, jakie, od wspomnionéj w poprzednim rozdziale z Trembeckim rozmowy, prowadzić zacząłem. Jest to czas który chętnie wydarłbym z pamięci, który chociaż opłacony drogiemi dla serca i duszy ofiarami, staje przecie niby utrapliwe a uczciwe widmo, i w marzeniach moich, i rozpamiętywaniach na jawie. Nic go zatrzeć nie może, ni łzy, ni pokuta sumienia. Swięta to prawda, że

grzech jest łatwy, lecz skrucha trudna, często nawet i poprawa jest taką...

Burzliwe zaś, nieporządne, pełne szpetnych namiętności i szaleństw było to życie. Wspomniałem już na swojem miejscu, ile gorączkowem było ówczesne usposobienie umysłów; ta gorączka postępków i myśli najwydatniej okazywała się między młodzieżą. Lekceważenie majątku, sumienia, honoru, było tak pospolitą rzeczą, że nikt na nie uwagi niezwracał. Rodziny bez skazy do tychczas, świetne, historyczne nanazwiska, potomkowie wielkich naszych ludzi stanu i bohaterów, plugawili się, kalali, niesławili; z powszechnego rozprzęgnienia obyczajów, rzadko kto wyszedł bez nadwerężenia dobrej sławy: ginęły w jego otchłani najświetniejsze zdolności, zużywało się najczerstwiejsze zdrowie, najpiękiejsze niweczyły majątki.

Majątki zaś przedewszystkiem cierpiały w owéj epoce. Aby uspokoić kaprysy mody, zadość uczynić szalonym namiętnościom, wydołać ciągle roszczącym potrzebom zbytku, trzeba było chy-

ba skarby krezusowe posiadać. W żadném też stoleciu, nie mamy przykładów, aby tyle jak w owym zniszczało fortun; miljonowi Panowie widzieli się, po kilku lub kilkunastu latach pobytu w Warszawie, nędzarzami: owoce pracy kilku lub kilkunastu pokoleń, często w ciągu jednego wieczora stawione na kartę, lub wyrzucone na huczną zabawę, przechodzili w cudze, a najczęściej lichwiarskie ręce. Tak *np.* Xiąże Adam P* w niespełna dwóch latach stracił kilka miljonowy majątek i umarł nędzarzem. Widziano potomka udzielnych niegdyś Książąt C...... żebrzącego chleba. Bogaty Hrabia Szoł z Wielkopolski sto tysięcy stawiał na kartę i przegrywał. Kolosalna nawet fortuna Księcia *panie kochanku*, nie mogła znieść ciosów, jakie jej zadawał nierządem i nieostrożnoscią w wydatkach.

Każdy łatwo zrozumie, ile podobne towarzystwo kosztować mnie musiało. Raz w nie wszedłszy, raz dawszy się unieść potokowi złego, nie łatwo mogłem się wstrzymać. W ciągu też kilku miesięcy, nadwerężyłem zdrowie, honor i poczciwość naraziłem na szwank i straciłem ma-

jątek, przeszło sto tysięcy u lichwiarzy zaciągnąwszy długu.

I niewiem jakby długo trwało jeszcze podobne życie, i czy niepowiększyłbym prędzéj lub późniéj zgrai tych modnych a często i znakomitych łotrów, jakich na hańbę epoki i kraju mnóstwo można było naliczyć w Warszawie, gdy nieprzewidziane wypadki zatrzymały na samym krańcu przepaści.

Pewnéj nocy a raczéj poranku, powracałem do domu, zgrawszy się do grosza u Szambelana Gintowta, wpół pijany i bezsennością trawiony, byłem w złym humorze i gniewny. Już dochodziłem do mojego mieszkania, które w Blanka pałacu na senatorskiéj ulicy miałem, pańskie, okazałe, gdy nagle zatrzymałem się i wykrzyk przerażenia wydobył się z piersi:

Przedemną niespodziewanie dwie dobrze znajome postacie ukazały się Skarbnika i Hanny. Jakże przecież różne były od tych, które znałem i kochałem kiedyś!

Skarbnikowi zdawało się lat dwadzieścia wieku przynajmniéj przybyło, tyle przez kilka

miesięcy naszej rozłąki zmienił się i zestarzał; włosy mlécznej były białości, twarz blada i rozryta fałdami cierpienia, oko pochmurne, a postawa niegdyś mimo lat późnych rzeźwa i pełna siły, teraz schyliła się i niby złamała pod ciężarem niedoli.

A i w postawie i na twarzy Hanny podobnaż odmiana. Z nadobnych policzków ustąpił rzeźwy zdrowia i szczęścia rumieniec, zastąpiła go chorobliwa bladość, oko błyszczało nie weselem ale łzami, widocznie schudła i na całéj postaci malowały się znękanie, troska, niedola...

Ta zaś niedola piętnowała się i w ubiorze obojga; choć czysty, lecz więcéj niż skromny. Pojąć też nie mogłem widoku jaki miałem przed oczyma. Na chwilę mniemałem że wzrok mnie łudzi, że bezsennością wzburzona wyobraźnia, czcze tylko widma stawia przed memi oczyma.

—Dla Boga! co to znaczy panie Skarbniku? Hanno!—wykrzyknę— wy tutaj? w Warszawie!...

Widocznie zadrżą oboje usłyszawszy i ujrzawszy mnie przystępującego do siebie. W oku Hanny widzę kręcą się łzy, za to oczy starca ponu-

rym blaskiem zaiskrzą, podwójnie sfałduje się czoło:

—Ha! — rzeknie — postępnjąc na krok do mnie—Bóg wysłuchał gorących prośb moich! pozwolił mi zejść się z Waszecią!

—Na Boga! drogi ojcze!—błagająco przerwie Hanna—hamuj się proszę... zdrowiu gniew może zaszkodzić.

—I co mnie to obchodzi!— porywczo odpowie starzec— co mnie szkodzi że dzień jeden więcéj lub mniéj cierpieć będę na téj ziemi, godziny moje policzone, ciężkie strapienie zabiło! przynajmniéj niechaj winnemu, zbrodniarzowi, słowa prawdy wypowiem, niech go ukarzę ile na to zasłużył!

—Ja winnym! je zbrodniarzem?— powtórzę— co to znaczy— panie Skarbniku? zrozumieć cię nie mogę...

Mówiłem z rzeczywistém przeświadczeniem, a jednak więcéj jeszcze rozjątrzyłem starca. Bystro, groźnie spójrzy mi w oczy, zawoła:

—Ach! śmiesz jeszcze urągać niedoli która twém dziełem! śmiesz drwić z nędzy w jaką

wtrąciłeś! podłość naśmieszki dodajesz do podłości grzechu! do hańby zdrady przyjaźni i pokrewieństwa, człowiecze! ciężki rachunek przyjdzie mi zdać z niecnych postępków! stary jestem, złamany cierpieniem, ale jeszcze dość sił zostało, aby ukarać występnego!

—Ojcze! Ojcze zmiłuj się! uspokoj— szepcze tkliwie Hanna.

—Nie! dziewcze, nie proś za nim! czy niewiesz lepiéj od kogo bądź ile zgrzeszył? moje tułactwo i bliski zgon, twoja niedola i cierpienie, ałboż nie są jego podłości wypadkiem? człowiecze— doda przystępując do mnie— powiedz, czy ci sumienie nie wyrzuca ciężkich krzywd jakieś nam zadał? czy nie masz Boga w sercu! upamiętania w duszy? abyś bez rozumu poglądał na twe ofiary...

—Ależ panie Skarbniku! wytłómacz się proszę... może być niewinnego lżysz i obrażasz.

—Niewinnego?— powtórzy—zdrajco! potém co uczyniłeś i niewinności słodkim głosem mówisz! powiedz przecie, kto mi wydarł fortunę krwawą pracą lat pięddziesięciu zebraną? kto wyp-

chnął z rodzicielskiego domu? kto to dziecie,— wskazał na Hannę— pozbawił szczęścia całego życia, z majątku odarł? nie twojeż to niecne postępki? nie podły zbytek marnotrawstwa?

Teraz dopiéro zrozumiałem wypadek i zimny dreszcz całe ciało obiegł. Rzeczywiście prawdę mówił starzec, ja to zniszczyłem jego majątek, zniszczyłem całą przyszłość Hanny, pozbawiłem obójga rodzinnéj strzechy i domowego szczęścia. Ogarnięty szałem nowego życia dla siebie przepomniałem całkowicie o interesach, zapomniałem że dłużnicy mogli zająć nie tylko mój, lecz i majątek Skarbnika, ręczącego za mnie. Teraz dopiéro przypomniałem sobie, że gdym na termin obiecanych rat niewypłacił, dawni kredytory przestraszeni mojém marnotrawstwem, prawne kroki rozpoczęli; do nich przyłączyli się lichwiarze Warszawscy, zarzucony byłem pozwami i wyrokami których nie czytałem wcale; zbytkując i roskoszując tedy, zgubiłem istoty drogie sercu, istoty którym tyle byłem winien wdzięczności, tyle opieki.

Co się działo we mnie, każdy zrozumié. Po

raz pierwszy od pół roku zimna rzeczywistość stanęła przed moim okiem w całej swojej szpetni, po raz pierwszy, pojąłem mój obłąd i okropne jego skutki!

Załamałem ręce, i wołałem z rozpaczą:

—Na Boga! panie Skarbniku! przebacz... zmiłuj się... teraz dopiero wszystko co zaszło, lecz Bóg pozwoli, znajdę zaradę...

Nieuspokoiły przecież starca te słowa, owszem zwiększyły jeszcze wybuch długo ukrywanego gniewu, obarczył przekleństwami, podawał na łup hańbie, Boską pomstę na głowę winnego przyzywał!

Nie przerażało jednak to wszystko; na klęczkach byłbym prosił o zmiłowanie, gdy Hanna widząc, że moje uniewinnienia i proźby o większy tylko gniew przywodzą ojca, składając ręce wyrzeknie:

—Na wszystko co masz drogiego dla siebie proszę Pana! oddal się, widzisz że zabijasz ojca... już i tak lękam się o jego zdrowie i życie...

Ustąpiłem też miotany żalem, wstydem i rozpaczą, a w krótce przekonanie całkowite miałem

prawdy, wezwawszy mecenasa prowadzącego wspólne moje i Skarbnika— interesa. Od tego dnia już majątek i mój i starca był od kredytorów zajęty.

—A WPan niezawiadomiłeś mnie o tem! — wykrzyknę juryście z zgrozą i wymówką.

—Przebaczy pan Szambelanic — odpowie, — kilkakrotnie udawałem się do niego, lecz zawsze to nieznalazłem w domu, to niebyłem przyjęty, a raz gdy miałem szczęście zejścia się, stanowczo zakazałeś mi nudzić się tym interesem, oświadczając, że mam go zostawić bez obrony sądom.

Miał słuszność za sobą, tak było istotnie. Oddany rozpuście i zabawie, czy mogłem zająć się czem ważnem? rzeknę:

—Lecz teraz jeszcze czy niema nadziei ratunku, jakiego prawnego wybiegu?

—Wszystko skończone, trybunał wydał ostateczny wyrok, jednakże...

—Cóż jednak? powiedz czem prędzej!..

—Gdyby pan Szambelanic zaprotestował prze-

daż, przy pomocy układów i pieniędzy możnaby cóś zyskać.

—Nieidzie mi bynajmniej o Nasiegniew, lecz o majątek Skarbnika, ten chcę ratować, wykupić, jakaż suma do tego potrzebna?

—Obliczałem wczoraj, proszony od Podkomorzyny Z* dalekiéj ich krewnéj a bogatéj i bezdzietnéj wdowy, o któréj zapewno sam słyszałeś; potrzeba prawie 60 tysięcy złotych.

—Sześćdziesięciu tysięcy! lecz to być nie może! tyle długu niezrobiłem.

—Zrobił go pan Szambelanic przeszło 180 tysięcy o taką przynajmniéj summę zapozywali wierzyciele.

—I znowu miał słuszność, tę summę w ciągu kilku miesięcy straciłem na karty, hulanki, niecne zabawy i lichwę. Rozpacz mną miota, widzi to jurysta, mówi:

—Mnie się zdaje że Skarbnik nie jest tyle pozbawiony nadziei jak się z pozoru zdaje. Podkomorzyna, o któréj wspomniałem panu, bardzo kocha pannę Hannę; prawda że to stara i niewypowiedzianie skąpa osoba, lecz być może, uli-

tuje się nad biedą krewniaków, niezapomni w testamencie o nich, lub Łącko wykupi:

—Do mnie należy ten ostatni obowiązek—wykrzyknę—ja ich zgubiłem, ja ocalić muszę!—pożegnam mecenasa, a udam się do Typpera.

Słynny ówczesny bankier dobrze był mi znajomym, zawsze względnym i kilkakrotnie obiecującym swoje usługi; przyjął w mieszkaniu prawdziwie po Monarszemu przystrojonym, wszystkie sprzęty z drogiego drzewa, bogato według ówczesnéj mody złocone, na scianach wyłożonych alabastrem, obrazy co najcelniejszych mistrzów, gdzieś zwrócił oko, wszędzie przepych, okazałość i gust nieporównany!

Wysłucha prośby o pożyczkę summy, uśmiech pełny nadziei którym mnie z razu przyjął, zniknął z bladych i wązkich, chytrość natury znamionujących ust jego, twarz ściągła i żółta przybrała niezwykłą sobie powagę.

—Przebacz pan odpowiedział—ale jestem wrzeczywistym kłopocie, niemogę mu służyć.

—Jak to? pan, mający do rozrządzenia sto miljonów?

— Interesa niepozwalają, miałem w tych dniach ogromne wydatki.

Widziałem dobrze, że nie niemożność, ale brak dobréj chęci powodem odmówienia była, i wręcz to oświadczyłem.

—I owszem, kiedy pan pragnie prawdy— przyznać muszę że się nie mylisz— odpowiedział mi chłodno— Jakąż dajesz rękojmię bezpieczeństwa summy któréj wymagasz?

— W prawdzie nie mogę jéj hipotecznie zabezpieczyć, lecz znasz moje stosunki.... ożeniwszy się... co ma wkrótce nastąpić...

—Tak, wiem o tém ożenieniu... możesz posiadać majątek kilka miljonowy i prawie czysty... jednak, pozwól sobie powiedzieć, nadzieja rzecz wątła, i ludzie interesów liczyć na nią nie mogą...

—Mój związek z Wojewodzianką jest przecie nie ulegającym kwestji... cały świat wie o tém.

Uśmiechnął się trochę szydersko— Kilka już terminów minęło a nie nastąpił; Bóg wie co się stać może, przecież summę któréj pan wymagasz— dziś jeszcze pożyczę— gdy Wojewodzianka da stosowną kaucję.

Przykry to był warunek, jednak musiałem mu uledz.

Mimo obietnicy Trembeckiego, światowe moje życie nie polepszyło bynajmniej moich stosunków z Julją. Co raz więcej słabły one, i gdybym miał lub mógł mieć więcej zastanowienia, łatwo widziałbym że są bliskie końca. Co mówił Tepper, świętą było prawdą, kilka już terminów ślubu oznaczonych i zerwanych było, zawsze nasuwały się przeszkody: to potrzeba pieniędzy, to zezwolenie tej lub owej krewnej lub krewnego, widocznie, przestano kochać i szukano tylko pretextu do oddalenia.

A te przeszkody i ta chęć zamiast oburzenia dumy, jątrzyły serce i głowę... dzika jakaś ogarnęła namiętność, niekochając byłem kochany, kochałem teraz gdy mi cofano swe względy.

Mogłem był też i to uważać, że zmiana niebyła tylko kaprysu Julji wypadkiem; ktoś trzeci, wmięszał się między nas, psuł i niszczył dobrą harmonję plotkami i obmową. Tak naprzykład: żaden z moich postępków nieuszedł kontrolli, żaden niebył tajemnicą dla Julji, najdrobniejszy wy-

raz z moich ust wyszły znała, a co gorsza, przekształcony i w złém wystawiony świetle. Niemogłem odgadnąć kto był tym oskarżycielem, tym zaciętym wrogiem, łamałem głowę na próżno, a wezwany do pomocy Trembecki, bałamucił tylko zwiększaniem podejrzeń kłócących mnie z zupełnie niewinnemi, i narażających na przykre zajścia.

— Te zaś plotki zwiększyły się w miarę mojéj miłości i zobojętnienia Julji, teraz zaś doszły swojego szczytu, wyraźnie chciano stanowczo rozerwać nasze stosunki.

Że było rano, znalazłem Julję jeszcze w negliżu i niezadowolnioną z odwiedzin, które przerywały naradę z marszandemodką. Do tego czasu, pomimo życia jakie wiodłem, nieodwoływałem się nigdy do jéj pomocy pieniężnej, chociaż kilka razy nasuwała się z nią sama. mniemałem tedy że interes snadno ułatwię.

Prędko jednak przekonałem się méj omyłce. Wysłuchawszy prożby, zimno odrzekła:

—-Przebacz pan, ale tego uczynić nie mogę.

Zastanów się Juljo! idzie to o moją dobrą

sławę, i więcej o spokojność sumienia, możesz zbawić, ocalić!

—Lecz nawzajem zastanów się Pan—przerwie,—że ni jego sumienie ani dobra sława, nieobchodzą mnie nic a nic. Tracisz pieniądze, zmarnotrawiłeś już podobno majątek, brudzisz się hulatykami i nieporządnem życiem, bez pytania mnie o radę. Czemuż się odwołujesz w potrzebie, będącéj naturalnym wypadkiem twego postępowania? mój Panie! raz ustalić nasze stosunki wypada, raz zakończyć szaleństwa narażające mnie tylko na plotki i obmowy świata.

—I ty Juljo możesz tak mówić!. ty, której miłość..

—Moja miłość *cher Monsieur*—przerwie—jak każda rzecz w świecie, jak miała swój początek, tak i koniec mieć może, nieodwołuj się tedy do niéj.

—Przysięgłaś wieczną i wierną!

—Ileż razy popełniamy głupstwo, których późniéj musiemy się rumienić? mniemam że jestem w tem położeniu.

—A więc nie kochasz już!— wykrzyknę z rozpaczą— gardzisz, odpychasz!

—Kochałem godnego mych uczuć i szacunku, ale nie mogę kochać takiego, jakim obecnie jesteś, człowieka. Wierzyłem naprzykład, w twą prawość postępowania, a widzę brudy jak w każdym innym; miałam zaufanie w rozsądku, a spostrzegam niegodne głupstwa, chciałam oddać ci rękę, bo pomimo mojej płochości rada jestem widzieć w przyszłym moim mężu statek, rozwagę i takt, a czyż odpowiedziałeś moim życzeniom? cały świat ogłasza cię za rozrzutnika, za niebacznego na przyszłość, szulera, oddającego się nałogowo prawie trunkom i hulatyce, zawięzującego niecne z pomiotem płci mojéj stosunki. Mój panie! tak być nie może daléj, raz stanowczo trzeba wszystko zakończyć.

—Upadłem, złamałem się niejako pod tém oskarżeniem, a tém więcéj że przeczyć niemogłem, iż było w niéj nie mało prawdy. Widząc to Julja, dodała nowe do dawnych obelgi, dręczyła moją własną miłość, torturowała serce i dumę. W każdym innym razie choć winny, nie-

byłbym ścierpiał podobnej obrazy, teraz przemagał gniew, myśl czemu przybyłem; dla téj myśli, dziesięć razy więcéj obelg, cierpliwie znieśćbym potrafił.

Moje poniżenie i hańba niemiały przecież stosownéj nagrody; oddalono, z wątłą tylko nadzieją, że za parę godzin, po naradzeniu się z pewnemi osobami, dadzą mi stosowną odpowiedź.

—Jakoż, mało z południa przybył Trembecki, z płochością i obojętnością właściwą sobie mówił o różnych przedmiotach i osobach, stracił na téj czczéj gadance jakie półgodziny czasu, gdy dopiero chcąc się oddalić, niby przypomniawszy sobie jakąś ważną rzecz, uderzył się w czoło i wyrzekł:

—A toż istotny szaleniec ze mnie! byłbym zapomniał, że mam do ciebie polecenie... list.

—Od kogoż?

—Zgadnijże przecie... ha człowieku! pod szczęśliwą urodziłeś się gwiazdą, jesteś kochany jak nikt w świecie! nie dość że masz prawo wizyt w każdym czasie, jeszcze chwilowo nieobecnemu listownie zasyłają affekta i czułe słówka.

Wydobył list z kieszeni; poznałem na Adresie pismo Wojewodzianki, schwyciłem tedy skwapliwie, Trembecki mówił:

—Wystawże sobie jakim sposobem na Merkurego wyszedłem. W przejeździe Krakowskiem przedmieściem, ujrzałem w oknie hrabiankę, była piękną jak zwykle: chęć przyszła odwiedzin, przyjęła, lecz dla tego tylko, jak mówiła, aby za posłańca użyć, kazała ci wręczyć ten bilet...

Niesłuchałem tych objaśnień, ale zająłem się listem. Przeczytawszy go, podarłem w kawałki, serce się ścisnęło, krwawiło.

—Zwodnica! tyranka! okrutnica!— wykrzykiwałem w szalonym gniewie i rozpaczy.

—Co to jest? co się to znaczy?— pytał Trembecki— nie prędko jednak, mogłem dać wytłómaczenie. Opowiedziawszy zejście się z Skarbnikiem i Hanną i nieszczęsne wypadki jakie miały miejsce, wyrzeknę:

—A chcesz że znać odpowiedź Julji, zawartą w liście którego byłeś oddawcą?.

– Ciekawy jestem... niezawodnie kaucję odkłada na jutro, lub daje przykre jakie warunki.

—Odmawia zupełnie bez miłosierdzia, litości, nadziei, i niedość natem, lży, potwarza i prawie zrywa wszystkie nasze stosunki; cofa dane tylokrotnie przyrzeczenie oddania mi swej ręki! ale nauczę i ukarzę ile na to zasługuje, zwodnicę!

Trembecki uspokaja w gniewie, przelotnym kaprysem zwie tylko oświadczenie listu, każe ufać nadziei, obiecuje swą pomoc w pogodzeniu, chwilowo jak mówi zwaśnionych...

Nie mogę przecież uspokoić się, zdrada miłości i przykre obowiązki względem Skarbnika dokuczają... gorzkie łzy oblewają moje policzki, Trembecki mówi:

—Lecz co uczynisz? trzeba wziąść jakiś środek...

—Niewidzę żadnego -- odpowiem— a przecież duszę, życie oddałbym dla pozyskania potrzebnej summy!.

—Czemuż się nie udasz do bankierów?

—Mówiłem ci jak przyjął Tepper, inni dawniéj już cofnęli swą pomoc, jestem zrujnowany kompletnie, zniesławiony, zgubiony!.

—Masz rację— rzeknie Trembecki— pożycz-

ka jeszcze tak wielkiéj summy prawie niepodobna, i doda w zamyśleniu, szeptem, niby więcéj do siebie niżeli do mnie.

—Prawdziwe nieszczęście! zarady niema!. Chyba w podobnym trafunku losu, jaki przed dwóma dniami Węgierskiego spotkał; hołysz bez grosza, zadłużony po uszy, w ciągu niespełna godziny, ujrzał się panem dwukroć gotówki... w Paryżu modna młodzież szuka w kartach pomocy... niema jak one.

Ten szept żywo uderzy. W wyrazach Trembeckiego widzę prawie wyrocznię, przyjmę ją z namiętnością nierozwagi szaleńca.— Tak!— wykrzyknę— sprobuję szczęścia w karty! czemuż los niema dopomódz?

Cieszę się na samą myśl przyszłéj wygranéj. Powściągnie Trembecki:

—Zapominasz mój kochany, że karty jak dają pieniądz, tak i niweczą fortunę, owszem druga koléj daleko częstszą; szczęście sprzyjające przed wczoraj Węgierskiemu jest tak rzadkim i nadzwyczajnym wypadkiem, jak sukcesja ame-

rykańska,— stóletnie życie, i tym podobne zdarzenia.

—Są jednak ludzie wygrywający i robiący fortuny.

—Prawda, lecz też wypadałoby działać jak oni, zręcznością i sztuką dopomagać szczęściu; ufam żeś do tego niezdolny. Zbyt sumienny i dbający o honor...

Oddalił się po tych wyrazach, lecz trucizna jego uwagi została głęboko utkwiona w pamięci, w wyobraźni i duszy. Dwie godzin następnych były dla mnie jednemi z najboleśniejszych jakiemi kiedy bądź dotknęło niebo, była to walka rozumu z szaleństwem, cnoty z występkiem, podłości z honorem! walka Anioła z szatanem i ostatni przemógł!

A niemogło być inaczéj. Przerażony w roz, paczy, złamany tylu na raz przeciwnościami-mogłemże myśleć lub sądzić zdrowo?

Zebrawszy tedy co mogłem pieniędzy, sprzedawszy konie, sprzęty powozy, zaciągnąwszy od lichwiarzy kilka tysięcy długu, wyprawiłem

nazajutrz śniadanie, na które zaprosiłem wszystką znakomitszą młodzież, całą zaś noc strawiłem bezsennie w przykrych rozmysłach, i naradzie z kilku szulerami, wyrzutkami towarzystwa, jakich w owych czasach dość na swą hańbę liczyła Warszawa.

14.

Hańbiąca scena.— Węgierski.— Odkrywam wreszcie prawdę.

Zaproszeni stawili się wszyscy na moje wezwanie. Rozeszła się już po Warszawie nowina o zerwaniu stosunków z Julją. Każdy chciał wiedzieć i widzieć jaki wpływ ten wypadek miał na mój umysł; pocieszając pozornie, każdy skrycie cieszył się ze zdarzenia, zazdroszczono mi partji tyle bogatéj i świetnéj, gdym ją tracił, można mieć było nadzieję dla siebie. Nadto, w ciągu mojego rozpustnego życia, nie jednego obraziłem, tego odbiciem jakiéj pokątnéj

miłostki, owego prześcignieniem w zbytku, lub szaleństwie; prawdziwego przyjaciela nie miałem, z samym tylko Trembeckim żyłem poufnie, lecz ten czy zasługiwał na moją przyjaźń, dowiecie się wkrótce.

Śniadanie było wytworne, nieoszczędzałem szczególniej wina, wkrótce też wszystkie głowy były w odurzeniu, na to tylko oczekując, zaproponowałem faraona.

Nie będę się uniewinniał z niecnego zamiaru, który miałem na myśli, opowiedziałem wam w jakim usposobieniu umysłu i w okolicznościach znajdywałem się wówczas; nie kłamałem Trembeckiemu, wyrażając się, że chętnie oddałbym życie i duszę za potrzebną mi summę; w gorączce ducha w jakiej ciągle zostawałem, żaden środek nie był mi straszny, aby tylko dójść do celu. Nadto, w samym upadku jeszcze miałem na względzie poczciwość i cnotę; wygraną summę chciałem uważać nie za własność, lecz jako dług, z którego prędzej lub później pragnąłem się uiścić; zły też przykład obłąkał, w ówczesnym rozwolnieniu obyczajów jak inne wy-

stępki tak i oszustwo w karty umiano wybaczać, a przynajmniej ogradzać; niewspominając Księcia Adama P*, wielu jeszcze innych znakomitych osób kraju, posądzano o tryszerję. Jenerał Komarz...., Hetmani B* i Koss...., Półkownik Huss...., Wojewoda Wal.... dotknięci byli opinją publiczną, przyjmowano ich przecież po towarzystwach, szczycono się ich znajomością, ubiegano się o względy; owszem, gdy ten i ów na tryszerję skarżył się, przedrwiwano, że dał się *załapać;* czemuż ja miałem być surowiéj od innych sądzony?

Nie mniemałem też, aby mój występek mógł być snadno odkrytym. Dotąd miałem renomę czystego gracza, dzisiejsze więc szczęście można było przypisać trafowi. Ułożyłem też przy pomocy podrzędnych, lecz biegłych szulerów tak zręcznie karty, że prawie niepodobieństwem było podstęp zrozumiéć.

I z razu wszystko mówiło za tém mojém mniemaniem. W ciągu niespełna godziny, wygrałem przeszło dwa tysiące dukatów, małéj już tedy braknęło mi summy do skompletowania żą-

danéj; serce też moje biło gwałtownie, duszą gorące modły wznosiłem do Najwyższego, aby dopomógł szpetnym wprawdzie środkom, lecz służącym do dopięcia poczciwego celu; przysiągłem sobie, że wygrawszy trzy tysiące dukatów, więcéj nie tylko teraz, lecz nigdy w życiu kart do ręki nie wezmę!

Gra przecież wzrastała w zapale, lecz że braknęło gotówki drobniejsze tylko summy stawiano. Nikt nie miał dotąd żadnego podejrzenia, gdy nagle, wszedł jeden z moich lokai i wręczył grającemu Węgierskiemu jakiś mały bilecik, po którego przeczytaniu, wykrzyknął:

—Lecz to być nie może! to niepodobieństwo! kalumnia!

Ten i ów, z przytomnych badał o znaczenie wykrzyku, Węgierski wstał od stołu, odwiódł dwóch czy trzech grających na stronę, pokazał im bilet, i naradzali się kilka chwil po cichu.

Sam niewiedziałem czemu, ale to drobne na pozor zdarzenie silny wpływ na mój umysł wywarło; dobrze mówi stare przysłowie: grzeszny boi się własnego cienia, tak było i ze mną.

Straszące przeczucie złego, zaczęło dręczyć: serce z podwójną szybkością biło w piersi, prawie byłem pewny, że mój szkaradny podstęp odkryto.

I nieomyliłem się wcale.

Po chwilowéj z towarzyszami naradzie, Węgierski przystąpił do stołu gry, jego czoło i cała postać były spokojne, lecz oko złowieszcze, a badawcze rzucało mi spójrzenia.

—Ależ winienem wam objaśnić dotychczasowe moje z słynnym autorem tylu rubasznych i dowcipnych pieni, stosunki.

Mniéj jeszcze niż z kim innym przyjacielsko z nim żyłem. Charakter poety, jego szczypiąca złośliwość, i ostry dowcip, nie mogły się podobać, podburzał też Trembecki, widział w Węgierskim swego rywala, i rzucał podejrzenie, że on to, jest tym donosicielem, który tyle mi szkodzi w stosunkach z Wojewodzianką.

Nienawidziłem też go z całego serca, kilka razy dałem to uczuć i drobnéj tylko trzeba było okazji, aby pobudzić do stanowczego wybuchu.

Popatrzywszy chwil kilka, to w moje oczy, to na ciągnienie kart, wybrał jedną, i wyrzekł:

—Cały bank!

—Zimny pot wystąpił na moje czoło, ręce zadrżały, złożyłem karty na stół.

—Przebaczysz Pan— mówię— lecz stawka zbyt wielka.

—Mogę przegrać— zimno odpowie— zresztą zobaczemy.

Pewny byłem wygranéj, znałem bowiem ułożenie talji, lecz ile dotychczas łaknąłem zysku, teraz nie wiém cobym oddał, gdybym mógł chybić, nie sposób, za czwartym czy piątym rzutem, przegrał.

—Czterdzieści pięć tysięcy złotych!— wykrzyknął, któryś z widzów— panie Kajetanie! przed wczorajsza wygrana znaczny poniosła uszczerbek, nazbyt ryzykujesz.

—Nie wiém jeszcze czy ryzykowałem— chłodno odpowie— zwróci się do mnie, iskrzystém obleje spójrzeniem—panie Szambelanicu! zapłacić długu nie mogę.

—Jak pan chcesz— odrzeknę— zaczekam dopóki każesz.

—Nie o tém mowa, innaj przyczyna od zapłacenia wstrzymuje, nazbyt jesteś szczęśliwy!

Zadrżałem, wszystka krew wystąpiła na twarz, między grającemi powstał głuchy szmer, ktoś wyrzekł:

—Zastanów się Starościcu co mówisz, obrażasz Szambelanica i jeszcze w sposób taki, że słusznie może wymagać najkompletniejszéj satysfakcji.

—Nie jestem od niéj, i dam taką jakiéj zażąda, jeśli się pokaże, iż słuszności niemam.

—Co pan przez to rozumiesz?— drżącym głosem zapytam.

—Dziwi mnie,— chłodno i szydersko zarazem odpowie,— że pan dotąd nierozumiesz mnie lub nie chcesz rozumieć; mamże ci powiedzieć, że karty ułożone i markowane?

Trudno opisać jakie te słowa wrażenie zrobiły na wszystkich, a szczególniéj też na mnie. Trupio zbladłem, zimny pot oblewał czoło, byłem bliski zemdlenia, a talja w ręku trzymana upadła na stół, obojętnie wziął ją do ręki Węgierski, mówiąc:

—Przebacz pan, lecz nie tylko przed nim lecz i przed wszystkiemi tu przytomnemi usprawiedliwić się z zarzutu lekkomyślności winienem, i dowieść, że nie jestem podłym oszczercą.

I odstąpiwszy na bok, otoczony całą gromadą przytomnych zaczął przeglądać karty; na pierwszej już znalazł niemylny dowód szpetnego z mej strony występku.

Co się ze mną działo każdy łatwo zrozumie, ogarnął pewny gatunek obłędu, rozpacz, wstyd, upadek ducha!...

W miarę zaś jak Węgierski przeświadczał wszystkich, wzrastał dziki gwar, szyderski śmiech i pełne ironji wyrazy; wreszcie cały tłum przystąpił do stolika, każdy z pieniędzy bankowych odliczył sobie przegraną summę, nakrył głowę niby w ostatnim publicznym domu, i bez pożegnania się ze mną opuścił mieszkanie.

Był to ostatni cios dla mnie, ciężki policzek honorowi zadany; upadłem na kolana, rzewnemi zalałem się łzami, tysiąc różnorodnych uczuć miotało; chciałem sobie odebrać życie, żem tego

nie uczynił Bóg strzegł, i nie wstrzymał rozum, ale raczéj przypadek.

Gdym nieco przyszedł do siebie, gdy skojarzyłem choć w części władzę woli i ducha, różnorodne przychodziły projekta; chciałem nim sobie, odebrać życie temu, który był przyczyną mojéj niedoli, który mą hańbę odkrył przed światem, Węgierskiemu!

Zajęty tym zamiarem, pojechałem do Trembeckiego, chcąc skłonić, aby za sekundanta mi służył; nie znalazłem w domu, lecz służba oświadczyła, że przed godziną udał się do Wojewody P....

Nie wahałem się ni chwili, pobiegłem do domu aż nazbyt mi dobrze znanego. Bladość twarzy, dziki wyraz oka, przestraszył lokai, poglądali na mnie, jak na szalonego; gdym spytał gdzie się znajduje Trembecki, któryś wyrzekł:

—W buduarze Jaśnie Wielmożnéj Hrabianki, lecz pan Szambelanic przebaczysz, zakazała go przyjmować.

Roześmiałem się szydersko, groźnem spój-

rzeniem odepchnąłem zagradzającego mi drogę, i pobiegłem w głąb' komnat.

Przebywszy dwie czy trzy, zatrzymałem się dopiero w przyległéj buduarowi, ujrzałem się bowiem w źwierciedle, i sam siebie zląkłem się.

Moja twarz była trupio blada, włos rozrzucony, ubiór pomięty i w nieładzie, oczy krwią zaszłe, cały drżałem febrycznie.

Wstyd było tak ukazać się przed niewiastą, którą niedawno jeszcze miałem nazwać mą żoną, chciałem przynajmniéj trochę uporządkować ubiór, trochę uspokoić się, zajęty tém byłem, gdy z przyległéj izby doszedł ucha szmer rozmowy przeplatanéj wesołym śmiechem.

Głosy zaś mówiących znałem dobrze, rozpoznałbym między miljonami innych, Wojewodzianka mówiła z Trembeckim.

Ten zaczął:

— Widzisz *Comtesse*, że moje zdanie o twym admiratorze i narzeczonym chybionym, było zawsze słnsznie, człowiek *sans esprit*, *sans moyens*, i zupełne ciebie niegodny.

—Dowiódł tego w ostatnim wypadku. Sama pojąć nie mogę, jak kiedyś mogłem się nim zająć, *mais c'est un fons* i więcéj *c'est une bête*, ułożyć *un quet à pens*, tak szkaradnie, tak nierozważnie, że człowiek tyle prosty i nierozgarniony jak Węgierski mógł go odkryć.

—*Que voulez-vous*, gdybyś znała równie dobrze jak ja, ile jest ograniczony, w najprostszym wypadku, nie umié sobie dać rady, często gniew i śmiech brał, widząc jego niezdolność i niezgrabność w interessach.

—Przez kilka miesięcy przecież żył w świecie, szalał jak wszyscy czynicie, a nawet miał kilka intryg.

—Nieutorowałem mu też, prowadziłem jak dziecko na paskach, złego jednak miałem ucznia; zrujnował się do szczętu, *mais à propos* wygrałem zakład.

—Zakład?.. jakiż?..

—Zapomniałaś *Comtesse*, że po przyjeździe z Paryża, dowiedziawszy się o tem co zaszło, słysząc pochwały jakieś mu dawała, zobowiąza-

łem się, że w ciągu czterech miesięcy, pokażę, że z nich żadnéj godnym nie jest.

—Prawda, przypominam sobie i wyznać muszę kompletnie przegrałam, we wszystkiem miałeś rację.

—Tak, *premierement* potrafiłem sensata, dziwaka i mruka, wydobyć z jego Grzybowskiéj dziury, *apres* hreczkosieja i skąpca wprowadziłem w świat, pokazałem jego przyjemności, że w nich zasmakował i nurzał się do zbytku; daléj, przywiodłem do straty majątku, wreście dowiodłem ci, że człowiek, którego miałaś za wzór prawości, którego żelazny charakter wyjątkowym zdawał ci się w tym zepsutym świecie, potrafił się zbałamucić, skalać, i wieczną okryć hańbą!

—*C'est vrai*, jesteś szatanem mój Szambelanie! doprawdy zaczynam się obawiać ciebie.

—Nie o bojaźń mi idzie, lecz o inne uczucie słodsze dla serca, droższe dla dumy, czyż go nigdy nieosiągnę *Comtesse?..*

—Ach, uporczywym jesteś! nigdyż więc nie

będziesz mógł się ode mnie odstrychnąć? nie przestaniesz wymagać mojej miłości?

—Mam prawo do niej, przez tę którą ofiaruję, a że ona silna i wierną, że przetrwała tyle strapień, że jej ni twoja obojętność ni wzgarda nie zdołała zniszczyć, masz przekonanie. *Au reste, chere Julie!* jedne jeszcze mam prawo do twych uczuć, a wdzięczność! czyliż nie mnie winna jesteś, żeś się uwolniła od człowieka, z którym los swój związawszy, byłabyś na całe życie nieszczęśliwą, zgubioną!?

—To prawda Stanisławie! do zgonu powinnam ci być obowiązaną. Rzeczywiście, gdybyś nie ty przyszedł z pomocą, jego dzisiejsza hańba moją hańbą byłaby. Lecz doprawdy, jeszcze nie mogę zrozumieć jak się to wszystko stało, jak mogłeś równie wywieść go w pole? ten człowiek wyraźnie niéma oczu i ni szczypty zastanowienia.

—Jako dowód, że masz słuszność jeden ci tylko szczegół przytoczę, *figurez-vous*, tego nawet nic nie widział, co od tak dawna spostrzega świat cały, że cię kocham, że żyć bez ciebie

nie mogę, że wydawałem się za jego przyjaciela dla tego tylko, aby cię od niego oddalić i zerwać nienawistny mi związek. Przecież nie zawsze dobrze udawała się sztuka, nieraz gdy mi malował twą miłość dla ciebie, wszystka krew burzyła, oko pryskało gniewem, ogarniała rozpacz i zemsta, że chętnie byłbym go podarł na sztuki, krew jego pił! ach *chere Julie!* ciężko, strasznie cierpiałem zanim zdołałem dójść do tego szczęścia, którego obecnie używam, do twéj ufności! a kiedyż większą i odpowiednią moim uczuciom nagrodę mieć będę?

Rozesmiała się naprzód płocho, potém głosem, którego ton znałem aż nazbyt dobrze poszepnie:

— *Mais mon cher Stanislas*, wszystko być może w swym czasie, pozwól tylko niech się trochę uspokoję. Na ten raz winnó ci wystarczyć, że znam i oceniam twoją przysługę, że wdzięczną jestem za nią, i.... obojętną bynajmniéj ci nie jestem.

Słysząc to oświadczenie, Trembecki na kolana upadł, lecz nie dałem mu czasu do słodkich

zapewno wynurzeń i podziękowań, zdrada kokietki, podsłuchana rozmowa, dopełniły miary mego oburzenia, drżąc rozpaczą i zemstą wbiegłem do buduaru.

Moje nagłe wejście, skutek uderzenia piorunu dla obójga miało. Wojewodzianka odskoczyła strwożona, Trembecki trupio pobladł, zwykle czelny i śmiały, drżał i stracił przytomność ducha.

Nieprzypominam sobie com mówił, lecz zawsze słów nieoszczędzałem; wyrzuty jakie przyniosłem obójgu, bez wątpienia choć w części odpowiedniemi były ich winie, nie równie wymowy niedodaje, jak oburzenie na słuszności oparte, a tego mi nie braknęło.

Wejście dopiero Wojewody i kilku z jego gości zwabionych wrzawą służących i moją, położyło koniec gorszącej scenie. Zmuszony byłem do oddalenia się, lecz wypowiedziałem poprzednio całą słuszną pogardę, jaką dla kokietki miałem, i zażądałem od zdradzieckiego przyjaciela zadość uczynienia, którego wymagał honor, a więcej jeszcze zemsta...

—Z chęcią dam go Panu— odpowiedział porywczo— chociaż potém co dziś w jego domu zaszło, miałbym prawo do odrzucenia pojedynku.

—To co dziś zaszło mój panie!— odpowiem— hańba, którą zostałem okryty, zgryzota, którą cierpieć muszę, rozpacz jaka mnie ogarnia, wszystko twém dziełem! przed ludźmi mogę być winnym, lecz nie jestem im przed Bogiem, i w części przed mém sumieniem! stanąć tedy jutro już musisz do walki, i gdy chcesz możesz wziąść życie, gdyś zgubił honor!

—Będę starał się o to— ponuro odpowie, i gdy chcę dalej cóś mówić, przerwie:

—Gdy już rzecz na téj drodze stanęła, przebacz pan, lecz mniemam, że wszelka dalsza gadanina zbyteczną, obierz pan sekundanta i przyszlij do mnie, rzecz się cała w trzech słowach ułoży.

Niczego więcéj honorowo na ten raz wymagać nie mogłem; przecież gdy wróciwszy do domu zastanowiłem się nad wyborem sekundanta, rozpacz ogarnęła znowu; jak wspomniałem, z nikim przez ciąg mego pobytu w Warszawie,

bliższych niezawiązałem stosunków; nadto, któżby chciał sekundować człowiekowi zhańbionemu publicznie jakim właśnie byłem? gorące łzy też oblewały policzki, straszne zwątlenie opadło, niezosławało mi nic innego, jak nienawistnemu życiu koniec położyć.

Właśnie gdy ta myśl coraz więcej wzburzonej wyobraźni śmiała się, gdy tłumiła wszystkie dobre zasady religji i rozsądku, drzwi się otwarły i wszedł Skarbnik. Blady był i znękany równie jak wczoraj, ale w oku nie gniew, lecz jaśniała litość, pożałowanie....

—Panie Ł* chciej mi odpowiedzieć szczerze i bez ogródek na trzy pytania. Naprzód: jest że prawdą nieszczęsne zdarzenie mające miejsce w twym domu?

—Tak, wszystko prawda! byłem występnym, zbrodniarzem i słusznie teraz hańba moim udziałem!

Wzdrygnął się starzec, blade policzki zarumieniły się sromem i gniewem, powściągnął się przecież i badał dalej:

—Nadszedłeś, jak mówią ludzie, dom Wojewody...

—I to prawda.

—Mówią też i to, że odkryłeś tam rzeczy znacznie uniewinniające twój.... nieszczęsny występek. Jestże prawda to wszystko? Szambelan Trembecki nadużył twego zaufania, zdradził przyjaźń.

— Nie dla uniewinnienia siebie, lecz żeś żądał panie Skarbniku szczérej prawdy ode mnie, wyznać winienem, że tak jest istotnie.

—Lecz co cię skłoniło — do... przebacz... podłego i hańbiącego dzisiejszego postępku? nie sposób bowiem, dopuszczać nawet nieśmiem, aby chęć zysku kilku tysięcy, nieszczęsne łakomstwo, lub inna jaka podobna przyczyna, równie skalać mogła; nie sposób, abyś w ciągu kilku miesięcy upadł tak nisko, wygluzował z serca poczciwość, którą odznaczałeś się kiedyś zawsze.

Zacząłem się uniewinniać, lecz szczérej prawdy nie śmiałem wyznać, uważał to i przerwał:

—Na Boga, proszę cię! na pamięć twego ojca! wyznaj mi prawdę choćby najwięcéj boleśną,

zawsze mi ona będzie milszą od kłamstwa, choćby nie wiém jak ogradzającego i zasłaniającego występek...

Nię mogłem tedy wahać się, i od słowa do słowa wypowiedziałem wszystko co zaszło od wczoraj: moją rozpacz, gdym widział drogie mi istoty pogrążone w niedoli z méj winy, kroki jakie dla ich zbawienia przedsiębrałem, i wreszcie podły projekt, poddany przez Trembeckiego.

Starzec słuchał téj spowiedzi z uwagą, gdym skończył wyrzekł:

—Nie będę rozbierać twoich postępków, nieśmiem sądu dać o nich, przecież sumiennie wyznać muszę: twój grzech znacznie okoliczności zmniejszają, że zaś prawdę wyznałeś mam przeświadczenie zupełne. Nadto, i w tém przeświadczony jestem, że Trembecki winien najwięcej; on to napisał do Węgierskiego bilet, który odkrył twój postęp, wskazał w nim ułożenie kart, i metodę gry. Dowiedział się zaś o wszystkim od jednego z łotrów, których do pomocy użyłeś. Sam Węgierski mi to powiedział, opinja też zra-

zu jednomyślnie przeciw tobie oburzona, teraz znacznie łagodzić się zaczyna.

Pocieszyła ta wiadomość, starzec mówił dalej:

—Jednak, nie możesz poprzestać na téj zmianie, krew tylko zaspokoić choć w części świat może, wyzwałeś zdrajcę?

—Tak, lecz sekundanta nie mam, i nie wiém, gdzie znaleść, któż nim zechce być?

Starzec chwilę pomyślał, jakby rozważając co uczynić, wreszcie wyrzekł stanowczo:

—Ja nim będę.

I za kilka już minut udał się do Szambelana. Powróciwszy w pół godziny, wyraźnie był oburzony i gniewny.

—Ten człowiek rzeczywiście całkiem jest podły— wyrzekł.—Niedość, że zgubił twój honor, zniweczył szczęście całego życia, jeszcze pragnie i śmierć zadać. Zgadujeszże jaką broń obrał?

—Pistolety, jest w nich mocny.

—Tak, tyle już pojedynków odbył, a wszystkie szczęśliwie, o dziesięć kroków żąda się bić;

proponowałem karabele stanowczo odmówił. Zgadzaszże się na jego żądanie?

—Inaczéj być nie może.

—Lecz on mistrz na pistolety, gdy ty ile wiém, bardzo słabo strzelasz, zginiesz.

—I co mi po życiu, gdy ono splugawione, i hańbą okryte? śmierć mi rzeczywistém dobrodziejstwem będzie panie Skarbniku! bezwarunkowo przyjmuję wszystkie propozycje przeciwnika.

15.

Pojedynek i jego skutki.— Przenoszę się na Ukrainę.

Pojedynki w tamtych czasach nie odbywały się równie cicho, lecz też i równie bezkrwawo jak teraz. Prócz sekundantów, było mnóstwo świadków, stosownie do tego jak bijący się byli więcéj znakomici osobiście, lub też gdy ich zajście narobiło hałasu. Niejednokrotnie nawet damy były widzami boju; musiały one wszędzie się mięszać, do polityki ogólnéj intryg i swarów potocznego życia, biegły na sądy, przyglądały się exekucjom winowajców, wszędzie ich znalazłeś

wyjąwszy tam, gdzie się powinny były znajdować: w domowéj ustroni, zakrzątnione gospodarstwem, lub wychowaniem dzieci, i w kościele, zajęte modlitwą.

Mój pojedynek z Trembeckim nie obszedł się także bez podobnych widzów. Jego powody stały się wiadomemi powszechnie, owszem nowiny Skarbnika były prawdziwe, znano mniéj więcéj szlachetną przyczynę mojego błędu; nadto młodość i ciężkie strapienia uniewinniały. Według opinji powszechnéj, mniéj byłem winny niż nieszczęśliwym. Oskarżano Trembeckiego o zdradę przyjaźni, o podłość zwiedzenia i pogrążenia w niedoli. Wojewodziankę potępiano jako kokietkę, istotę bez serca i prawości w postępowaniu. Po raz może pierwszy w owych czasach, opinja niezważając na stosunki i znaczenie występnych, oświadczyła się przeciw nim stanowczo.

Jednakże lekceważąc i wyzywając tę opinję Wojewodzianka ośmieliła się pokazać na pojedynku. Przyjechała konno, jéj spójrzenia były dumne, uśmiech szyderski wił na ustach, to pogorszyło jéj sprawę, i jeśli miałem jaką pocie-

chę w owej chwili, to tę, żem widział jak nawet ludzie najwięcéj lgnący do blasku, bijący czołem potędze i modzie, stronili od niéj podzielając oburzenie powszechne.

A i Trembecki nie był lepiéj traktowany. Spóźnił się nieco na plac i przyjęty został szmerem, niezadowolnienia a nawet urągania. To go widocznie rozgniewało. Po raz piérwszy, jak późniéj sam utrzymywał, stracił konieczną w podobnym wypadku zimną krew i cierpliwość, jego ręka widocznie drżała ujmując pistolet, wykrzyknął zwracając się do mnie:

— Będziemy się bili do śmiertelnéj rany! zdaje mi się niepowinieneś być pan od tego.

— Całkowicie zgadzam się z życzeniem pańskiém— chłodno odpowiém — możemy tedy rozpocząć.

Byłem przecież prawie pewny śmierci: naprzód znałem zręczność przeciwnika, potém bardzo źle sam strzelałem i z natury miałem tak krótki wzrok, że z trudnością mogłem dopatrywać na kilka kroków odległe przedmioty. Cóż-

kolwiek bądź, poleciwszy się boskiej opiece, byłem tak spokojny o swój los, ile tylko być można.

Sekundanci podawszy nam pistolety, na swych miejscach stanęli. Widzowie umieścili się przy nich. Dano wreszcie hasło i wystrzał zabrzmiał. Kula swisnęła wprawdzie tuż przy mej głowie, ale chybiła. Trembecki był także niedotknięty, rzucił przecież pistolet na ziemię i wykrzyknął z nietajonym gniewem:

—Cdybym wierzył w czary, przekonany byłbym, że one mają tu miejsce! chybić na dziesięć kroków! toż niezgrabność niedouwierzenia! wstyd dla mnie! lecz niestracona jeszcze nadzieja, wszakże pan wznowisz walkę?

—Ma się rozumieć— odpowiem— i chętnie uczynię.

Wmięszali się przecież sekundanci i widzowie, odwodzić od powtórzenia walki zaczęli; według nich opinja zaspokojoną została; nie tak mniemałem.

—Moje sumienie i honor— wyrzekłem stanowczo— nie mają zadość uczynienia, i mój błąd zbyt wielkim i postępki mego przeciwnika zbyt

były zdrożnemi, aby krew jednego z nas, nie miała popłynąć.

To oświadczenie przyjęto powszechnym poklaskiem. Uważano niezręczność i brak wprawy w strzelaniu, lecz podziwiano odwagę narażenia życia.

Powtórnie tedy podano nam pistolety, i powtórny rozległ się wystrzał. Ten był zgubny dla mnie. Rzeczywiście Trembecki odzyskawszy nieco zimną krew, i podwoiwszy uwagę, lepiéj celował, kula jego pistoletu przeszywszy mi ramię, pogrążyła się w piersi.

Wykrzyk przestrachu i zgrozy jednomyślnie wydali wszyscy przytomni. Poskoczono do mnie, lecz już ni widzieć zajęcia się mną, ni słyszéć ubolewań ni słów pociechy nie mogłem. Owładnęła dziwna niemoc, zemdlenie. Upadłem własną krwią zbroczony na ziemię; jak przez sen tylko przypominam sobie, żem widział jedną z niewiast przystępującą do mnie z uśmiechem szyderskim na ustach, z promieniącém rozkoszą zemsty okiem, i drugą.... oblaną łzami, drżącą

łkającą, tą drugą niewiastą była Hanna, pierwszą Wojewodzianka...

Nieskończyłem jednak życia. Rana jakkolwiek niebezpieczna, niepokazała się śmiertelną. Dzięki staraniu biegłych lekarzy, a nadewszystko opiece Skarbnika, po sześciu miesięcach cierpienia wróciłem do zdrowia.

Nie byłem jednakże szczęśliwy. Niespokojność o los własny, a nadewszystko o los tyle mi drogich istot jak Skarbnika i Hanny, niepokoił, dręczył i przedłużał chorobę. Daremnemi były wszystkie pociechy poczciwego starca: uspokoić mię nie mogły; czułem się nazbyt występnym abym łatwo pociechę znalazł.

Wreszcie, jak wspomniałem, przyszedłem całkowicie do zdrowia, na to tylko jak się zdawało, oczekiwał Skarbnik, i zaczął badać co myślę na przyszłość przedsięwziąść.

Trudnem było do zaspokojenia pytanie, dawny przecież zamiar udania się do Ameryki, nasunął się znowu wyobraźni, odpowiem:

—Gdybym nie był związany obowiązkami wdzięczności i długu z wami panie Skarbniku,

opuściłbym kraj, i przewiozłbym się w zupełnie obce strony, a najchętniéj do Ameryki. Może też Bóg zlitowałby się nad mojém cierpieniem, i pozwolił ciężkie błędy młodości odpokutować krwią w dobréj sprawie rozlaną.

Ten projekt, dość się podobał starcowi, przecież gdy w kilka godzin odwiedził mnie znowu, całkiem innego był zdania.

— Zastanowiwszy się nad twym zamiarem panie Albercie — mówił — widzę w nim mnóstwo niedogodności, na które niezważałem zrazu. A naprzód: niegodzi się porzucać domowéj zagrody, wylewać krew swą za obcych, gdy swoi mogą jéj żądać; potém, obowiązki honoru zatrzymują tutaj. Rozpatrzywszy się w twych interessach, widzę, że choć straciłeś fortunę ziemską, jeszcze niejakie pozostały długi, winieneś je zaspokoić.

— Masz słuszność w tym względzie panie Skarbniku, najświętszém zaś jest dla mnie dług jaki zaciągnąłem u ciebie i Hanny. Lecz — dodam z rozpaczą — jestże nadzieja, abym się mógł kiedybądź uiścić? przy najusilniejszéj i najdłuższéj

pracy, czy zdołam zebrać potrzebną summę? straciłem ją przecież w ciągu kilku miesięcy!...

—Nie trać nadziei i w Bogu miej ufność; przedewszystkiem zaś trzeba ci wiedzieć, że moja należność niepowinna zbyt sumieniowi dokuczać. Nie jesteśmy tyle potrzebni jak się zrazu zdawało, litościwy Bóg dopomógł: jedna z dalekich krewnych Podkomorzyna Z* upodobała sobie Hannę, dzięki jéj zapisowi testamentowemu, możemy żyć spokojni o przyszłość.

Niewypowiedzianie ucieszyła mię ta nowina. Starzec dodał:

—Idzie więc tylko o zaspokojenie drobniejszych właścicieli, a do tego podam ci środek. Jedna z moich znajomych, bogata na Ukrainie dziedziczka, potrzebuje do urządzenia swoich tamecznych majątków plenipotenta. Chceszże przyjąć ten obowiązek na siebie? nie oznacza płacy, lecz ofiaruje dziesiąty grosz dochodów; kontrakt dziś jeszcze możesz zawrzeć, a jutro o tym czasie możesz być w drodze; przy pracy, pilności i statku, Bóg niewątpliwie dopomoże, i uiścisz się

z długów i owszem po latach kilku, możesz zabeśpieczyć twą przyszłość.

Z całego serca podziękowałem szlachetnemu protektorowi i udałem się do wzmiankowanéj właścicielki. Była to osoba młoda jeszcze, przystojna, czarnobrewa i czarnooka. Przyjęła mnie chętnie, umowa i warunki były niezwłocznie ułożone i rzeczywiście, gdy interessa gospodarskie pani M* tego wymagały, już nazajutrz puściłem się w drogę...

Poprzednio przecież chciałem widzieć się z Hanną, żądać jéj przebaczenia i pożegnać może na wieki. Lecz gdym tę chęć oświadczył Skarbnikowi, wyrzekł z niejakim kłopotem:

—Potém co zaszło między wami, sądzę że podobne zejście się zbytecznem byłoby. Odłóż je do lepszych czasów i okoliczności; na ten raz przestań na tym, że ci przezemnie pożegnanie i szczére swoje życzenia przesyła. Nadto, przyjmij drobną pamiątkę, która być może przyniesie ci szczęście.

Sięgnął zanadrze i wydobył mały krzyżyk na złotym łańcuszku; znałem go dobrze, jako poda-

runek matki drogim był Hannie, nosiła go zawsze na piersiach.

Ten dowód życzliwości, podobnie cenna ofiara, żywo wzruszyły serce; przycisnąłem do ust drogą pamiątkę i przysiągłem na wizerunek zbawiciela, którym był ozdobiony, że godnym odtąd będę względów dawczyni i ostrzegę się od tych wad, któremi niedawno płochość, namiętność i podstęp, kazały się zbrukać.

Przybywszy na Ukrainę, gorliwie wziąłem się do pracy; obszerne zaś pole do działania miałem. Gospodarstwo było rozległe, lecz zaniedbane, dochody znaczne wprawdzie, lecz i w dziesiątej części nieodpowiednie realnej wartości majątku; trzeba było do gruntu wszystko zmieniać, porządkować i stwarzać niejako.

Gdy człowiek pracuje, Bóg mu pomaga, mówi stare przysłowie, tak było teraz. Już w pierwszym kwartale, dziesiąta część dochodów, która dla mnie przypadła, przeszło półtora tysiąca tynfów wynosiła, niepłonną zaś miałem nadzieję, że znacznie powiększoną w następstwie zostanie.

Zyskaną zaś summę prawie całą, na rachunek moich długów Skarbnikowi przesłałem. Odpowiedział mi uprzejmym listem zachęcającym do dalszéj pracy i wytrwania w poczciwych zamysłach, dołączył też kilka nowin o Hannie: była zdrowa, moje powodzenie cieszyło ją, przesyłała swoje życzenia, i jak on, miała nadzieję, że moja przyszłość będzie szczęśliwszą niż sam mniemałem. Jedyną też rozrywką te listy i wiadomości o drogich sercu osobach były dla mnie w odosóbnieniu w jakiém obecnie żyłem; skazałem się bowiem dobrowolnie na nic, uważając jako pokutę za usterki burzliwego życia. Dla tego też chociaż ten i ów z sąsiednich obywateli i moich kolegów, gubernatorów i plenipotentów obszérnych tamecznych majątków zapraszał, unikałem znajomości i wszelkich rozrywek, poczytano też za dziwaka, ogłoszono za człowieka bez wychowania, hreczkosieja i dbającego tylko o zysk. Mało na te sądy zważałem, moje szczęście i przyszłość bynajmniéj od nich niezależała.

W podobny sposób czas biegł. Trzy kwartały upłynęły, na początku czwartego przybyła

moja dziedziczka, oświadczając, że do końca jesieni chce mieszkać na wsi, i to było mi obojętną rzeczą szczerze i uczciwie pracując, nie obawiałem się dozoru Pryncypała; nie miałem bowiem sobie nic do zarzutu, co się często przytrafia rządzcom pańskich majątków.

Pobyt jednak na wsi dziedziczki zmienił znacznie tryb mego życia. Nie mogłem już jak niegdyś być samotnym, z sąsiadów ten i ów przyjeżdżał, pani też lubiła towarzystwo, trzeba było rad nie rad, je podzielać, robić honory domu, zapoznawać się z różnemi osobami. Wkrótce inne przybyły obowiązki, zaczęły się słoty i długie jesienne wieczory, dla złych dróg nie można wyjeżdżać z domu, pani się nudziła, musiałem częstszym niż kiedy być gościem w pałacu, zapraszano na obiady, kolacje, wieczorami musiałem bawić czytaniem, rozmową, grą w karty i muzyką.

Przyznać jednak muszę towarzystwo pani M* nie było mi niemiłem, a dla kogo innego, mogło być i zajmującém. Wspomniałem już, że była młodą i piękną, lecz i inne zalety wabiły:

umysł jéj był jak rzadko ukształcony, wiadomości obszerne, wychowanie bardzo staranne, żyła też długo w świecie i w najlepszych towarzystwach nie tylko Warszawskich, lecz i zagranicznych, mogła się podobać i być kochaną.

O kochaniu przecież niemyślałem wcale; te, którym uległem w mém życiu, były obydwa nieszczęśliwe, jedno niepodzielane, drugie zdradzone. Nadto, gdym tego się wyrzekł, jako niegodném siebie pogardził, piérwsze, upominało się o swe prawa, zajmowało z większą niż kiedy potęgą serce. Przysiągłem sobie, że wiernym Hannie zostanę, że żadna inna niewiasta nie będzie moją żoną, ani nie pozyska serca.

Pani M* znała w części dzieje mego życia, kilkakrotnie dała to do zrozumienia, kilkanaście razy mówiła i o Hannie; wtedy słuchałem jéj z większym niż kiedy bądź zajęciem, uważała to i prześladowała żartując.

Po niejakim przecież czasie zmienił się znacznie jéj humor, z wesołéj i mównéj stała się milczącą i posępną, zdrowie też zaczęło dokuczać; poradziłem przejażdżkę do Kijowa, zgo-

dziła się na to, prosząc, abym naprzód pojechał dla urządzenia mieszkania i podwód.

Moja wycieczka trwała dwa tygodnie, gdym wrócił oświadczono, że jacyś goście z Mazowsza przybyli do pałacu. Nie umiano przecież oznaczyć ich nazwisk, mówiono tylko, że są blizkiemi krewnemi i przyjaciółmi dziedziczki.

—Gdym przyszedł dla złożenia jéj relacji z podróży, przyjęła uprzejmie jak zwykle, w oku znać było zadowolnienie, zdrowie w części wróciło, mówiła:

—Bardzo się cieszę z pośpiechu i wypadku pańskich starań; przecież nie opuszczę wsi tak prędko jak mniemałam; parę tygodni przynajmniéj zostanę jeszcze tutaj, trzeba ci wiedzieć, mam gości, dobrego przyjaciela a nawet dobroczyńcę i opiekuna, i krewnę, bardzo piękną a miłą mi osobę, szkoda, że ich poznać dzisiaj nie możesz, chcą odpocząć po drodze, lecz jutro rzecz inna.

Mało mnie obchodziło, kiedy zejdę się z temi osobami niezawodnie zupełnie mi obcemi, owszem rad byłem z ich przybycia, bo zyski-

wałem codziennie kilka godzin czasu, potrzebowałem go zaś szczególniej na to, że rok mojego zarządu majątkiem skończył się, i chciałem złożyć rachunki.

Gdym o tém wspomniał pani M*, wyrzekła wesoło:

—Drogi panie Ł* bardzo mało znam się na interessach i wyznam ci nie lubię zajmować się niemi. Skarbnik zarekomendował mi ciebie, jako człowieka honorowego i szlachetnego, widzę sama, że jesteś takim: oszczędź tedy sobie pracy układania rejestrów, a mnie mozołu ich czytania. Jedną tylko rzecz pojmę dokładnie, w ogół czystego dochodu; bądź tedy łaskaw, z podobną relacją dziś wieczór przyjdź do mnie; ułatwiwszy się z gośćmi, znajdę kilka chwil wolnego czasu, aby obszerniej o interessach pomówić. Czekam cię tedy z wieczerzą i herbatą.

Stosownie do tego życzenia, niezaniedbałem stawić się na termin. Pani M* już czekała na mnie, była zaś ubraną staranniej niż zwykle, i gdybym choć trochę był zarozumiałym, powie-

działbym, że i z kokieterją; gdym zaś podał summę czystego dochodu, wykrzyknęła radośnie:

—Ależ to prawie dwa razy tyle ile miałam, którego bądź z lat zeszłych! co mi więcéj słuchać! doprawdy panie Ł*, stajesz się dobrodziejem moim, bo i pieniądze dajesz i poddanych w rygorze trzymając dbasz o ich dobry byt. Jakże i czémże, mogę ci wynagrodzić?

Pochwała pani i jéj zadowolnienie są mi największą nagrodą.

—Niezaszkodzi przecież inną. i doprawdy czemuż jéj niemam poszukać? jesteś bezżenny, a młody, to źle....

—Uśmiechnąłem się— młodym prędzéj lub późniéj przestanę być, lecz z bezżennością inna rzecz, téj mniemam nieopuszczę nigdy...

—Pozwól, że będę wątpić; i doprawdy mam partję dla ciebie. Naprzód, panna piekna, istny anioł! a dobra! niepojmujesz...

—Ważna to zaleta.

—Rozumu też nie mało, wychowanie jak najlepsze, charakterjalne i piękne.

— Rzeczywiście jakiegoś Feniksa wynalazłaś pani.

— Istotnie że Feniks! bo i urodzenie dobre i związki familijne obszérne, prócz tego posag.

— Przyznam pani, że zacząłem lękać się czy ten ósmy cud świata posiadać go będzie, z tylu powyżéj wspomnionemi zaletami zwykle się on nie łączy.

— To jest inaczéj, bo i gotówka i majątek ziemski gotowe, wieś dziedziczna choć mała, lecz w dobrych gruntach; nadto trzy świéżo kupione, i prócz tego z zapisu staréj wspólnéj naszéj kuzynki osiemdziesiąt tysięcy i wyprawa...

— Jakże się to stało, że przy tylu zaletach owa panna dotąd jeszcze wolną? adoratorowie powinni się znaleść.

— Byli też, jeden szczególniéj przez lat parę starał się, lecz jakoś nieprzypadli do gustu.

— Ja zapewno równie będę nieszczęśliwym.

— Warto sprobować. Mam wpływ na moją kuzynkę, dopomódz mogę, swaty zaś i ślub prędko i bez mozołu dla pana odbyć się mogą, gdyż panna znajduje się od wczoraj w tym domu.

Doprawdy, chęć bierze dziś jeszcze z nią cię zapoznać.

—Jutro myślę, dość czasu będzie.

—Mówisz pan tonem i w sposób jakbyś pogardzał mojemi swatami, jestże to na serjo?

—Jeżeli na serjo pytasz się pani, odpowiem podobnie: znasz moje uczucia, zmienić ich nie myślę, dość już surowo ukarany zostałem będąc im przez czas jakiś niewiernym.

—Źle trafiłeś, w tém całe twoje nieszczęście. Nie odrzekaj się przecież, jeszcze serce bić może dla innej miłości. Wszakże zmiana jest charakterem ludzi, na twojém miejscu, nie gardziłabym pomyślnym losem jaki sam do rąk się garnie.

—Uczynię to jednak i bez wahania się, przypuszczając, że pani nie żartujesz.

—Przysięgam ci na pamięć mojéj matki, że mówię jak najwięcéj serjo, że chętnie ustalić pragnęłabym twą przyszłość... ależ— doda jąkając się i rumieniąc trochę— nie jedna to partja, jaką mam dla pana, znajdzie się jeszcze i druga.

—Rzeczywiście w kłopot wprowadzasz mnie pani...

—Co do tej drugiej partji— przerwano mi— z góry zapowiadam, że gdy w pewnych względach niewyrównywa pierwszéj, nie jest przecież do odrzucenia... chceszże pan znać szczegóły?

Mówi żartując, lecz przecie jéj głos dziwnie drży, i oko błyszczy podwójnym blaskiem, niepojmuję przyczyny, ale odpowiadam na pytanie:

—Chociaż smutno mi będzie wiedzieć co tracę, przecież gdy ciekawość pobudza, jeśli taka wola pani, chętnie objaśnień posłucham.

—Dam je w téj chwili, i ile będzie można, najdokładniejsze. Naprzód, trzeba panu wiedzieć: ta druga osoba, którą ci przedstawiam, nie panna lecz wdowa, nie wiem zaś czy jesteś za wdowami...

—Jeżeli jednoczą w sobie przymioty, które są koniecznemi dla człowieka z rozsądkiem i szukającego szczęścia w domowem pożyciu, czemużbym miał być przeciwnym? owszem i inne jeszcze znalazłbym powody...

—Wysłuchaj tedy: czy wdowa, którą ci przeznaczam, posiada zalety, jakich pragniesz i czy będzie szczęśliwszą od méj kuzynki: naprzód nie stara.

—Definicja pani dosyć nieoznaczona.

—Lat dwadzieścia pięć.

—Niewiele owszem, mogłabyś pani dać zaletę młodości.

—Niech będzie jak chcesz; powtóre nie brzydka.

—Nikt z mężczyzn nie gniewa się, jeśli podobną żonę dostanie.

—Potrzecie: posiada dość piękny majątek, i niemając dzieci, jest jego samowładną panią. Dodać zaś powinnam, że nie może z tém majątkiem dać sobie rady, i chętnie oddałaby jego zarząd mężowi.

—Punkt ważny istotnie.

—A więc tę wdowę.... przyjąłbyś?...

—Przebacz pani, dać stanowczéj odpowiedzi nie mogę jeszcze... nic bowiem nie wspomniałaś o najważniejszéj rzeczy dla małżonka: rozumie, charakterze, wychowaniu...

—Wprowadzasz mnie pan w istotny kłopot, nie wiem jaką dać opinję, postaram się przecież; co do charakteru, trochę płochy jak wszystkich niewiast, lecz sumiennie muszę wyznać, nie zły... potrafiłaby kochać i umie być wierną; są kaprysy, uprzedzenia, lecz jest i dobra strona: nie umie naprzykład gniewać się serjo i długo, nie jest ni podejrzliwą, ni zazdrośną, chciałaby miłości od męża, lecz przebaczy łatwo jego usterki; posiadając nieco doświadczenia, za pozorem nie goni, lecz na serce pogląda i rzeczywistości pragnie.

—Istotnie zachęcasz pani do jéj poznania; lecz jakże jest z wychowaniem? z rozumem?

—Wychowanie jakie takie, lecz czytała dużo i zna świat; rozum nie szczególny, nauka nie obszerna, jednak nie można nazwać jéj ni ograniczoną, ni bez wiadomości. Zresztą mąż z taktem i prawdziwém ukształceniem może uzupełnić niedostatek.

—Tyle zalet, przywodzą o rozpacz, że ich nie mogę widzieć w mojéj żonie.

—Ależ cytowałam i wady, i prócz przytoczonych więcéj mogę naliczyć, naprzykład: piękność nie szczególna, a przynajmniéj wieleby jéj można zarzucić: przy urodzie mojéj kuzynki gaśnie, jak światło świécy przy blasku księżyca.

—Piękność żony nie stanowi szczęścia męża.

—Do tego, nie lubi gospodarstwa, utrapieniem dla niéj wglądać, co się dzieje w majątku, domem nawet nie potrafi zarządzić, kto chce może oszukać.

—Obowiązkiem męża ten niedostatek w charakterze zastąpić.

—Dla tego też, jak to już powiedziałam panu, myśli o powtórnych małżeńskich związkach. Nadto, a i to wada ogromna w kobiecie, nie lubi i nie umie ukrywać co myśli, a szczérość jak nie raz wprowadziła ją w labirynt kłopotów, tak jeszcze wprowadzić może, gotowa nawet niedorzeczność popełnić, aby powiedzieć prawdę; nie lęka się opinji świata, gdy jest przekonaną, że działa stosownie do tego, jak jéj rozum i serce nakazują. Mogę o tém zaraz przekonać pana.

—Pani?

—Tak, ja bowiem sama jestem wzmiankowaną wdową.

Mówi ciągle żartując, lecz z oka i z tonu głosu widać, że w żarcie pół przynajmniej ukrywa się prawdy; ostatnie nadewszystko wyrazy wypowie w ten sposób, że wiele do myślenia mi daje. Wolę jednak, uważać wszystko co rzekła, za chęć zabawy, niżeli za rzecz traktowaną serjo; pomięsza przecież me plany, bo gdym dał stosowną odpowiedź; porzuca ton żartobliwy, a mówi:

—Panie Ł*, dziwaczną, niestosowną, a może i niedorzeczną wyda ci się moja szczerość, przecież wyznać ci muszę, powiedziałam najświętszą prawdę. Niewiele cię znam, lecz dosyć, aby ocenić twój charakter, i widzieć, że z mężem jak pan, mogłabym stać się szczęśliwą. Wyspowiadałam też, z najzupełniejszą otwartością, mój charakter, zalety i wady, ufając, że ta nasza rozmowa tajemnicą zostanie dla świata. Proszę daj mi odpowiedź jaką ci podyktuje rozsądek i

serce... nie wahaj się zaś... nie rozgniewam się bynajmniéj, gdy dasz odmówną, owszem twoja szczérość zyska ci przyjaciółkę dozgonną i wierną...

Postępek pani M*, jéj otwartość i śmiałość, których przecie nie można niedorzecznemi, ani przesadzonemi nazwać, żywo zajmą, a nawet wzruszą serce. Dodać też winienem, że i jéj piękność wabi, i majątek zapewnia przyszłość; znam też dowcip, rozum i dobroć, rzeczywiście miałbym żonę łączącą w sobie zalety Wojewodzianki i Hanny, bez wad piérwszéj i oziębłości drugiéj. Waham się tedy coby uczynić: pokusa wielka, lecz ją jednak wkrótce przezwyciężyć umiem.

—Pani! — rzeknę— niepojmujesz ile twoja dobroć, twe względy i wreszcie szczérość drogiemi są sercu. Bóg widzi, że umiem czuć je i oceniać jak przynależy; chciéj też wierzyć, że gwałt jaki w téj chwili zadać sobie muszę, do najtrudniejszych położyć mogę, jakie kiedy zadać moim uczuciom musiałem, ale sumienie, serce, honor nakazują mi wyznać...

—Dość, dość!— przerwie mi z uśmiechem, lecz głosem, w którym przy udanéj wesołości, przebija cóś z smutku, i niezadowolnienia zawiedzionéj nadziei— powiedziałam na wstępie panu, że nie rozgniewa odmowa, że ją przyjmę jako więcéj jeden dowód z twéj strony szczérości i zaufania... jednak jestem kobiétą, pamiętaj o tém, chociaż wiemy, że niepodobną...

I doda po chwili:

—Jednakże musisz pan wiedzieć, że koniecznie, i to jeszcze w tym tygodniu, ożenić się muszę; dałam na to słowo mojéj kuzynce, przyrzekłam, że albo mnie lub ją koniecznie musisz nazwać żoną, czego zaś pragnę, jako kobiéta pragnę silnie. Przygotuj się tedy do wesela, ot w przyszły czwartek moje imieniny, skończyć możesz wszystko, dzień ten podwójnie odtąd będzie mi drogi.

Uśmiéchnąłem się— przebacz pani! jakkolwiek twoja wola zawsze prawem jest dla mnie, w tym razie nie mogę jéj uczynić zadość.

—Zastanów się co mówisz, będziesz żałował...

—Czy mniemasz pani, że po ofierze jaką przed chwilą dawnym moim uczuciom złożyłem, teraźniejsza może być mi wielką?

—Nieznasz przecie mojéj kuzynki, a gdy poznasz, ręczę co innego utrzymywać będziesz. Wspomniałam ci już, że pod każdym względem w piękności, dowcipie, charakterze, ustąpić jéj muszę. Chceszże się przekonać, chceszże założyć się ze mną? ja utrzymuję, że gdy ją ujrzysz, pomimo twych wspomnień i dawnych uczuć, będziesz w téj saméj minucie u jéj nóg, będziesz błagał o miłość, którą teraz tak stanowczo odrzucasz.

Uśmiechnąłem się z powątpiewaniem. Klasnęła ręką o rękę, był to zapewne znak umówiony, drzwi się otworzyły, i miała słuszność: żony jaką dawała teraz, odrzucać nie mogłem! weszła Hanna z Skarbnikiem.

—I co mam powiedzieć wam daléj? Ślub mój odbył się rzeczywiście w kilka dni później, a

wszystko co pani M* mówiła, było prawdą. Dzięki zapisowi Podkomorzyny Z* Hanna znaczny posiadała majątek. I mój rodzinny Nasiegniew i jej ojczyste Łącko wykupionem było; lecz mało mnie to obchodziło w owej chwili, inna rzecz radowała stokrotnie więcej! byłem kochany i nietylko teraz, lecz ciągle od pierwszej chwili poznania. Jej obojętność udaniem tylko była: poczciwa, nie chciała przeszkadzać swoją miłością w zawarciu innych więcej korzystnych związków, srogi gwałt zadawała sercu, aby może szczęście zapewnić.

A pięćdziesiąt lat z okładem, przeżyliśmy wspólnie. Przez ten długi czas, ani raz jeden nie mogłem się skarżyć na zawiedzioną nadzieję domowego szczęścia. Przecież, ciężkie to były lata! niejednokrotnie srogo los siepał! a w jaki sposób, nie będę wam tłómaczył. Znacie wszyscy nieszczęsne wypadki końca upłynionego i początku niniejszego stolecia. W tych wypadkach brałem udział: majątek cierpiał, tułactwo dokuczało i sroższe dla serca ofiary były. Z trzech synów jeden poległ pod murami Mantui, drugi pod Sa-

mo-Sierra... cierpiałem wiele, cierpiała i Hanna, lecz wszystkie dolęgliwości umiała znieść mężkim duchem, owszem dodawała mnie zwątlonemu odwagi, w najtrudniejszych wypadkach wskazywała prawdziwą drogę honoru—obowiązku sumienia.

Poczciwy Skarbnik lat kilkanaście jeszcze na nasze szczęście spoglądał, a piastując hoże i ładne wnuki, rad prawił:

—Pamiętajcie dziatki i niech to wam będzie prawidłem na przyszłość, że człowiek nie może cieszyć się szczęściem, jeśli go nie oprze na poczciwości i prawości postępowania; wszelkie inne drogi są mylne, mogą wprawdzie dać blask, majątek, znaczenie, lecz prędzej lub późuiej przyprowadzą o zgubę; pamiętajcie, gdy dorośniecie i na to, że umiarkowanie w życzeniach, prawdziwą jest podstawą domowego zadowolnienia; nie pnijcie się tedy nigdy nad fortunę, nie szukajcie, dobra lecz uboga szlachta, z magnatami związku; każdy niech na swojem przestaje: źle wyszła kukawka, stara bajka powiada, co zaślubiła sokoła.

I że starzec w każdym punkcie miał słuszność, mógłbym dowieść dziejami życia osób do méj powieści wchodzących. Tak *np.* Trembecki mimo wysokiego talentu i rzeczywistéj bystrości umysłu nie tylko, że ręki Wojewodzianki nie otrzymał, resztę dni swoich aż do późnéj starości wiódł jeśli nie w niedostatku, to na łasce osób, których względy często były cierpkie, a zawsze niezaszczytne. Wojewodzianka wyszła wprawdzie za mąż, lecz ni ten mąż, ni ona szczęśliwemi nie byli; on powiększył liczbę zawiedzionych małżonków, ona tę klassę istot, które są zakałem rodzaju ludzkiego, które ściga wstyd i niebłogosławieństwo boskie. Przy końcu życia, a nie było długie, straciła majątek i umarła prawie w nędzy, z dawnego blasku nie zachowawszy jak tylko gorzkie wspominki błędów i wyrzuty sumienia!

Uprzedził zaś ją o lat kilka Wojewoda. Z zmianą okoliczności, stracił zasoby, któremi podtrzymywał fortunę marnotrawstwem rujnowaną, i gdy oddawna poczciwi, wtedy wyparli się goli, którzy dotąd korzystali z usterek jego cha-

rakteru. Poznał po niewczasie, co zawsze utrzymywał Skarbnik, że jedna tylko droga cnoty daje szczęście, i że wszystkie inne, choćby pozornie najpiękniejsze, wiodą do zguby, najskorzéj zaś ta, która ma za cel wyłącznie własne dobro, za podstawę podłość.

rakteru. Poznat [illegible], co [illegible] u
[illegible] tylko [illegible]
[illegible]
[illegible]
[illegible] nie [illegible]
[illegible], w [illegible] porządku.

II.

ZWIERCIADŁO TWARDOWSKIEGO.

DYKTERYJKA.

I.

Otóż mam przed sobą cudowne zwierciadło.

Nieznacie go, winienem opisać.

Niewielkie, metalowe, trochę zaśniedzione przez czas, ramki czarne z nieznanego mi drzewa, u wierzchu herb dawnego właściciela *Korwin*.

Korwin, powiedziawszy nawiasem, zwał się niegdyś Ślepowronem, i ozdabiał sztandary mnogiéj drużyny Mazowieckiéj szlachty, gdy ta wstępnym bojem gniotła najezdnicze tłumy dziczy łotewskiéj i krzyżaków, gdy pod wodzą Krystyna wywalczyła chlubne Zawichostskie zwycięztwo; a poprzednio pod Krzywoustym, w dzisiejszéj

Pomeranji i Meklemburgu, wznosiła swoją tryumfalną piosenkę:

«*Boga rodzico!...*

Z upływem wieków, Ślepowron zmienił się w Korwina, jak Pierzchała w Kolonnę, a Rogala w Biberstejna, niektórym panom i półpanom toherbowym nie chciało się z bracią szlachtą żyć i kumać, szukali odznaki i pokrewieństwa między obcymi, wprawdzie odznaką się nie odznaczyli, pokrewieństwem niespokrewnili, ale dogodzili swéj pysze i bucie.

Pan Bóg im przebacz!

Lecz wróćmy do zwierciadła.

Nie wielkie ono, ale cudownéj siły, dość wspomnieć, że jest dziełem Mistrza Twardowskiego.

A o Twardowskim któż u nas nie słyszał? Każde dziecko zna jego nazwisko: nasz Faust Polski, unieśmiertelnił się więcéj; przelał się więcéj w tradycje ludu, jak najpierwsi z bohatérów naszych Chodkiewicze, Zamojscy, Czarnieccy.

Nie dziwmy się temu, był potęgą ducha, gdy oni tylko potęgą miecza.

Wielki też to był istotnie człowiek. Wyrzec się nieba, piekło wyzwać do walki, poświęcić teraźniejszość, przedać przyszłość, a wszystko nie dla blasku obecnéj chwili, nie dla swego szczęścia lub pomyślności rodziny, nie dla użytku lub sławy, ale tylko dla zimnéj, często zwodnéj, a zwykle niewdzięcznéj wiedzy; to wiele, bardzo wiele! nie lada kto mógłby się na to zdobyć, a w tym ucywilizowanym wieku, któż?

Ja nie, i, może, nikt.

Największym nieprzyjacielem wielkości, bo najdzielniejszym hamulcem naszéj wyobrazni, nadmiaru sił i dzielności woli, jest rozsądek.

II.

Może chcecie wiedzieć, jakim sposobem cudowne mistrza zwierciadło, dostało się w moje ręce?

Oddawna już, bo od dwóch wieków, znajduje się w posiadaniu mojéj rodziny: jeden z moich naddziadów, wyznaniem Arjan, człowiek żelaznéj woli, ogromnéj świadomości i niepojętego

dla nas poświęcenia dla niéj, nabył go od szatana, w którego ręce popadło, gdy mistrz w karczmie pod Wieluniem Rzym zwanéj, w własne sieci zaplątał się, i słynnego *verbum nobile*, stał się ofiarą.

Nie pytajcie się zaś, za jaką cenę drogi towar sprzedał szatan; djabelskie układy, rzecz niebezpieczna i rzadko wychodząca na dobre.

Nie wiém także jaki użytek zrobił z nabytku mój naddziad, to wiém tylko, że całe życie był nieszczęśliwy, prześladowany w rodzinnym kraju, tułał się po całéj Europie, kołacząc do łaski jednych, do rozumu drugich, a wszędzie był odpychany, wzgardzony i potępiony, oto przykład:

Wygnanego od Jana Kazimierza z ojczyzny, dyssydenci wygnali z pomiędzy siebie z Niemiec, więziono w Francji, chciano żywcem spalić w Hiszpanji, w Szwecji wzięto na tortury, a w Turcji z trudnością uszedł morderczego pala.

Gdy umierał nędzą i pracą skołatany w Hollandji, przywołał syna jedynaka do siebie.

—Janie,— rzekł mu— ojczysty nasz majątek zniszczony i zgubiony na zawsze; poświęciłem

go dobru mojego wyznania i własnemu przeświadczeniu, sam nieuzbierałem nic, i za całą puściznę zostawiam ci te oto zwierciadło.

—Ależ cudowna siła zawarta w tym mało znaczącym na pozór sprzęcie, Mistrz Twardowski, wlał w niego wiedzę, poświęceniem własnéj duszy; więcéj niż miljony, niżli korony składam w twe ręce, gdy ci go daję, masz w niém przeszłość, obecność i przyszłość.

—Nie jestże to skarb nad skarby? rozmyśl sam.

I nauczywszy syna sposobu użycia daru, dodał:

—Pamiętaj jednak, że jak skarb fizyczny tak i moralny ma swoje niedogodności, że wiedza nie zawsze jest rękojmią szczęścia, że kto z nią serca nie złączy, lub nadziei nie wierzy, tylko nieszczęśliwym być może.

Pamiętaj i na to, że wiadomość broni, lecz nie pociesza, że kto chce użytkować, powinien jak pijak, delektować się nektarem nie pomnąc, że na spodku kielicha leży upojenie i zguba.

—Czemuż ja niezważałem na te wielkie prawdy?

—Dla tego synu, dając ci to zwierciadło, proszę aby, jeśli chcesz być szczęśliwym używałeś go wtedy tylko, gdy rozum dozwoli, i wierząc w jego siłę, abyś ufał nadziei i łasce; złuda może być szczęściem, lecz rzadko jest nim świadomość, a zawsze pociesza wiara w niepewność; wreszcie niech cię troska nie zraża, nasze życie jest tylko przejściem nie celem, a cierpienie jest dla nas tém, czém ogień dla kruszcu, oczyszczającym żywiołem, to cierpienie zmniejszać możliwie, powinno być zasadą mądrości, i w tém ci moje zwierciadło może dopomódz.

Mówił jeszcze długo w podobny sposób, a jego rady musiały być koniecznie dobre, bo były oparte na teorji i praktyce życia.

III.

Że rady umierającego ojca, nie padły na płonną ziemię, to może przekonać, iż mój naddziad długo wahał się, czy przyjąć puściznę.

Bo oględny był człowiek, do nauki mało pochopny, lecz rozważny i praktyczny, użytek tracił dla niego cały swój powab, gdy go trzeba było okupić długą pracą i mozołem, za blaskiem nie gonił, życie widział jasno i wolał wierzyć, niż łamać głowę czy dobrze wierzył.

Zamknąwszy oczy zmarłemu ojcu, ostatnią garść ziemi rzuciwszy na jego trumnę, że nic nie wiązało z Hollandją i współwiernemi, a do ojczyzny ciągnęły serce i rozum; niewiele sprzętów jakie posiadał zwinął w tłómoczek, tłómoczek zarzucił na plecy, i puścił się na los szczęścia ku wschodowi.

Szedł jak nędzarz o proszonym chlebie, nieskoro szedł za tém i niejednokrotnie głód i chłód srodze mu dokuczały. Peregrinował przez Niemcy, a niemcy jak wiémy nie odznaczają się hojnością, głodny może z głodu umrzeć, aby oni tylko sytemi byli.

Biédny mój pradziad zaszedł aż do Marchji, Odra już tylko oddzielała go od rodzinnéj ziemi; lecz Odra głęboka rzeka, a przewoźnicy nie chcieli darmo zabrać z sobą— *Schweinpole* mówili, niech

zapłaci podwójnie, *der ehrliche Deutsche* nie będzie się trudnił dla niego. Daremnie błagał miłosierdzia mój naddziad, nic niepomogło wyśmiano tylko jako głupca.

Klnąc nieczułych, a rozmyślając jakby przebyć rzekę, mój pradziad zaszedł do gospody, co stała niedaleko brzegu, wyświeżona, upiękniona i wyblichowana, niby kokietka oczekująca na zalotników.

—W gospodzie szum, hałas i wrzawa *die ehrliche Deutsche* kręcą się jak oparzeni, przed chwilą przybyło dwóch polskich grafów, a dla polskich grafów wszyscy spekulanci w piekło pójdą; wiedzą, że jeśli niekiedy po grzbiecie kijem dostaną, za to talarami naładują kieszeń.

Obaj polscy panowie byli ludzie w kwiecie wieku i siły; lecz różni postawą i urodą: jeden wysoki, pleczysty, przystojny, rycerskiej miny, tytułował się kasztelanicem, drugi średniego wzrostu, suchy i dość brzydki kanclerzycem.

Mój naddziad zaszedł im drogę i powitał łamanym polskim językiem.

—A wać kto jesteś taki?— zagadnął kasztelanic.

—Niezawodnie jaki drapichrust, włóczęga,— dopowiedział kanclerzyc.

Pradziad wyrecytował swe imię, hérb i nazwisko, zdziwiony kasztelanic zapytał:

—Lecz co Waść tu robisz? szlachcic mazurski w obcym kraju; i dodał poglądając na lichy ubiór tułacza.

—I jak uważam, nie w osobliwém szczęściu.

Pradziad opowiedział pokrótce historję swego życia i cel podróży, a zarazem prosił o wsparcie i ułatwienie przeprawy przez Odrę.

—Z chęcią uczynię wszystko czego żądasz— odpowiedziano łaskawie,— jesteś mój ziomek, a do tego brat szlachcic, grzechem byłoby opuścić w niedoli.

Zazyzował burem okiem kanclerzyc i szepnął towarzyszowi:

—Panie Janie, zastanów się co czynisz, przypomnij sobie kto jest ten człowiek.

—A i któż? taki jak ty lub ja i każdy inny.

—Nie ze wszystkiém, bo Arjan, a znasz pra-

wo: kto Arjanowi daje jakie bądź wsparcie, naraża się na bannicję, turmę i konfiskatę.

Kasztelanic zachmurzył czoło i brwi ściągnął; wyraźnie nie wiedział co począć, to jest: czy pójść za radą serca lub rozsądku, gdy mój pradziad widząc co zaszło przerwał:

—JWPanie! jeżeli tylko o religję rzecz idzie, cała sprawa da się łatwo ułożyć.

—Niełatwo,— przerwano,— jesteś potępiony statutem, wyklęty i wygnany raz na zawsze z rodzinnego kraju, choćbym pragnął, nie mogę dopomódz.

—Moja matka była katoliczką.

—Cóż z tego gdyś ty Arjan.

—Lecz katolikiem łatwo być mogę, owszem od tej chwili już nim jestem.

—Jak widzicie, mój pradziad trzymał się zasady Henryka IV. «*Paryż wart mszy.*"

IV.

Kasztelanic ucieszył się wielce, że o czem nie myślał, jedną zbłąkaną owieczkę nawrócił

na łono prawdziwego Kościoła, miał to sobie za chlubę przed Bogiem i ludźmi, kazał mego pradziada nakarmić, napoić i przyodziać, a mówił:

—Umieszczę Aści na moim dworze, jurgielt naznaczę i dopomogę ile będzie można, że z czasem na człowieka wyjdziesz; jesteś gracki z miny, i gdy pozor nie myli, dobrym żołnierzem być możesz.

—Ja myślę, że lepiéj byłoby biédaka na księdza promować, wtrącił kanclerzyc.

Roześmiał się towarzysz:

—*Per Baccho!* Panie Michale, jak sam siebie tak wszystkich radbyś w sutannę ustroić, nie pojmuję tego, ładna mi rzecz śpiewać godzinki lub antyfony, postem się trapić albo mizerować maceratą; nielepiejże jak na mężczyznę przystoi, konia dosiąść i krzyżową sztuką kiereszować czerepy Turków lub Szwedów?

—Każdy ma swoje widzimi się— odpowiedziano— a ja przekładam pokój nad wojnę i chleb gotowy nad zdobyty; lecz wracając się do chłopca (wskazał na mego pradziada) jego nazwisko nie jest mi obcém. słyszałem je często, owszem

na dworze mego ojca ś. p. Podkanclerzego, pamiętam pewnego starego szlachcica, który je nosił, człowiek to był szczególny; niepospolicie uczony, i jak wieść głosiła czarnoksiężnik.

—To był mój rodzic— pokornie wtrącił mój pradziad.

—A to wybornie zdarza się dla nas; niesposób, aby syn cudotwórcy nie zerwałeś cóś z jego nauki, choćby też wróżbitą być powinieneś.

—Istotnie udają mi się nieraz horoskopy i dla Jasnych Panów, gotów jestem ułożyć,— odparł szlachcic, i oddaliwszy się do osóbnéj izby wydobył swoje zwierciadło, poglądał na nie chwil kilka, uważał co widzi, i gdy wrócił przed Jaśnie Wielmożnych kłaniał się im niżéj jeszcze niż wprzódy.

—A cóż takiego?— pytał ciekawie kanclerzyc, co nam zwiastujesz? zacznij od Kasztelanica, cóż mu wypadło?

—Korona.

—Cierniowa – śmiejąc się wyrzekł Kasztelanic.

—Nie JWPanie, lecz nasza Sarmacka.

—Oho! to nie żarty,— mówił wesoło Kanclerzyc,— nie obdarzasz bagatelami, a dla mnie co masz?

—Kapelusz.

—Jakto kapelusz?

—Axamitny czerwony, Kardynalski.

—Niebagatela, toż przynajmniej Biskupstwo wróżysz.

—Cóś lepszego, bo Arcybiskupstwo Gnieznieńskie i Prymasostwo.

—Zaśmieli się obaj magnaci, Kasztelanic rzekł:

—Jak widzę Aść tęgi filut! chcesz pochlebstwem zyskać nasze względy, uprzedzić muszę, że się to nie uda.

—Gdybym jednak prawdę mówił?

—Ha! wtedy dostałbyś jedno z najlepszych Starostw w Koronie.

—A jabym cię zrobił marszałkiem mego dworu z pensją 20.000 tynfów, co równie jak starostwo rzecz dobra, wtrącił Kanclerzyc.

Dziękował pokornie mój pradziad, a był pewnym swojego, bo wiedział, że cudowne zwier-

ciadło nie myli, jakoż nie omyliło bynajmniéj; w dwadzieścia lat późniéj, Kasztelanic został Królem, a nieco późniéj, Kanclerzyc Arcy-biskupem i Kardynałem.

Królem zaś był Jan Sobieski, Prymasem Michał Radziejowski jego siostrzeniec.

V.

Mój pradziad przecież nigdy nie doszedł ni do najintratniejszego w Koronie Starostwa, ni do Marszałkowskiéj laski Księcia Prymasa.

Owszem wiele utrapień musiał w życiu znosić, a co gorsza znosił je z własnéj winy.

Od początku jednak, wszystko mu się wiodło po myśli, umieszczony na dworze Hetmana, dzielnością i sprytem zyskał jego zaufanie, doszedł stopnia rotmistrza, i niezłą arendę otrzymał.

Skopułem jego pomyślności było następue zdarzenie:

Pewnego dnia Hetman przywołał go do siebie.

—Mości Panie— rzekł— jesteś porządny chłopiec, nie wiercipięta, nie hulaka, ni karciarz,

nie trwożne serce bije w piersi, i głowę nie dla kształtu nosisz na karku, godnyś też lepszego losu, niż ten jaki jest dotąd twoim udziałem.

—Przy łasce JWPana— odparł pokornie mój pradziad, spodziewam się prędzéj lub późniéj poprawy.

—I nie mylisz się, szczérze o tém myślę; ot już dzisiaj dam dowód. Chceszże być dziedzicem cztérech folwarków?

—Któżby nie chciał swojego szczęścia?— odpowiedziano.

—Nadto; będziesz moim powinowatym... i wyrobi się jaki ziemski zaszczytny urząd.

—JWPanie! tyle łaski....

—Najlepszą chowam na koniec, to jest: żonę młodą, urodziwą i dobrego gniazda, pannę Rojewskę moją pokrewnę stryjeczną.

Panna Rojewska posiadała istotnie wszystkie te przymioty, o których Hetman wspominał. Mój pradziad był też rad z małżeństwa; lecz że sobie postanowił w każdym wypadku odwoływać się do cudownego zwierciadła, decyzję do następnego dnia pozostawił.

—Gdy przecież nazajutrz stawił się przed Hetmanem, był jakoś nie w swoim humorze, tarł czuprynę, miął pasa i somi wąs pomuskiwał na dół.

—A i cóż? zgadzaszże się na moją propozycję zagadnął Sobieski.

—Nie mogę JWPanie.

—Sobieski brwi lekko zmarszczył.

—Dla czegoż to pogardzasz moją opieką?

—Przebaczy JWPan. Rozum i honor wstrzymują.

—Rozum i honor? co Waść pleciesz! azaliż niejakie dzikie plotki odurzyły ci głowę?

—Plotkom nie wierzę; lecz przeświadczenie mam i nie chciałbym dobry szlachcic być cudzych dzieci ojcem.

—Sobieski, jak wiémy z historji, był żartki i gniewny, obelgę krewnéj zadaną wziął za własną swoją.

—Mości Panie!— wykrzyknął— uwłaczasz uczciwość szlachcianki i osoby obchodzącéj mnie żywo, twoje zuchwalstwo na ciężką odpowiedzialność narazić może.

—Mój pradziad jednak nie stracił fantazji i wierząc zwierciadłu, odpowiedział co w niem widział z przeszłości panny, ta zaś przeszłość nie była bez skazy, a winnym był właśnie Hetman, który jak nas upewniają dzieje, nie tylko za laurami Bellony, lecz i za wiankami Cytery rad gonił.

Nie mógł tedy dochodzić jak groził krzywdy honorowi panny zadanej, lecz cofnął szlachcicowi swe względy, i nigdy ich nie wrócił, a co gorsza nie wywiązał się z obietnicy starostwa, chociaż dawna wieszczka, wypełnioną została, i koroną Piastów ozdobił swe czoło.

VI.

I Radziejowski nie wywiązał się z obietnicy, chociaż kardynalski kapelusz jaśniał na jego głowie.

Długo przecież mój pradziad zaszczycał się względami prałata, na którego dworze, straciwszy łaskę hetmana, umieszczenie znalazł.

—Zazdrościli tych względów wszyscy, szczę-

śliwą przyszłość rokował sobie mój pradziad, gdy go pewnego razu Biskup, będący naówczas podkanclerzym koronnym zawezwał do siebie.

—Mości Panie!— rzekł,— jesteś człowiek sprytny, lubię takich i dopomagam im chętnie.

—Dziękuję jak najmocniéj waszéj excellencji za pochwałę,— odpowiedział mój pradziad— Biskup mówił daléj:

—Wart jesteś lepszego losu, myślę też o nim, i dam sposobność wywyższeniu się, ot kadencja trybunału zbliża się, chceszże być deputatem?

—Aby nim być, trzeba posiadać majątek ziemski, zaufanie współ-obywateli i suffragja ogólne.

—Otrzymasz to wszystko, już jutro zrobię ci donację jednéj z mych wiosek, postaram się o zapewnienie głosów i daruję parę tysięcy tynfów na pozyskanie miłości szlachty powiatu.

—Dostać wioskę, zostać deputatem, toż los całego życia zapewniony, z czasem sięgnąć można wysoko, ba i o senatorskiem krześle pomyśleć,— mruknął do siebie uradowany mój pradziad.

Lecz gdy tak mruczał, bies go skusił, że spójrzał w cudowne zwierciadło.

—Gdy spójrzał a następnego dnia przed Biskupem stawił się był zasępiony jakby go tatar imał za kołnierz, lub Zaporowiec groził ostrą spisą.

—A cóż przyjmujesz moje łaskawe ofiary?— zagadnął Podkanclerzy.

—I owszem,— odpowiedziano; lecz pod jednym warunkiem.

—Ha!— mruknął Prałat, i zaczął jak miał zwyczaj ogryzać paznogcie, mój pradziad mówił:

—Jestem biedny, moja przyszłość nie pewna, los wątpliwy, jednak choć biedny dbam o honor, i jego ujmą nie chcę dobijać się szczęścia.

—Hę! hę!— kaszlnął Prałat.

—Łaskawą protekcję i niezasłużony fawor przyjmuję radośném i wdzięczném sercem, w każdej okoliczności popierać będę za sprawę JWPana, ostatnią kroplę krwi gotów jestem przelać dla niego; lecz nie mogę zdradzić zaufania współbraci, ni wydać tych papierów prawnych, które mogą mi być powierzonemi.

Zrozumiał Radziejowski o co rzecz szła; chytry człowiek nie dla pięknych oczu szlachcica, lecz dla własnego interesu chciał mu dopomódz, miał właśnie w trybunale Piotrkowskim dość krzywą sprawę o jakiś majątek i szło mu o skręcenie dowodów przeciwników w sądzie złożonych, mój pradziad miał w tym dopomódz.

Że nie chciał dopomódz, kto inny pozyskał wieś i deputactwo, a mój pradziad stracił względy i został oddalony z dworu.

VII.

A cudowne zwierciadło, nie tylko w dwóch wspomnionych razach szkodziło szlachcicowi.

Doliczył pół wieku życia, włos przepruszała gruba siwizna, jednak nie był jeszcze ożeniony.

Miał przecież szczęście do kobiét, bujny wyrost, dworność i uroda wabiły oczy i serce; trafiały się nawet całkiem dobre partje; lecz je odrzucał mój pradziad, bo gdy spójrzał w zwierciadło, zawsze cóś do nagany znalazł, przeszłość, obecność lub przyszłość panny.

Dziwili się wszyscy jak nazywali dziwactwu, mój pradziad wiedząc dla czego w nie wpada, milczał, lecz wreszcie tęskno mu było żyć samotnie na świecie.

—Azaliż nie znajdę partji, jakiéj pragnie rozum i serce?— mruknąwszy do siebie zaczął szukać.

Szukał długo, znajdował wprawdzie gładkie twarzyczki, dowcip, spryt, pobożność lub statek; lecz zawsze odradzało zwierciadło.

—Widno takie przeznaczenie, abym kawalerem umarł,— szepnął do siebie i chciał się cierpliwie woli bożéj poddać, gdy pomięszał zamiary dziwny wypadek.

Pewnego razu wracając z Płocka do swéj arendy Przeciszewa, zboczył nieco z drogi, aby odwiedzić jednego z kolegów wojskowych, mieszkających w pobliżu.

Kolegi nie zastał w domu, rad nie rad tedy jechał na noc do swéj possesji, noc była piękna, księżyc w całym blasku roztaczał na lazurze niebios swoją złocistą tarczę; że był środek zi-

my, śnieg grubym kobiercem pokrywał ziemię, i chrupał pod nogami konia, bo mróz był tęgi.

Koń biegł długo szparkim kłusem, zwłaszcza, że jeździec wśpinał go ostrogą i poganiał boćkowskim bizunem; lecz właśnie, gdy dobiegał starodawnéj murowanéj figury, na rozstajnych drogach stojącéj, wstrzymał się nagle zaczął strzydz uszyma, boczyć się, chrapać i mimo wszystkich wśpięć ostrogą, nie chciał ni na krok postąpić naprzód,

Mój dziad nie wiedział, co sądzić o podobnym narowie, a gdy spójrzał na figurę i przypomniał sobie wieści, jakie o niéj krążyły między ludem, zimny pot wystąpił na jego czoło.

Figura bowiem nieszczególną reputację miała, w okolicy według miejscowéj tradycji; grzebano przy niéj Arjan i innych heretyków, których dusze nie mogąc znaleść zmiłowania Bożego, co piątek miały straszyć w tém miejscu; a jak na złość był piątek i godzina duchów, bo północ.

Przestrach mojego pradziada wzmógł się

jeszcze, gdy tuż przy figurze dojrzał niewieścią postać w białym rąbku, tulącą się do zimnego muru.

VIII.

Najśmielszy straciłby odwagę, nie dziw, że ją stracił i mój pradziad.

Chciałby lotem jaskułki odbiedz od fatalnego miejsca; lecz jak na złość koń ani chciał ruszyć z miejsca-

— Domyślił się zatém, że w tém wszystkiém jest Boże zrządzenie, i dla tego zebrawszy, co było tchu w piersi, wykrzyknął:

—«Wszelki duch Pana Boga chwali."

Usłyszawszy grzmiący wykrzyk widmo, nie odpowiedziało nań wprawdzie; lecz odstąpiło od figury, i bladą twarz swoję zwróciło ku mojemu pradziadowi.

Ten przetarł oczy nie śmiąc im zrazu dowierzać, bo widmo znał doskonale. Była niém nie mara fantazji, lub senna, nie duch Arjana, lub

innego heretyka, lecz córka pewnéj szlachcianki z okolicy, dziéwcze lat 20-stu, czarnobréwe, czarnookie i piękne jak aniołek kościelny.

—Co waszmość tu robisz?— pytał mój naddziad nie mogąc sobie zdać sprawy z wypadku.

Lecz dziewczę w miejscu odpowiedzi rzewnemi zalało się łzami, załamywało ręce w rozpaczy i gorączkowe wydawało z piersi wykrzyki.

Długo musiał uspokajać mój pradziad, za nim jakie takie objaśnienia otrzymał, nie byłby nawet z nich mądry, gdyby nie znał niektórych szczegółów z życia dziewczęcia.

Kochało ono, jednego z młodzianów sąsiednich; lecz to był bałamut, wiercipięta, sowizdrzał, jak drugiego na Bożym nie znalazłeś świecie, zwiodłszy opuścił kochankę, a sam przystał do pancernéj chorągwi, która wczoraj właśnie wyciągała z rozkazu królewskiego w pochód na Wołoszczyznę.

—Dziéwczę choć zdradzone, pobiegło za niewiernym, wyrwawszy się ukradkiem z macie-

rzyńskiego domu; lecz nieznając drogi, zbłąkało już w bliskim lesie, a tułając się po okolicy, zziębłe i schorzałe ukryło się przy Arjańskiej figurze.

—Ba i bardzo! rzecz nie szczególna, postępek nie budujący— mruczał mój pradziad, dowiedziawszy się wreście o tém co zaszło; lecz że dziéwczę było piękne, że się litował nad niém, wziął z sobą na konia i powiózł naprzód' aby rozgrzać do swego dworca, a nazajutrz odwiózł sam do rodzicielskiego domu.

Awantura narobiła hałasu po okolicy, dziéwczę wytykano palcami, niby trądem dotknięte, większy jeszcze był hałas, gdy w kilka miesięcy później, mój pradziad wprowadził je jako żonę do swojego dworca, starzy znajomi odradzali, młodzież drwiła, matrony biegały jak opętane, ta z plotką, inna z intrygą, lecz mój naddziad nie dbał na nic, dziéwczę mu przypadło do serca, to mu wystarczało.

Co więcéj, nie radził się cudownego zwierciadła żeniąc się.

IX.

I że się nie radził zrobił dobrze, a raczéj nic na têm nie stracił.

Trudno było o lepszą żonę jaką była ta, którą dostał: bogobojna, pracowita, cnotliwa, prawdziwą opatrznością dla małżonka stała się, dopomagała w gospodarstwie, w publiczném życiu wspierała rozsądnemi radami, a gdy późniejszy wiek przyszedł, opatrywała w chorobie, i nie tylko dobrą żoną, ale była prawdziwą orędowniczką, opiekunką i przyjacielem.

Co więcéj uwieczniła ród nasz, dawszy naszemu pradziadowi troje dzielnych synów i tyleż córek.

A jakby błogosławieństwo Boże, czekały tylko na jéj wejście do domu mego pradziada, od dnia ślubu wszystko się wiodło szlachcicowi, zboże podwójny plon wydawało. Król Jan Sobieski i Kardynał Radziejowski udobruchali się, mnożył się dostatek, że mój pradziad umierając, liczył się do zamożniejszych obywateli powiatu, zostawił dzieciom, prócz kilku dziedzicznych

wiosek, intratne starostwo, poczciwe nazwisko i zaufanie między współ-bracią prowincji, w których imieniu kilkakrotnie występywał jako poseł na sejmach i deputat na trybunale Piotrkowskim.

Od czasu ożenienia zaś, ani raz jeden, nie zajrzał w cudowne zwierciadło, gdy zaś umierał przywoławszy najstarszego syna do siebie oddając mu puściznę ojcowską i obznajomiwszy z sposobem użycia, zaklął na własne dobro, aby nie pragnął z niego korzystać.

—Bierz ze mnie przykład— mówił— dotąd byłem nieszczęśliwym, dopóki znając przyszłość, chciałem się stosować do mądrości ludzkiej, za nic uważając miłosierdzie boskie, nadaremnie Najwyższy okrył cieniem tajemnicy jutro, bo właśnie w tém pokryciu leży nasze szczęście; niedość bowiem znać smutną przyszłość, trzebaby jeszcze umieć ją od siebie oddalić, a téj siły nie daje zwierciadło.

—Żyj więc jak inni ludzie, cierp jak oni, pracuj i staraj się jak wszyscy, nie gardź radami serca, za czczemi bańkami dumy nie goń,

i użytkuj, gdy się pora nadarzy, w tém jest mądrość, w tém leży tajemnica szczęścia.

Zostawiam ci tedy zwierciadło, nie jako skarb, lecz jako pamiątkę po nieszczęśliwym mym ojcu, a twoim dziadzie, przekaż go w ten sposób twoim synóm i wnukóm, objaśnij o władzy; lecz dodaj zarazem moją przestrogę: niech mędrzec z niego korzysta, gdy zechce, ale mędrszy od mędrca, niech go starannie unika.

X.

Do zaleceń ojca wiernie się syn zastosował, owszem dalej jeszcze niż radzono posunął skrupuł, bo wychowaniec Jezuitów widząc w cudownem zwierciadle wymysł szatański, a więc zgubę duszy, zamknął je starannie w dębowéj skrzyni, opieczętował i na samym dole różnych sprzętów ukrył w lamusie, a umierając nic o nim nie wspomniał swojemu spadkobiercy.

Zwierciadło tedy przez ciąg lat kilkudziesięciu spoczywało pyłem zasute i zapomniane w swo-

jém ukryciu, spoczywałoby dłużéj jeszcze, gdyby nie następne zdarzenie.

Objąwszy wioski po moim ojcu, zajrzałem do bibljoteczki zebranéj niegdyś przez mego naddziada, a spoczywającéj pod strychem dworca; przeglądając zbutwiałe i ogryzione od szczurów papiery, trafiłem na *Silva rerum*, a w tym cudowne zwierciadło często wspominaném było.

Chęć przyszła odkrycia sprzętu, w tym wieku niedowiarstwa, mówiącym byłby dowodem istnienia tajemniczéj siły; udowodniłby piękne i mądre zarazem wyrażenie Szekspira:

«Są Cuda na ziemi i na niebie, o których ani się śniło filozofom naszym.”

Daremnie przecież badałem służących i szukałem po całym domu, nigdzie nie było ni śladu, i nikt ni słowa o niczém nie wiedział; gdy szczególny, a raczéj całkiem pospolity dopomógł przypadek.

Moje wycieczki za granicę, karnawałowe życie w Warszawie, trzykrotne konkury, dwie kaucje za przyjaciółmi, i wreście chęć zapro-

wadzenia płodozmianu, źle postawiły w interesach, i naraziły na procesa, skutkiem których zjechał Komornik, aby zatradować ruchomości.

Przerzucając stare graty, i spisując je, doszedł aż do skrzynki, mieszczącéj cudowne zwierciadło.

Gdym je ujrzał, i porównawszy z opisem mego naddziada, uznał za prawdziwe, nie miałem wiary w radości i uściskałem Komornika, jako najlepszego przyjaciela, dobroczyńcę i zbawcę!

Rzeczywiście, nie byłże nim, wracając mi tajemniczą władzę, ceną zbawienia duszy nabytą od przodka Arjana, czyliż nie dawał świadomości dobrego i złego, igiełki magnesowéj życia?

Gdym po raz pierwszy spójrzał w iskrzystą powierzchnię zwierciadła, zachmurzyłem wprawdzie czoło, lecz i pocieszyłem się.

Czemu zachmurzyłem czoło? to nienależy do niniejszéj powiastki, uradowałem się zaś z następującego powodu.

Miałem starą ciotkę, dziwaczkę jakiéj drugiéj pod słońcem nie znajdzie; dusiła parę kroć w lis-

tach zastawnych, lecz ni jednym groszem niechciała wspomódz siostrzeńca w potrzebie, i zapewne nigdy nie byłaby wspomogła, gdyby przypadkiem jeden z elegantów dndniący po Warszawie wziętym na kredyt koczem, nie przejechał na śmierć ulubionego jéj szpica.

Zgon psa, okropnym ciosem był dla staréj panny, sprawił wstrząśnienie nerwowe, to, febrę gastryczną, która dla skępstwa, nie leczona przecięła pasmo dni mojéj kuzynki.

—Otoż tę smutną a razem i pomyślną dla mnie wiadomość zwiastowało zwierciadło.

XI.

Parę kroć sukcesji gotówką poprawiło stan moich interesów: spłaciłem długi, i gdy dałem sobie najświętsze słowo honoru, że nowych zaciągać nie będę, ustaliło moją przyszłość.

—Czemuż bowiem mam się o nią kłopotać? posiadam cztery wioski w dobrych gruntach, dyplom szlachecki i jestem znany w literaturze napisawszy dwa Sonety do magazynu mód, i

rozprawę o *jota* i *i* krótkie do Bibljoteki Warszawskiej. Nie jestem ni stary, ni brzydki, mam zaufanie między współobywatelami i nadzieję, że podwoję dochody, założywszy cukrownię i fabrykę szampańskiego wina.

Co więcej, nie jestem nawet nieszczęśliwy w miłości, ot, od pół roku już, kocham się, pozyskałem wzajemność panny, słowo rodziców, i za tydzień ma być ślub.

Cóż tedy brakuje do mojego szczęścia?

Że nie, przekonasz się czytelniku, gdy ci dodam, że sama jest piękna, dobra, pobożna, cnotliwa i do tego majętna.

Rodzice obiecali sto tysięcy gotówką, a po najdłuższém swém życiu dwa razy tyle w dobrach.

Trzykroć nie bagatela w tych czasach gdy o posagi równie trudno jak w wiekach średnich, o rogi jednorożców lub jedwabne pończochy.

Słusznie tedy zazdrościć mi możesz.

XII.

Otóż przeszłość, obecność i przyszłość owéj drogiéj sercu osoby chcę poznać.

Niech cię nie dziwi to życzenie, czytelniku! czyliżbyś mogąc zaspokoić oparł się podobnéj pokusie? mój pradziad mógł radzić co chciał, ciekawość ludzka, a więc i moja, silniejszą jest nad wszystkie dowody i przekonywania rozumu i rozsądku.

Z resztą, cóż mi szkodzi, poznać dokładniéj stan uczuć i dzieje kochanéj Julji?

Znam je już w części, są to dzieje anioła ziemskiego, życie tak czyste jak słońce co mi w téj chwili iskrzysto przyświeca, niewinne jak marzenie ośmioletniego dziecka lub modlitwa dziewicza, pełne niebiańskiéj harmonji, jak śpiew słowiczy, brzmienie eolskiéj arfy.

Czemuż nie mam poznać go bliżéj? azaliż znajdę w nim, choć jeden szczegół mogący zranić lub obrazić serce? dałem już obrazek méj przyszłéj, nieprzesadzony on bynajmniéj, niepodyktowany miłością lecz prawdą.

A i przyszłość nie straszy. Azaliż z własnych ust Bogdanki nieposłyszałem słodkiego wyznania miłości i zapewnienia wiecznéj i wiernéj! równie anielska istota, nie może oszukać, niewie-

rzyć jéj, byłoby to samo co niewierzyć słońcu że świeci, opatrzności że czuwa nad nami.

Gdy zaś od téj miłości moje szczęście zależy, mogęż w nie wątpić? Boże! strzeż od podobnego grzechu, i teraz jeśli chcę spójrzéć w zwierciadło to nie dla tego, abym pragnął dowodu, lecz że chcę uradować serce roskoszą, jaką mi los gotuje. Nigdy zawcześnie człowiek nie poznaje się z rajem.

Pamiętaj o téj prawdzie miły czytelniku.

XIII.

Ustawiłem zwierciadło.

Zmuszenie go do cudownych objawień, bardzo proste. Mistrz Twardowski widać nie lubił komplikacji, i co ważniejsza, gdy chciał, silnie chciał i pragnął aby w jednéj chwili był zaspokojony.

Miał słuszność. Największa nawet roskosz traci na swéj wartości gdy ją okupywać trzeba długim mozołem.

W wielu nawet razach, szczęście przestaje być niém, gdy za późno przychodzi. Nasz lud,

uznał oddawna tę prawdę i ukrystalizował ją w przysłowiu.

«Twardy chleb, gdy brak zębów.»

Otoż aby wywołać działanie źwierciadła, dość, wymówiwszy trzy tajemnicze czarnoksiężkie wyrazy,

Araduma, arupera, astarota,

spójrzeć na jego powierzchnię, odmaluje się na niéj jasno to czego żądamy.

Ja naprzykład, pragnąc poznać przeszłość mojéj bogdanki, winienem oznaczyć perjod owej przeszłości, ten stanie widomie przed moim okiem.

Obieram dzien jeden jéj życia, datę biorę na chybi trafi wstecz roczną z 18 Lutego 185....

Zobaczycie co ujrzę.

Araduma, Arupera, Astarota.

Cudowna siło! dopomóż...

XIV.

Skutek natychmiast nastąpił.

Jasna dotąd powierzchnia zwierciadła, cieni się, pokrywa falą mgły, obłoczkuje...

Dalej.

Obłoczki zlewają się w kłęby, te mienią się w tysiące barw, formują w kształty i postacie, i oto cały obraz stoi przedemną.

Obraz to szczególny bo żywy; w tém leży cudowność wypadku: tak naprzykład na gładkiej powierzchni zwierciadła widzę wizerunek balu, ogromną i świetną salę oświeconą tysiącem jarzęcych świec, napełnioną parą setkami osób.

A wszystkie te osoby strojnie przybrane: mężczyzni wprawdzie na jeden sposób w czarne fraki; za to w ubiorze kobiet jaki przepych i różnica! Jedwab', axamit, brylanty, kaszmiry, korunki, uderzają twe oko, w którą tylko stronę sali je zwrócisz.

Strój i świecidełka dla kobiet są tém, czém dla duszy poezja... uzupełnieniem istoty, nieodłączną częścią bytu, naturalną potrzebą. Europejka

stroi się w brylanty i jedwab', Murzynka w korale, Indyjanka w ptasze pióra, Grenlandka w ości rybie, pani drapuje na sobie kaszmir; biedna— łachmany.

Złe mam wyobrażenie o kobiecie, która mi powiada, że nie lubi stroju, posądzam o fałsz, lub stan anormalny duszy.

Wszystkie zaś figury, które widzę na zwierciadle przed sobą, są żywe, myślą i czują; i co więcéj...

Myśl i uczucia każdéj, są mi znajome, czytam je, jakby były wypisane przedemną.

I słyszę mówiących, słyszę gdy chcę, chcę teraz: jakaż wrzawa! Uszy bolą! komplementa, banalne uwagi, mądre spostrzeżenia i głupie wyskoki abderytów, krzyżują się, jak w sutym fajerwerku iskry i race.

Lecz że przy rozmowie ust słyszę i mowę myśli, jakiż chaos i sprzeciwieństwo!

«Pan Bóg dał ludziom mowę, aby pokrywali swe myśli» powiedział Taillerand, i miał zaiste słuszność.

Ludzie są hipokrytami, jak drzewo jest rośliną, ciało zwierzęciem, duch maszyną ciała.

Święta prawda!

Dowodów można by przytoczyć miljony, z historji i z kłamstwa, z potocznego i publicznego życia.

Weźmy kilka z obrazku, jaki rozpościera się obecnie przed mojém okiem.

XV.

Dwie panie spotykają się z sobą. Przyjaciółki to serdeczne, od pensji, od piérwszéj komunji, ściskają się, całują, przesadzają się w grzecznościach jedna dla drugiej, jak dwa stare osły w lenistwie; posłuchaj przecież co mówią, myślą.

—Nienawidzę cię z całéj duszy, jesteś złośnica intrygantka, zawistna kokietka!

—Gdyby nie wzgląd światowy, nieżyłabym z tobą, usunęła z mojego towarzystwa; nie pojmujesz ile mi dokuczasz twojemi oświadczeniami przyjaźni i ile sobie gwałtu zadaję, zmuszona odpowiadać na nie.

—Pani! jesteś moim aniołem, moim bóztwem, ostatnią kroplę krwi oddałbym dla ciebie! kocham cię do szaleństwa, nikt równie niekochał, niekocha i nie może kochać... jesteś piękną jak słońce na niebie, jak róża w pełnym rozwoju! jak zmiłowanie boże, żyć z tobą to raj ziemski! żyć bez ciebie, piekło!

Tak szepcze w ucho tłustéj, niezgrabnéj i brzydkiéj jakiéjś pannie jeden z tych elegantów wypomadowanych wysznurowanych, wybielonych i wykrochmalonych, o których w naszym abderyckim świecie nie trudno.

Panna przyjmuje łaskawym uśmiechem i spójrzeniem czułe słówka, lecz posłuchajmy co mówi myślą elegant.

—Jesteś brzydkie monstrum, niespójrzałbym na ciebie, nie brudziłbym kłamstwem moich ust, prawiąc o miłości, gdybyś nie miała trzech kroć sto tysięcy posagu, a ja dwukroć długu! gdyby nadzieja jaka taka była pomyślniejszéj przyszłości. Muszę się z tobą ożenić, bo to nakazuje rozum; lecz kochać cię... rzecz inna, nie miéj nadziei...

—Bądź przekonany że co tylko będzie w mo-

jej mocy, uczynię aby cię zobowiązać starego przyjaciela i szkolnego kolegę.

—Nawzajem bądź pewny mojej wdzięczności, wierzaj wysokiemu szacunkowi dla twych talentów i zasługi, które dały powszechne poważanie.

Tak ściskając się za ręce, prawią dwaj starcy, z których min widno że obadwaj egoiści i hipokryci.

Że są takiemi, oto masz dowód.

—Nie przemówię ni słowa za tobą—myśli pierwszy— znam cię szalbierzu! pochlebiasz gdy zmusza potrzeba, gdy minie, dasz młynka i w dodatku uszczypniesz.

Drugi mówi w sobie:

—Zrób mi tylko interes a zobaczysz że cię wyśmieję, i gdy się uda, podstawię ci nogę, aby strącić z tego piedestalu uzurpowanej zasługi, na który się wdarłeś nie zasługą ni talentami, ale płaszczeniem się i trafem losu; czas okazać światu twą nicość.

XVI.

Syn oszukuje ojca, brat siostrę, matka córkę, ta matkę, aż zgroza bierze!

Najczęstsze przecież oszukaństwa między małżonkami. Czy widzisz na stronie tę młodą parę? Żona anioł piękności i, jak ludzie mówią, dobroci; mąż słynie powszechnie jako człowiek łagodny, dobrze wychowany i kochający.

Posłuchajmy ich rozmowy.

—Miły aniele? zdaje mi się nazbyt tańczyłaś, zdrowiu może zaszkodzić.

—Nie kochanku! dwa tylko walce, drobnostka! spodziewam się pozwolisz na polkę...

—I owszem *perku!* wiesz że każde twoje życzenie, prawem jest dla mnie; jednak powtarzam, miej wzgląd na zdrowie...

—Dziękuję ci drogi! i zapewniam, że skoro tylko będę się czuć znużoną, odpocznę.

To rozmowa dla świata, posłuchajmy innéj dla siebie.

—Mówiłem ci już, że niechcę abyś tańczyła

z panem K* świat to uważa i dziwne wyprowadza wnioski, niechcę powiększyć liczby rogali.

—Tańczyłam i będę tańczyć z kim mi się podoba i ile zechcę niedbam ani o ciebie, ani o świat, co mi do tego że cię nazwą rogalem, możesz nim być jak drudzy.

—A ja ci zakazuję i tańca i rozmowy, a gdy nieposłuchasz, skoro tylko wrócimy do domu, potrafię ukarać!

—Wiem że jesteś grubijanin, gwałtownik i zdolny do najokrutniejszéj sceny, ale na to nieważam, twego gniewu nie lękam się, bo niechcę ci dłużéj ulegać; jutro już odjeżdżam do mych rodziców, i podaję prośbę o rozwód.

Anioły światowe, są zwykle domowemi szatanami; a ludzie bożki towarzystwa, tyranami dla żon. Jest to jeden z starodawnych aforyzmów, niewiem czemu od niektórych osób, lekceważony.

—Pan R* jest człowiek nieznośny, źle wychowany, nie pojmuję jak go mogłeś zaprosić na obiad na jutro.

—Pani Z* nie jest towarzystwem dla ciebie,

dziwne rzeczy o niej świat mówi, nadto nudzi mnie swojemi pretensjami do uczoności i dowcipu, jak mogłaś prosić na jutrzejszy wieczor!

Tak mówi do siebie para małżonków, a jednak, Pan R* jest kochankiem pani, pani B* jest kochanką Pana, oszukują się nawzajem udawaniem mniemanego wstrętu.

A oszukują się wszyscy wzajemnie, że najcierpliwszy tracisz cierpliwość i chciałbyś, znając jak ja różnicę myśli z słowami, wykrzyknąć:

—Mości panowie i panie! jesteście szalbierze, hipokryci, życie z wami nieznośne!

—Czyż nie macie Boga w sercu, czułości w sumieniu, czy was niestworzył Najwyższy na obraz i podobieństwo swoje?

—Czy mniemacie, że pokrzywa potrafi urodzić piękną i wonną różę, a kłamstwo, nadobne i prawdziwe szczęście?

—Umiecie grzeszyć, a nie macie odwagi grzechu, i do waszych występków dodajecie inny, brudniejszy od najbrudniejszego, bo fałsz sumienia!.

I ileż uwag nasuwa się wyobraźni!

Dla czegoż Bóg, swój obraz—ludzi, stworzył więcej złemi niźli dobremi?

Dla czego mowa jest tylko płaszczykiem myśli, a nie jej echem?

Prawy człowiek, przypuściwszy że się czasem znajdzie, czemuż jest pośmiewiskiem dla występnych?

Czemu wielu z ludzi wiedząc że oszukują i są wzajem oszukiwanemi, oszukują przecież i dają się oszukiwać?

Dla czego egoizm jest podstawą bytu, a jego pierwszym doradzcą hipokryzja?

Ale dość tych dla czego, dość i poglądu na bal, alboż dla niego użyłem mojego zwierciadła?

Niepotrzeba, aby znać zło, udawać się do cudownej siły, dość ono widoczne każdemu, co ma oczy i chce widzieć, ma uszy i słucha.

Wszakżeż chciałem poznać przeszłość Julji; ta ma mnie pocieszyć po smutnych jakie się nasuwały obrazkach, w niej spodziewam się nieznajdę fałszu.

Są wszakże istoty wybrane od Boga, których zadaniem jest, dowieść zepsutemu wiekowi, że

cnota może być możliwą, a prawda nie jest czczém słowem.

—Poszukajmyż tedy Julji.

XVII.

Otoż ją spostrzegam. Jakże jest piękną! jéj modre oko błyszczy podwójnym blaskiem, żywszy niż zwykle rumieniec farbuje nadobne lica, biała skromna sukienka, w całym blasku wybija bogactwo form jéj ciała, urok jéj kibici.

A ile wdzięku w każdym jéj ruchu, powabu w każdym słowie, melodji w spójrzeniu! jest to anioł w ludzkiem ciele, bogini skromności i dziewiczeństwa, jedna z tych istot, przed którą każdy giąć kolana i bić czołem powinien.

I że tego nikt nie czyni, dziwi mnie, lecz czemu dziwić się? stary to pewnik że ludzie głazy, i jak dobrze wyraził się jeden z poetów.

—«Anioł przechodzi pomiędzy niemi i oni go niewidzą.»

Jak jest ślepota fizyczna, tak jest i moralna, a ta stokroć razy powszechniejsza.

Moje oko i uwaga przylgnęły do kochanki, śledzą każdy jéj giest, każde spojrzenie i słówko. Na przyszłość, jeśli mus lub przypadek z nią rozłączą, będę spoglądał w zwierciadło, aby niespuścić z oka ni na chwilę, będzie to najmilsza w rozłące pociecha.

—Gdybym był zazdrośny, śledziłbym z innego jeszcze powodu... Jaka szkoda, podobne mojemu zwierciadła, nie są tak upowszechnione, jak naprzykład lornetki lub okulary. Niewierność małżeńska, należałaby wtedy do tych przestarzałych wyrazów języka, które znamy tylko z dykcjonarzy lub starych romansów.

Może też przyjdzie ten błogi czas... od czego przemysł ludzki i badania mędrców?

Julja siedzi przy matce; ta dumna pięknością córki i urokiem jéj cnoty, oblewa ją słodyczą macierzyńskiego spojrzenia, i zdaje się wołać przytomnym.

—Chodźcie, oglądajcie tę perłę, jak ona czysta i świetna! któraż matka poszczyci się podobną, któraż jest szczęśliwszą odemnie?

Nie dziwmy się tej dumie matki, naturalną

jest ona, a więc zasługującą na pobłażanie: surowi nawet Rzymianie za złe nie brali rodzicielce Grachów, gdy ta dobre swe dzieci ceniła nad wszystkie skarby i przyjemności świata.

Chlubiemy się zasługą naszych przodków, czemuż nie mamy chlubić się zaletami naszych dzieci? Jest to arystokracja rozsądna, bo na własnéj naszéj zasłudze oparta; chlubiemy się nauczyciele i mentorzy, z dobrego wychowania naszych elewów.

Wyzyw matki nie jest głosem na puszczy, Julję bowiem otacza kwiat młodzieży Warszawskiéj i wybor towarzystwa, kobiet wprawdzie mało, lecz za to mężczyzn dużo, młodzi i starzy, urodni i brzydzcy, sadzą się na dowcip i piękne słówka, ubiegają się o jedno spójrzenie lub łaskawy wyraz bogini: anioł został poznanym i cześć należną odbiera.

Lecz anioła nie łudzą mamiące kadzidła, nie wzbija się w dumę powszechnemi składanemi sobie hołdami. Julja została jaką jest, potulną, skromną a nawet trwożliwą: lękają piękne oświadczenia, farbuje się więcéj jeszcze rumień-

cem piękna twarzyczka, powszechne uwielbienie przyjmuje nie jako należny dank swym wdziękom, lecz jak łaskę, jako grzeczność, której skromność dziewicza nie śmie przyjąć.

XVIII.

Muzyka zagrała mazurka, rzesza wielbicieli, rozsypała się w różne strony, matka szepcze w ucho Julji.

—Z kim tańczysz teraz?

—Pan Stanisław zaprosił.

—Matka brwi marszczy...

—Powiedziałam ci już raz, że nie pochwalam tych częstych z nim tańców, niechże ten będzie ostatnim.

—Dobrze mamo.

—Przeciwnie Hrabiemu O* nieodmawiaj ni jednego.

Nawzajem śnieżne czoło Julji, zachmurza się teraz.

—Nie lubię go, nudny i brzydki.

—Ma cztery miljony majątku, piękny tytuł i jest kawalerem...

—Cóż mnie to interesuje?

—Powinno interesować, partja najlepsza w Warszawie; pani K* mówiła mi żeś mu się podobała.

—Lecz mnie on nie.

Matka poruszy się niecierpliwie na krzesełku.

—Moja Juljo, szaloną jesteś! nie do pogardy podobne małżeństwo? cztery miljony, tytuł hrabiny, świetne pożycie w świecie, mieszkanie zimą w Warszawie, na lato wycieczka za granicę, któż może dać żonie więcej przyjemności? Pewno nie pan Stanisław, człowiek bez majątku i znaczenia, zrujnowany i ze złą reputacją.

Westchnie Julja, lecz milczy. Matka mówi daléj.

—Proszę cię zatem, bądź grzeczną dla hrabiego, staraj się skonkietować, masz lat siedmnaście, czas pójść za mąż, zaprosił cię do piérwszego kontradansa, będziesz z nim tańczyć.

—Dobrze mamo.

—Postarja się także aby do kolacji podał ci

rękę, a nadewszystko zachęć, aby jutro nas odwiedził.

—Jak najchętniej.

—Gdy zaś pan Stanisław odezwie się z jakiem miłośnem oświadczeniem, gdy zechce przypomnieć dawne wasze stosunki, zgrom jak najsurowiej.

—Dobrze mamo.

—Dziś w południe był u nas, lecz nieprzyjęliśmy wizyty, zapewnie skarżyć się będzie; aby nie narazić ojca daj wymówkę, że ty sama nie mogłaś przyjąć.

—Powiem to..

Uległość córki udobrucha matkę, uściśnie potulną za rękę i szepcze w ucho:

—No, moja kochanko, dobra jesteś dziewczyna, lubię cię za to i ucieszyłaś nie mało, wybiwszy sobie z głowy nierozsądną miłość; sądzę bowiem że już nie myślisz o Stanisławie.

—Gdy tak każesz mamo.

—Partja zupełnie dla Ciebie nieodpowiedna..

jak powiedziałam, stracił majątek i skompromitował się; kilka osób dom mu zamknęło, zresztą, głowa zapalona, poeta, marzyciel, choćby nawet był bogatym niebyłabyś z nim szczęśliwą.

Znowu westchnieniem odpowiada tylko Julja na uwagę.. szkoda że nie mogę zrozumieć znaczenia tych westchnień... a niewiem czemu dolęgliwe jakieś opadają myśli i podejrzenia...

Nadto słowa matki przekonywają mnie, że serce Julji nie jest tyle dziewiczem jak mniemałem dotąd, że nie pierwszy pobudziłem jego bicie... a ma dopiero lat osiemnaście!..

Na Boga! w którymże roku życia dziewice zaczynają kochać! W Paryżu naprzykład, miałem za kochankę czternastoletnie dziecie, a nie mogłem się pochlubić, abym pierwszy jej serca był panem.

Teraz pojmuję dla czego dziwak hrabia S* zapalony wielbiciel dziewiczeństwa, uczuć i ciała, chcąc mieć żonę z podobnemi przymiotami, sam się zajmował jéj wychowaniem i od dziecka strzegł pilnie i bronił od dostępu mężczyzn...

XIX.

Taniec się rozpoczął.

Zgrabne, zręczne, strojne i dorodne pary, puściły się pędem po woskowanéj posadzce sali. Julja rej wiedzie, przewodniczy figurom mazurka; do każdego koła jest wybieraną, nikt nie przeczy jéj władzy, bo ta opiera się na piękności; najzazdrośniejsze i najzłośliwsze, muszą jéj oddać dank zabawy pan Stanisław prowadzi w tańcu.

Nie jestem zazdrosnym, lecz gdy będę jéj mężem, niepozwolę na taniec, chyba ze mną.

Taniec jest moralnem upojeniem, jest opjum dla duszy, drazni nerwy, bałamuci zmysły, rozognia wyobraźnię.

I gdy oko tańczącéj utonie w oku tancerza, gdy jego dłoń obejmie jéj kibić, gdy ich tchnienia prawie jednoczą się, nie sposób, aby życie dusz, nie jednoczyło się także, aby magnetyzm zwierzęcy, nie przelewał się z jednéj w drugą istotę.

Gdybyśmy znali dokładnie dzieje zepsucia to-

warzyskiego, spostrzeglibyśmy, że jednym z jego głównych motorów był taniec.

Jest on też hańbiącym uczciwe niewiasty; na wschodzie, był wyklętym w wielu chrześcijańskich sektach i wzbronionym w pierwiastkach krzewienia się naszéj świętéj religji, alkoran nazywa go «nieczystością szatańską.»

W alkoranie znajdziesz wiele zdań wcale rozsądnych.

Ależ, kilka słów o panu Stanisławie.

Znam go oddawna. Szkolnemi jeszcze kolegami byliśmy, należy on do rzędu tych ludzi, dla których droga życia, jest tém czém dla wyznawców Mahometa most z włosu, po którym dusze stąpają do nieba: jeden krok mylny, jeden silniejszy pochwyt wiatru, może strącić z wązkiej dróżyny i pogrążyć w otchłanie piekieł.

Otoż dla pana Stanisława droga życia jest włoskiem rozdzielającym od dobrego i złego, od cnoty i występku. Dotąd jako tako utrzymuje się na niéj, lecz któż zaręczy, aby jutro lub dziś jeszcze przypadek lub mus, nieprzerzuciły na stronę złego.

Wszystkie zaś okoliczności podniecają obawę. Jest biedny a przyzwyczajony do zbytkowego życia; jest poetą, a więc materjalnie pracować nie lubi; chętnie gra i ryzykuje, a brak mu żywiołu gry, to jest pieniędzy; nadto jest rzutny, przedsiębierczy, śmiały i pełen zasobów sprytu.

Przyznacie, że wielkiego hartu duszy, silnego zamiłowania cnoty i prawdziwie nadzwyczajnéj woli *dobrego* potrzeba, aby w podobnych stosunkach nie dać się skusić złemu, nie upaść pod brzemieniem zawistnego losu.

Pan Stanisław jest sąsiadem państwa M* rodziców Julji jest nawet ich dalekim kuzynem; z Julją znają się od dziecka, lecz dopiéro dziś się dowiaduję, że się kiedyś kochali, od dawna już bowiem zerwał z nią wszystkie stosunki, i nigdy niewidziałem go w domu państwa M*

XX.

Ciekawość bodzie.

Ciekawość jest pierwszym stopniem do piekła,

mówi wprawdzie stare nasze przysłowie, lecz jak jej nie uledz w stosunkach w jakich z Julją zostaję?

Biorąc służącego radzi jesteśmy poznać jego przeszłość, dowiadujemy się o nią kupując dom, badamy o charakter konia, mając go dosiąść; jakże nie mamy znać charakteru i przeszłości naszej żony? istoty, z którą na całą przyszłość mamy nasze losy połączyć.

Otoż śledzę wszystkie postępki Julji, słucham każdego jej wyrazu z panem Stanisławem zamienionego.

Na honor! mama gadała nic do rzeczy, bez racji czerni swą córkę, ona ani myśli o swym tancerzu.

Oto odłamek jedynej z nim rozmowy.

—Bal piękny!..

—A tak, trochę tylko nazbyt liczny i towarzystwo nie zewszystkiem dobrane:

—Cóż pan chcesz?

—Pewny dowód że wkrótce odzyska swe prawa, ostateczności stykają się; mogęż zaprosić panię do przyszłego kontradansa.

—Mama kazała przyjąć zaproszenie hrabiego O*

—Spodziewam się przecież walca lub polki.

—I to być nie może, mama wzbroniła.

O miłości ani jednego słówka nie było...

Wprawdzie, trudno aby o niéj mówili, tłum otaczał i ciekawie podsłuchiwał, mama też zbliżyła się.

Jednak, gdyby chciano lub miano zamiar, czyliżby jéj nie zaczepiono jednem krótkiem słowem, a przynajmniéj spójrzeniem lub uściskiem ręki? Rozdziel kochanków chińskim murem, przebyć go potrafią, rozdziel morzem, potrafią go przebrnąć, przypomnijmy sobie historję Leandra i Hero, Jowisza i Semeli, i Bóg wie nie ilu par zakochanych!

Otoż powtarzam, baśnią jest aby Julja kochała pana Stanisława...

Jednak słowa matki...

Zaczynam rozumieć... były to te dziecinne miłostki, które zawiązuje młode dziewcze, nie sercem, lecz jego potrzebą; te marzenia które nigdy

nie dochodzą do słów, ten pusty wystrzał pistoletu, który robiąc dużo bałasu, nikomu nieszkodzi...

Matka znając słabą stronę córki, przebiegła, umie z niéj korzystać, jak korzystamy z upodobań dziecka, aby go od prawdziwego występku ocalić...

Jestem tedy spokojny o Julję.

Tém spokojniejszy jestem, że taniec skończył się, ona odeszła z matką a pan Stanisław zasiadł do preferansa.

Rozstając się, parę jeszcze wyrazów zmienili z sobą...

—Pani prędko opuszczasz bal?..

—Mama chce koło trzeciej, zaraz po kolacji.

—I mnie już nudzi zabawa, dla tego wcześniéj wyjdę i do czwartéj przechadzać się będę... Noc tak piękna, w ogrodach prawdziwie wiosenna woń i zieloność.

I dodał jakąś banalną pożegnalną grzecznostkę...

Rozważ sam czytelniku, czy się mam czego lękać?

Ależ oto zmiana w widziadłach zwierciadła.

XXI.

Widzę Julję w jéj sypialnéj komnacie. Miła to izdebka, piękna, wonna, dziewicza: któryś z autorów francuzkich, słusznie powiedział, że mieszkanie jest obrazem naszego charakteru, typuje go lepiéj od naszych słów a nawet postępków.

I miał słuszność, w jakiéj bowiem sprzeczności te ostatnie są nieraz z nami: mus, przypadek, związki światowe, często chwilowa niedorzeczność, brak apetytu, lub cielesna inna przyczyna, czyż nie są ich motorami?

Przeciwnie, w naszém mieszkaniu jesteśmy ciągle nami. Urządzamy go z obliczeniem siebie, stosownie do naszego upodobania i wezwyczajenia, świadczy o naszym guście, zabiegłości, staraniu, wyobraźni i sposobie życia.

Oto przykłady:

Mieszkanie kokietki, zawsze jest wykwintne, każdy sprzęt modny a nadewszystko błyszczący, pełno pstrocizny, dużo woni, dużo mebli więcej pozornych, niźli wygodnych.

Mieszkanie Literata, zwykle zaniedbane: książki leżą pod stołem, buty na stole, kurz zalega na toalecie i niczego nie znajdziesz na właściwém miejscu. Nie dziwmy się, pan mieszkania nigdy niéma czasu do zajęcia się niém; bujając w idealném, zapomina o rzeczywistym świecie, pięknemi słowami kreśląc powaby rozsądku, często niéma go w głowie: wiemy bowiem że rozsądek nie zawsze chodzi w parze z nauką a rzadko z dowcipem.

Mieszkanie dorobkowicza jest prawdziwym sklepem tysiąca i jeden przedmiotów cennych i błyskotliwych. Mędrzec dba przedewszystkiém o wygodę, arystokrata o sprzęty niezwykłe i imponujące, człowiek bez wyraźnego charakteru, mięsza różne gusta, bo stosuje się do cudzych, nie mając własnego.

Komnata Julji, jest odbiciem jéj umysłu i duszy: pięknie w niéj, schludno, skromnie, każdy sprzęt świeży i czysty, każda drobnostka na właściwém miejscu, jakiś urok ogarnia cię w niéj, to tajemne wzruszenie jakie cię przejmuje w bożéj świątyni, nawet myślą nieśmiesz tu grzeszyć.

A i codziennych zatrudnień dziewicy, masz próbkę. Widzisz naprzykład krosienka, a w nich świeżo zaczętą robotkę, na fortepianie leżą nuty, na stole książka, zobaczmy jaka ona.

«Pamiątka po dobréj matce.»

—Takie dzieło, nierozognia wyobraźni, nieodbiera jéj przed czasem świętości dziewiczéj, a kształci rozum i dopomaga rozsądkowi; takiemi też dziełami zapełnię, będąc jéj mężem, moją bibljotekę, dziś jeszcze spalę wszystkie jakie mam romanse pani Sand, Balzaka, Paul de Koka, nieocalę nawet od Autodafe, Dumasa.

XXII.

Julja czuwa jeszcze.

Dziwna rzecz.

Dziwna rzecz, bo wróciwszy z balu, była znużoną, prędko pożegnała matkę, chcącą zawiązać jakąś rozmowę, prędko odesłała służącą, oświadczywszy że chce się na spoczynek udać.

Nie myśli jednak o nim, ledwie że oddaliła

się służąca, już wybiegnie z łóżka, na śnieżne alabastrowe ciało założy muślinowy szlafroczek, poprawi pukle czarnych jedwabich włosów, i skwapliwie na zegarek pogląda.

—Wpół do czwartéj— szepnie— półgodziny tedy jeszcze muszę oczekiwać.

Oko jéj zaś dziwnie goreje, piękna twarzyczka oblewa się żywym szkarłatem, serce bije tak żywo, że prawie mogę słyszeć jego uderzenia.

Co to znaczy? niepojmuję... na kogoż lub na cóż oczekiwać może? Że zaś oczekuje, jasno spostrzegam, choćby nawet nie wspomniała o tém niedawnym szeptem, pojąłbym z dziwnéj niespokojności, z nieokreślonego wzruszenia...

Tak samo ja oczekiwałem niegdyś... gdy...

Ale precz odemnie podobne myśli! przy spoglądzie na nią, są one bluźnierstwem!

Jednak... zobaczemy...

A w miarę ubiegającego czasu, jéj niespokojność wzrasta, cicho na palcach przychodzi pode drzwi do dalszych komnat wiodące i słucha pilnie, azaliż tam cichość zupełna, przestrasza każdy szmer, każdy najlżejszy szum wiatru...

Do czwartéj już tylko parę minut.

Wstrząśnienie umysłu Julji dochodzi najwyższego stopnia; przystępuje do okna, otwiera je zlekka cicho, co to znaczy?..

Okno wychodzi na ogród... spójrzemy w jego głębię z nią razem; dla czegoż nagle, podwójny rumieniec zaiskrzy na jéj twarzy? oko zajaśni, rozgrzeje.

W ogrodzie nagle roziegnie się cichy szmer... zbliża się do okna... i za chwilę...

Czy to złuda szatańska?.. czy obłąd oka!..

Oknem, ktoś zcicha wsuwa się do dziewiczéj komnaty... i Julja serdecznie przyjmuje kogoś.

A ten ktoś... mężczyzna, i...

Pan Stanisław!

XXIII.

Jak szalony, klnąc i złoszcząc się odbiegłem od zwierciadła...

Godzina zbiegła, zanim uspokoić się mogłem. Dokazałem tego dopiero wtedy, gdy wypiłem

przeszło garniec zimnéj wody i drugie tyle wylałem na głowę.

Metoda Prysznica jest najlepszą jaką znam na ukojenie wzburzonéj krwi, radzę ją wielu małżonkom...

Cóż wam powiém czytelnicy?

Czy znacie Weddę Indjan?

Szkoda że nie, mądra to książka, zbiór umiejętności i doświadczenia wieków i ja jéj nieznam, wyjąwszy kilka ustępów.

Jeden nasuwa się pamięci, a oto jaki:

«Kto wierzy stałości wiatru jest głupiec, kto wierzy ciężkości pyłu, jeszcze większy głupiec, lecz największym z głupców jest ten, kto wierzy kobiecie.

«Bo wiatr jest lekki żywioł, bo pył jeszcze lżejszy od wiatru, a najlżejszą istotą pod słońcem, jest kobiéta.”

Wedda ma słuszność!

A ja wierzyłem Julji!..

Wierzyłem czystości jéj serca, dziewiczości jéj uczuć, przysięgom jakie mi niosła nie dawno

jeszcze, i chciałem nazwać żoną, dać za matkę mym dzieciom.

I ostatnią kroplę krwi byłbym wylał w obronie jéj honoru, i gdyby przed godziną jeszcze, kto był wspomniał o tém co widziałem, byłbym go nazwał potwarcą, nikczemnikiem, podłym fałszerzem; własnego nawet nie oszczędziłbym ojca!..

Wszystko jednak było udaniem, jéj skromność fałszem, jéj miłość dla mnie lepem na niedoświadczonego, jéj cnota bielmem ukrywającém sprośny trąd pod sobą.

Wierzyłem jéj prawości, a czémże ona? nikczemną rachubą i pozłotą, na złudzenie oczu głupców!

Piorunowałem niedawno na hipokryzję, ją tylko za wyjątkową miałem istotę, ha! szalony... jak boleśnie odczarowany zostałem...

XXIV.

A nie pierwsza to jéj z panem Stanisławem schadzka.

Kochają się oddawna, i gdy rodzice przeszkadzali miłości, umówili się na ich podejście. Mają znaki zastępujące słowa, lub słowa nic z pozoru, lecz wiele rzeczywiście mówiące.

Tak naprzykład: wyrazy pana Stanisława przy skończeniu tańcu obojętnie wyrzeczone: «Noc piękna, będę się przechadzał do czwartéj godziny, oznaczały, że na czwartą chce się widzieć z kochanką...''

A ona słuchała tych słów bez wstrząśnienia febrycznego, bez żywszego bicia serca, bez podwojonego rumieńca twarzy!..

Sądźcie o jéj charakterze z téj próbki... czy może daléj dójść zepsucie moralne?..

A to zepsucie gnieździ się w sercu osiemnastoletniém, w sercu pozornie czystém, pięknėm, dziewiczém; a to serce bije w piersi dziecięcia starannie wychowanego, od pieluch zostającego pod baczną strażą matki, ochmistrzyń?!..

Ach kobiéty, kobiéty! Bóg was w piękne ciała przystroił, dał wam wdzięk, spryt i rozumu nie mało, kazał wam być ozdobą rodzaju ludzkiego,

dał nam mężczyznom jako błogosławieństwo i orędowniczki, a jakże dopełniacie waszéj missji!?..

Wartoż wam wierzyć? wartoż was kochać!!

Napijmy się zimnéj wody...

XXV.

Przystępuję znowu do zwierciadła; znając przeszłość, chcę poznać i teraźniejszość istoty, którą niedawno tyle czciłem, tyle kochałem.

Niepróżna tylko ciekawość wiedzie, kto wié może milsze znajdę obrazki.

Rezonujmy bowiem.

Julja jest występną, temu nie można zaprzeczyć, lecz czy jest nią tyle jak się zdaje z pozoru? a nadewszystko, czy się nieznajdą „łagodzące okoliczności” zobaczmy!

Siedmnastoletnia, a więc niedoświadczona, żywéj krwi, bystréj wyobraźni, poznała człowieka, hipokrytę, egoistę, chcącego korzystać z jéj niewinności, przyzwyczajonego do tryumfów, bo kiedyż one nie są udziałem chytrości połączonéj

z pięknym układem, wdziękiem słów i pozorem prawdziwego uczucia?

A nikogo nie było żeby strzegł, lub dobrą dał radę; owszem sami rodzice zdecydowali zło nietrafném postępowaniem; zamiast uspokoić i wyleczyć serce, łagodnością i mądrością rady, gwałt mu zadali nakazem rozłąki z kochankiem.

Ten nakaz rozdrażnił, rozjątrzył, i gdy chytrze przyszedł z wiadomém słowem, ze łzą i rozpaczą; piérwszy krok do złego zrobiono, zezwoliwszy na schadzkę.

Daléj już nie było się panem siebie: szał uczucia, sofizmata miłości, może nawet podstęp kochanka, może gwałt podły... zgubiły...

Któż tedy winien?..

Nadto.

Czyliż nas nieuczy święta nasza wiara, że wiara, że prawdziwy żal zaciera występek, że pokuta największym grzesznikom otwiera wrota niebieskie. Przypomnijmy sobie dzieje Marji Magdaleny.

Chwilę szału, przypadku, rozpaczy, zapomnienia, może teraz nieszczęśliwa Julja opłaku-

je potokiem gorzkich łez; przeszłość dla niéj może jest jak dla Makbeta widmo Banka! trwoży i okropne sercu zadaje katusze.

Nie godzi się potępiać człowieka, który nierozmyślnie śmierć zadał bliźniemu; gdzież się potępia kobietę, że uległa głównemu przeznaczeniu swojéj natury, miłości, lub że w nieświadomości złego w to zło popadła?

Więcéj niż okrucieństwem byłaby wtedy kara.

Spytacie się może czytelnicy, do czego wiedzie to rozumowanie?

Sam dobrze nie wiém, jednak...

Żoną nie mogę nazwać Julji, honor przeszkodą; lecz mogę żałować nieszczęśliwą, mogę nawet wrócić jéj mój szacunek i wiarę.

Piorunowałem niedawno na fałsz jéj przysiąg, lecz czy miałem słuszność? wszakże przysięgała za teraźniejszość i przyszłość, nie za przeszłość.

Może istotnie, prawdziwie pokochała mnie i kocha.

Ileż ten domysł nasuwa uwag i rozwag....

XXVI.

Szalony ten, co oglądając się na wczoraj nie chce użytkować z dzisiaj.

„Miłość wraca dziewiczeństwo” słusznie powiedział Wiktor Hugo w swym dramacie *Marion de Lormes.*

Nie jest ubliżeniem dla honoru żenić się z wdową lub rozwódką, dla czegoż nie miałbym ożenić się z Julją?

Zresztą, w wielu razach, a w tym nadewszystko, zdaje mi się, że honor jest tylko przesądem.

Nie mogę pojąć dla czego Dante nazwał loikę szatanem, według mnie, jest ona Aniołem stróżem naszym...

Przynajmniej jest nim dla mnie w tej chwili.

XXVII.

Otoż co widzę w zwierciadle.

Staje przed mojem okiem dom piękny obszerny i murowany, mieszkanie państwa M.

Jegomość jest człowiek sześćdziesiąt-letni, dobréj tuszy, łysy i siwy, wąsy i faworyty goli, bo będąc wielbicielem Napoleona, chce go naśladować w tym względzie. Nosi okulary jak Thiers, bo od niejakiego czasu, wielkim jest jego zwolennikiem, czyta codzień gazety, zmiany Ministrów we Francji zajmują go żywo, nie lubi demokracji, a tém mniéj czérwonych, za to jest legitimistą ultra, rad prawi o ekonomji politycznéj i bardzo podziela system żeglugi parowéj, do któréj jako akcjonarjusz należy.

Gospodarz też zawołany: zaprowadził u siebie płodozmian, zna wartość maszyn i co rok nową jakąś kupuje, tego roku naprzykład, sprowadził z Anglji pług służący do uprawy ziemi pod koszennillę, myśli bowiem ją sadzić; oczynszowanie włościan bardzo go zajmuje, o niczém chętniéj nie mówi: że go dotąd niezaprowadził w swych dobrach, nie jego wina, lecz okoliczności...

W domowém życiu jest wzorem małżonków; łagodny, cierpliwy i pobłażający, niektó-

rzy nawet utrzymują, że jest pantoflem żony, być może, są różne rodzaje pantofli.

Co do pani M* o lat dziesięć młódsza od męża, zachowała dotąd jeśli nie dawną swą piękność, to jej pretensje: lubi np. zabawę, strój, pięknidła, lubi chorować na spazmy, migrenę i nerwy; w swojéj epoce zajmowała się bardzo trenami Ossiana, teraz przepada za francuzkiemi romansami pani Sand i Balzaka.

Są dusze wiecznie młode i wiecznie poetyczne; taką obdarzyła przyroda panię M*.

Lecz strój, poezja i zabawy, nieprzeszkadzają jéj w zajmowaniu się gospodarstwem i domem; ster władzy silnie dzierży w drobnéj swéj ręce, słucha ekonomów rachunków, oblicza się z dzierżawcami, układa budżety, i trzyma kassę pod swym dozorem. Julja dobry wzór miała, i jeżeli pójdzie torem matki, wziąwszy ją za żonę, będę mógł spokojnie palić cygaro, i kończyć rozprawę o języku Samskryckim, którą jeszcze w szkołach zacząłem, a przeznaczyłem do Bibljoteki Warszawskiéj; wiedząc że na tém mo-

jém zajęciu, ni dom ni gospodarstwo nie będą cierpieć.

Dodajmy do tego, że majątek państwa M. obszerny i w dobréj ziemi, że dobrze zagospodarowany i intratny, a więc że nadzieja posagu jest.... wspomniałem o trzykroć, nie bagatela... warto cóś dla nich poświęcić.

Nie jestem bynajmniéj chciwym, lecz powiększeniem majątku wcale nie gardzę, owszem życzę go sobie, dla dobra mniéj mojego własnego, jak ludzkości, mam bowiem na myśli kilka filantropicznych zamiarów: tak naprzykład, chcę założyć u siebie szkołę agronomji, młodzież będzie gratis uprawiać moje pola, i gratis, obznajamiać się z płodozmianem i systematami Kurowskiego i Oczapowskiego; najwięcéj, jeśli jaką lekką opłatę za wikt oznaczę.

XXVIII.

Państwo M. siedzą w swoim bawialnym pokoju, pani przechadza się w zamyśleniu po komnacie, pan czyta gazetę i kawę pije.

Przerwano mu to podwójne zatrudnienie.

—Dajże raz pokój twojemu żurnałowi, zajmij się interesami, czyż wiecznie sama tylko będę się niemi zaprzątać?

—Ach!— mruknął pan M* składając gazety— przerwałeś mi zajmujące debaty w izbie.

—Właśnie o debatach pora myśléć! czy zapomniałeś, że w tę niedzielę wydajemy Julcię za mąż.

—Trzeba sprosić gości, dać bal...

—Łatwo to powiedzieć, lecz zkąd wezmiesz pieniędzy.

—Hm! pieniędzy! masz rację, nie bagatela... a! B* pożyczy.

—Nie chce dać ni grosza, winniśmy już czterdzieści tysięcy.

—To M*.

—Ten grozi procesem i komornikiem, niedostał procentów od lat czterech.

—Od czterech lat! co znowu! przecież zeszłego roku miałaś płacić, pożyczyłaś w tym celu dwadzieścia tysięcy od S*.

—Miałam zapłacić lecz dałam pokój, gdy zezwolił na poczekanie, dodawszy procenta do kapitału.

—Temu miesiąc wzięłaś trzydzieści tysięcy na 25 procent od M*.

—Zapomniałżeś że trzeba było o wyprawie pomyślić, że miałam długi w magazynach i różne inne.

—Cóż tedy robić?

—Albo ja wiém... jesteś mężczyzną, radź!

—Gdyby można było co sprzedać?

—Wełnę z góry oddałam Efraimowi, na zboże zrobiłam układ ze Szmulem, przyjął za dawne długi.

—A to ja już nie wiém co czynić, a tém więcéj trapię się, że jak kazałaś obiecałem sto tysięcy panu Kazimierzowi, zaraz nazajutrz po ślubie, zkąd je wziąść?

—Głupstwo! o tém ani myślę, może zaczekać.

—Wypada słowa dotrzymać.

—Śmieszny jesteś! Któż dotrzymuje podobnego słowa? obiecaliśmy przed ślubem, możemy się

cofnąć po ślubie, tak robią wszyscy, nie my pierwsi będziemy.

—Jednak, gdy się chłopiec rozgniewa?..

—Cóż nam do tego? owszem, wartoby o intercyzie pomyślić, pogadać w tym celu z adwokatem Prawowiczem; powinien zapewnić dożywocie Julci, a w razie rozwodu, oznaczyć pensję i jaką okrągłą sumkę.

—Ba! łatwo projektować, lecz czy chłopiec zezwoli?

—Głowa ograniczona, a kocha Julcię do szaleństwa!

—Prawda, lecz gdyby się dowiedział o tém, co zaszło przeszłego roku, rozumiesz mnie o jéj miłostkach z panem Stanisławem?

—Czemuż ma się dowiedzieć? rzecz się ułożyła zręcznie o przypadku Julci nikt nie wié, zatarł się wszelki ślad w Krakowie.

—Prawda, lecz ludzie mają długie języki i oczy bystre, ktoś może przypadkiem dowiedzieć się i wypaplać, honor i małżeństwo Julci cierpiałyby na tem, dla tego trzeba się spieszyć, jak najmniej trudności czynić i nie zrażać chłopca.

—Masz rację, dla tego obiecałam sto tysięcy posagu, i termin ślubu naznaczyłam tak prędki, lecz powtarzam ci niemamy pieniędzy.

—Ja nie wiem zkąd dostać.

—S* chcę wziąść w zastaw Nową wieś, daje 30 tysięcy.

—Co znowu! wieś najlepsza, w majątku urządziłem sam płodozmian, zaprowadziłem irrigacją, nigdy nie zezwolę, to pewna nasza rujnacja!

—Już i tak zrujnowani jesteśmy, czas abyś poznał prawdziwy stan interesów, dobra warte najwięcej siedemkroć!

—Za osiemkroć nie oddam, płodozmian, irrygacje i przyszłe oczynszowanie cóś warte...

—Głupstwa to wszystko! powiadam ci, wiele ten da, co da siedemkroć, teraz oblicz długi, hipotecznych dwakroć.

—Hm! nie pojmuję zkąd tak wiele...

—Kwitowych drugie tyle...

—Nie sposób, nie zaciągałem tak dużo.

—Towarzystwa stopięćdziesiąt!

—Opłaciło się już przecież siedem czy osiem.

—Bankowych, czterdzieści...

—Cóż nam tedy zostaje!..

—Bagatela, a prawie nic! widzisz tedy, że gdyby się rozniosło, że nie damy posagu, któż weźmie Julcię za żonę.

—Prawda! kto weźmie, jednak moja lubku, pozwól sobie zwrócić uwagę, że 30-tysięcy za wiele na ślub, pięcioma lub sześcioma będzie można opędzić...

—Chcę pojechać do Karlsbad.

—Co znowu! a to na co? jesteś przecie zdrowa...

—Dokucza migrena, czuję rozstrojenie nerwowe, potrzebuję koniecznie wód i towarzystwa...

—Przy szczupłych funduszach jakie posiadamy.

—Nie chcesz przecie abym brakiem starania o zdrowie, zgubiła się, zabiła, w grób poszła, ale co tobie okrutniku znaczy moja śmierć, chętnie widziałbyś mię na marach!!

—Co za myśl.

—Sambyś się nawet do zgonu i cierpienia przyłożył, znam cię, jesteś tyran, bez litości,

miłosierdzia, bez serca! oto! gotów nawet jesteś myśleć o nowéj żonie.

—Co mówisz, mam wszakże lat 60...

—Stary jesteś, lecz wietrznik! bałamut, zdrajca, człowiek bez sumienia, któż o tém nie wie!..

Uderzy w płacz i w dalsze skargi. Pan M* uspokaja jak może, lecz uspokoi zupełnie dopiero wtedy, gdy się zgodzi na układ o zastaw wioski...

Przyznaj czytelniku, że pani M* ma spryt, którąż kobiéta go niema?

XXIX.

Jednak ta rozmowa małżonków nie mało mi daje do myślenia.

Ich tedy majątek jest jak niewinność Julji, blichtrem, tylko fałszem, kłamstwem.

Nie mogę liczyć na posag, owszem prócz żony, spadną niezawodnie na mój kark jéj rodzice, trzeba będzie bawić, żywić, odziewać!

Niemam do tego ochoty.

A ja przecież tyle rachowałem na trzykroć sto tysięcy, i wyznać muszę, nie mało one przyłożyły się do zamiaru przebaczenia Julji jéj smutnéj przeszłości.

Surowo ukarany zostałem.

Cóż teraz robić?

XXX.

Ale precz ode mnie podła chciwości!

Chciwość w człowieku, jest jak rdza w żelazie, pierwszą skazówką zepsucia...

Człowiek chciwy, nie może być dobrym, uczciwym, szlachetnym, bo jest samolubem, bo nie potrafi niczego poświęcić dla dobra ogółu, ni nawet dla dobra istot, które żywo powinny jego serce obchodzić.

Dla kogo pieniądz jest bożyszczem, winien zrobić wieczny rozbrat z miłością, wiarą i nadzieją! moralny głaz winien być deptany nogą, odpychany powszechną pogardą.

Chciwość w człowieku powinna być równie potępiona jak fałsz, szalbierstwo, herezja, zdra-

da; bo jest fałszem w axiomie, że człowiek jest istotą towarzyską, bo jest zdradą jego przeznaczenia ogólnej miłości, bo się sprzeciwia zasadom świętéj naszéj wiary.

Zresztą.

Czy potrzebuję być chciwym? czy mam potrzebę gonić za posagiem? Bóg dał własny dość piękny majątek, dał dość sił i zdrowie czerstwe, mogę pracować.

Kiedyż człowiek prawdziwie szlachetny, zawierając śluby małżeńskie, myśli o posagu żony, a nie o jéj zaletach serca i głowy, są one prawdziwą podstawą szczęścia, a nie kruszec podły, nikczemny, wymysł szatański na zgubę dusz naszych.

Niech Julja okaże się taką, jaką pragnę ją widzieć, jaką poznałem i znam dotąd, dobrą, czułą, kochającą, jak zapomniałem o skazie jéj przyszłości, tak nie będę zważał na jéj ubóztwo, wezmę za żonę.

I że wezmę, bądźcie przekonani czytelnicy, bo o tych jéj zaletach, których wymagam nie wątpię.

Spójrzyjmy w zwierciadło.

Otóż ona...

XXXI.

Widzę ją znowu w jéj sypialni, siedzi przy stoliku, uśmiechając się pięknie, figlarnie, kreśli coś żywo na białym listowym papierze.

Czytajmy:

«Kochana przyjaciółko!"

Rzadko grzeszy kobieta, pisząc do przyjaciółki, prawie też pewny jestem treści tego, co pisze Julja.

«Kocha mnie, ślub ma być za dni kilka," powiada tedy przyjaciółce swoje uczucia, nadzieję, obznajamia z zamiarami i marzeniami przyszłości, daje mój obraz, musi być piękny, bo malowany sercem.

Przekonajmy się.

Bah! co to znaczy.

«Zadziwisz się zapewno droga Emiljo, gdy «znając moje wyobrażenia i stosunki z Stanisła«wem, i pana Kazimierza Z* doniosę ci, że za «dni cztery, ma być z tym ostatnim mój ślub, ale «to niezawodnie ślub, podług wszelkich form świa«towych prawnych i innych, z dziewiczym wian-

«kiem na głowie, z przysięgą przed ołtarzem, «z obrączkami złotemi, łzami, błogosławieństwem «rodziców i na uwieńczenie dzieła, z rozgłośnym «*veni Creator*.

«Nieprzeczę jest z czego śmiać się do rozpu-«ku! ty zaś więcéj od kogobądź śmiać się mo-«żesz, bo mnie znasz od pensji, znasz całą moją «duszę i tyle szczegółów z dziejów serca.

«Cóż dopiero, gdy rozważysz, kto ma być «ten szczęśliwy, co mnie żoną nazwie... pierwio-«snek uczuć pozyska.

«Prawie słyszę co powiesz:

«Niepojmuję, jak podobną niedorzeczność mo-«że popełnić moja dobra Julja, jak osoba nie głu-«pia, nie ślepa, znająca ludzi i świat, może się «na całe życie wiązać z człowiekiem jak ten pan «Kazimierz, oryginałem, bałwanem, niezgrabija-«szem, brzydalem, i w dodatku głupcem, ale to «głupcem modelowym, godnym posłania na wy-«stawę londyńską.

«Droga Emiljo! masz słuszność, nie przez «pryzmat miłości lub jakiego bądź szlachetnego «uczucia spoglądam na przyszłego towarzysza mo-

«jego życia, widzę go jakim jest, jakim go wi-
«dzisz ty i świat cały. Owszem, widząc go
«częściej od ciebie, lepiej i jaśniej widzę, a tak
«widzę bezstronnie, że zaręczyć ci mogę: jest
«to niewyczerpana kopalnia głupstwa i niedo-
«rzeczności, co chwila odkrywasz w niej jakie
«nowe, tak naprzykład:

»Że jest głupi wiesz o tem, że oryginał i to;
«nie sekret, również nie jest sekretem, że jest
«brzydalem do malowania na chińskie karyka-
«tury, w dodatku jest i zarozumialcem!

«Mniejsza, że jest zarozumiałym o swym do-
«wcipie i rozumie, że mniema iż jest przystoj-
«ny, ale wyobraź sobie jest przekonany, że go
«kocham, że z miłości oddaję mu rękę. Nie jest
«że to śmiesznie? nie jest kolosalnie głupio! nie
«mogłam się też uspokoić; gdym odkryła tę ideę,
«rozśmieszyła mnie więcej niż najśmielsza z ka-
«rykatur Gawarniego, niż najdowcipniejszy z ro-
«mansów Paul de Koka, *Pan Dupont* naprzykład...

«Jaż to miałabym kochać podobną karykatu-
«rę? Ja od dziecka wychowana w świecie, zna-
«jąca najpiękniejszy, najwytworniejszy, i wierna

«do ostatniego tchnienia życia tej miłości, jaką «mnie natchnął twój brat Stanisław?..

«W dodatku winnam wspomnieć, a to ci od«maluje dokładnie człowieka, że mnie ma za «istotę jak najskromniejszą, najniewinniejszą, naj«łagodniejszą, najwięcéj dziewiczą jaka może «istnieć na tym bożym świecie; jest prawie prze«konanym, że będę jego pantoflem, jego wierną «małżonką, tureckiego baszy niewolnicą i sługą, «ma za ograniczoną w rozumie, za idjotę moral«ną, za gąskę jak pani N* lub niewiniątko jak «baronówna D*, co się nie dawno dziwiła, że «dzieci rodzą się, choć ich nikt nie sieje ani «szczepi!

«Spodziewam się, że wkrótce przekonam bie«daka ile się omylił.

«Czemuż przecież idziesz za niego? spytasz się.

«Wiele, bardzo wiele okoliczności przymusza, «a naprzód:

«Jestem biédna, matka wyznała mi pod se«kretem, że ni grosza nie dostanę posagu, a pan «Kazimierz posiada trzy wsie dziedziczne, a więc

«może moją przyszłość ustali. Powtóre, prędzéj lub późniéj odkryje świat moje związki «z twym bratem, trzeba się śpieszyć, aby to nastąpiło dopiero po mym ślubie, gdyż inaczéj «konsekwencje bardzo byłyby przykre. Potrzecie: będę mogła żyć jak lubię, bawić się jak «chcę, dopomódz Stanisławowi... ważne to argumenta! a nie będą trudne przy mężu takim «jak ten, którego przeznaczenie mi daje, pantofla z miny i z charakteru.

«Jednak niemam serca zawiadomić o tém co «zaszło, Stasia. Uczyń to kozhana Emiljo! i do«daj, że go zapraszam na moje wesele i chcę, «aby pierwszym był drużbą. Co zaś nadewszyst«ko, oświadcz mu, że nowe moje stosunki świa«towe, niczém niezmienią tych, jakie z nim od«dawna mnie łączą, że pan Kaźmierz będzie po«siadał moją rękę, lecz drogi Staś moje serce... «że tak wszystko urządzę, iż na przyszłość żyć «nierozdzielni będziemy, bo pan małżonek musi «go przyjąć, poważać i kochać, jako domowego, «prawdziwego i najlepszego z przyjaciół; nie«prawdaż, że to będzie bardzo pięknie?"

XXXII.

Przez resztę dnia szklanka po szklance, piłem zimną wodę.

A nie tylko przeszłość i teraźniejszość, lecz i przyszłość poznałem.

Oto co widziałem, co miało dziać się za lat dwa.

W brudnéj, zimnéj i biednéj stancyjce, brudnego i biednego domu staromiejskiego w Warszawie, widziałem mężczyznę lat mniéj więcéj trzydziestu. Twarz jego była żółta i schorzała, czoło tysiącem marszczek przerznięte, w bladych oczach rozpacz, w piersi suchoty, w myśli zgryzota.

Dokuczała zaś mu nędza cierpka, straszna, dotkliwa; braknęło na chleb, odzież i lekarstwo, ledwie że kilka groszy było na wódkę.

Bo wódką zalewał się ów nieszczęśliwy; miał w niéj jedyną pociechę, jedyną przyjaciółkę w cierpieniu, ona jedna pozwalała mu chwilowo zapominać o męczarniach życia, o przeszłości i obecności, w niéj jednéj czerpał trochę sił, aby nie

uledz pod brzemieniem losu, pod rózgami wspomnień.

Tym zaś człowiekiem schorzałym, ogłupionym, nędznym i pijakiem byłem ja sam..

A widziałem i Julję...

Mieszkała w jednym z najświetniejszych domów Warszawy, koronki, jedwab', złoto i brylanty składały się na jej odzież. Jej mieszkanie ubrane było z zbytkiem prawdziwie Monte Christa, była piękniejszą niż kiedy bądź; otaczał ją tłum wielbicieli, przebierała pomiędzy niemi stosownie do kaprysu lub potrzeby. Uprzywilejowanym jej kochankiem przecież, nie był już pan Stanisław, lecz ktoś inny, jakiś zgrzybiały starzec, mniemający, że zapewni szczęście reszty dni życia, rujnując się na wietrznicę, kokietkę, istotę bez serca, która wyparłszy się Boga i sumienia, kazała sobie hojnie płacić każdą pieszczotę, w rozpuście widziała bóztwo konieczne dla swego bytu, w zbytku ideał swych marzeń!..

Potłukłem na drobne sztuki cudowne zwierciadło.

XXXIII.

Potłukłem je, bo to co widziałem prawie o szaleństwo przywiodło!

Nieprędko zaś przyszedłem do siebie, bo czy wstrząśnienie umysłu, czy też zimna woda, zbytecznie użyta, przywiodły o ciężką chorobę.

Zdeklarowała się ona gwałtowną gorączką, z któréj się wywiązało zapalenie mozgu.

Dzięki jednak Bogu! wyleczył medyk z poblizkiego miasta, mój niegdyś szkolny kolega.

Przyszedłszy nieco do zdrowia, podałem się o paszport za granicę, urządziłem interesa domowe, wioski puściłem w dzierżawę. Chcę na trzy lata opuścić kraj, będę podróżował po świecie całym, zwiedzę Włochy, Niemcy, Szwajcarję, będę w Paryżu i w Londynie, w Madrycie i Sztokholmie, w Konstantynopolu i Edymburgu.

I o innych częściach świata niezapomnę, jak Wacław Rz* poznam się z Arabami, jak Humboldt wedrę się na szczyt Kordyljerów, jak

Wiszniewski zmierzę wysokość olbrzyma Himalajskiego.

Niesądźcie jednak, aby moja podróż była bez celu; mam ich aż dwa. Naprzód, naukowe badania, wynagradzając artykuł o *i* krótkie i *jota*, który powszechne w gronie uczonych zrobił wrażenie, i przyjąwszy trzy tysiące na poparcie swych funduszów, Redakcja pewnego uczonego pisma, zamianowała mnie swoim członkiem. Chcę usprawiedliwić wybór, korzystając z wycieczki za granicę, będę zbierał literackie zasoby, tak *np.* przejrzę biblioteki włoskie, aby w nich odkryć, jaki dawno znany rękopism kroniki, ułożę nowy system gospodarstwa, na wzorach Irokiezów lub Beduinów, i wreście, chcę poszukać Sławianizmu w śród Kordyljerów przy brzegach Nilu albo Gangesu.

Nieprawdaż mili Czytelnicy! że czasu nie stracę, że się nie mało przyłożę do uświetnienia naszéj literatury?

Drugiego celu podróży, domyślacie się zapewne.

Tak, nie chcę taić, pragnę opuścić ten kraj,

aby ujść sideł Julji, przymuszoną rozłąką otrząsnąć się z szalonej i zgubnej miłości.

Lecz co mówię o miłości! albož ona istnie już w sercu? Po tém co widziałem w zwierciadle, po obrazie charakteru Julji i mojej przyszłości, czyliż nie byłbym szaleńcem, i więcej, bo głupcem, gdybym mógł się nią zajmować?

XXXIV.

Otož dostałem paszport.

Jutro już wyjeżdżam, żegnam się z domem, z ogrodem, z poddanemi i służbą. Jednak to smutno rozstawać się z rodzimemi stronami, do każdego przedmiotu, wiąże jakiś wspominek, cóś z przeszłości, mniejsza czy ona była smutna lub wesoła; nawet strapienie ma swój powab, gdy już oddawna w mgle przeszłości zniknęło

Żegnając się z domem, zaszedłem do izby, w której tarzają się jeszcze na podłodze szczątki rozbitego zwierciadła, ach z temi się nie pożegnam, nazbyt dokuczyły!

Owszem, kazałem je uprzątnąć i czémprę-

dzéj rzucić w bezdeń stawu, czemuż z niemi nie może zatonąć i pamięć tego, co przedstawiła czarnoksiężka siła.

Pomimowoli oko łzą zachodzi. Przebaczcie czytelnicy! stara to prawda «raz tylko prawdziwie kochamy," a tą jedyną miłością, ja kochałem Julję...

Tak jest, nie mogę przeczyć.

I tak długo wierzyłem téj miłości i w niéj składałem moje szczęście, marzenia, nadzieje, tak długo była mi świętością, przed którą zginałem kolano.

Gdyby nie czarnoksiężkie zwierciadło, w téj chwili, niewybierałbym się wędrownik w podróż smutną, nudną, daleką w téj chwili, piłbym z czary życia te roskosze, któremi od dziecka człowiek marzy, któremi żyje młodzieniec, a starzec w ich wspomnieniu odmładza się i pociesza przykrą zgrzybiałość.

Byłbym szczęśliwym.

Byłbym wprawdzie szczęśliwym dzisiaj, bo jutro, wiecie jakiem byłoby... ależ...

Jeden dzień raju, czyliż niewart stu wieków piekła?

Wszystko przecież skończono, zerwano, zapomniano, choćbym nawet chciał dawne związki odświeżyć, nie mogę; trzeba bowiem wam wiedzieć. Pan M* odwiedził przed kilku dniami, i zażądał, abym usprawiedliwił moje postępowanie i powód zerwania z Julją; nietaiłem mu, że znam jej przeszłość. Piorun, gdyby nagle uderzył przy jego nogach, nie byłby tyle przeraził, co te moje wyznanie.

Czarnoksięzkie zwierciadło powiedziało za tem prawdę, a niezawodnie niekłamało w szczegółach dotyczących obecności i przyszłości.

Kość tedy rzucona, rozum nakazuje zrobić ofiarę z szalonych wymagań serca.

Jedźmy tedy. Hej służba! zakładajcie konie!

Lecz cóż to znaczy? słyszę turkot kół, i trzask bicza... ktoś przyjeżdża... wcale nie w porę, przyjąć jednak trzeba, nakazuje gościnność... na Boga! to Julja z Matką!

XXXV.

Niepojechałem za granicę, nie będę wdzierał się na Kordyljery, niesprawdzę wysokości Himalaja, nie przejrzę watykańskiej bibljoteki, a nawet niezapoznam się z Irokiezami i Arabami.

Zostałem w domu, i zostać się w nim muszę, bo od wczoraj jestem mężem Julji.

I że będę szczęśliwym mężem, prawie niewątpię, bo rozum każe mi wierzyć w nadzieję.

—Bywajcież tedy zdrowi, mili Czytelnicy! i niedziwcie się mojemu postępkowi. Któżby na mojem miejscu, inaczej postąpił? Julja tak piękna! tyle mnie kocha, i przysięgła, że czarnoksiężkie zwierciadło, kłamca, potwarca, podły, zbrodniarz!

—Czyliż mogłem niewierzyć jej słowom, kochając? a choć trochę się lękam przyszłości, powtarzam: mam za sobą nadzieję.

—Któż z nią był nieszczęśliwym?

KONIEC.

Spis Rozdziałów.

Spis Rozdziałów.

Str.

TEMU LAT SIEDMDZIESIĄT.

[library stamp]